

ANTONI MARCZYŃSKI

bezdolny

PIONIER

ANTYKWIARIA ALICE

Antoni Marczyński

**BEZGŁOŚNY
PIORUN**



Spis treści

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

ROZDZIAŁ I

Okolo godziny dziesiątej olbrzymia chmura zgasila na niebie ostatnie gwiazdy, po czym zabrala sie do mdlych gwiazdeczek na ziemi, do latarni ulicznych. Chlusnela na nie deszczem, dmuchnela wschodnim wiatrem, lecz na pruzno. Palily sie nadal, spoglajajac przez zalzawione od smiechu szklo szybek na zabawnego przechodnia. Bowiem czlowiek ow niost kapelusz w dloni, plaszcz nieporzadnie zwiniety w rulon mial przewieszony przez ramie, i szedl sobie spacerowym krokiem jakby przy najpiękniejszej pogodzie.

— Plim, plum, plim — zachichotala kaluza, w ktora wdepnal obiema nogami az po kostki.

Ale pomimo to jeszcze nie zauwazył sloty. Pośród wirowych plasow liści, zerwanych z drzew w Łazienkach kroczył pustą jak wymiotł ulicą Podchorążych, zbliżajac sie juz do jej drugiego zakretu. Wtem...

— Na pomoc!

Przeraźliwy krzyk kobiety zagluszył poświsty wichru i wyrwał z zadumy samotnego przechodnia, który teraz dopiero wložyl kapelusz na glowe.

— Pada? — zdziwil sie szczerze. — Ba, leje! — Po chwili dokonál drugiego odkrycia: ze przemokł do nitki, a plaszcz ma na ruku. — I w dodatku nie własny, ale Hansa — poznal w koncu.

Ubawiony swoim roztargnieniem, wybuchnal smiechem, lecz smiech wnet skonál mu na ustach, zmrożony ponownym okrzykiem. Tym razem wołanie o pomoc zabrzmialo bliżej i straszniej:

— Ratunku!! Mordują!!!

Przechodnia dzieliło obecnie od zakrętu ulicy pięć lub sześć metrów. Przebył je w kilku susach, minął narożnik i tuż przed sobą ujrzał koło latarni parę szamoczących się ludzi. Wysoki, barczysty drab tarosił pod murem szczupłą kobietę w jasnym burberry¹, usiłując wyrwać jej z rąk jakiś przedmiot. Udało mu się to wreszcie, ale równocześnie spostrzegł odsiecz.

— Puść ją!

Napastnik wykonał ten rozkaz z nadwyżką, czyli pchnął swoją ofiarę prosto w ramiona nadbiegającego przechodnia, a sam rzucił się do ucieczki i skręciwszy w ulicę Stępińską, zniknął im z oczu.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Za to potem upłynęła chyba minuta, a przypadkowy zbawca trwał wciąż w idealnym bezruchu. Bowiem nie wiedział, co począć z ocaloną niewiastą, która przylgnęła doń z całej siły, dygotała ze strachu czy z wyczerpania po niedawnej walce i łkała cichuteńko. To jej przytulenie sprawiało mu przyjemność, budziło jakieś dawne, a miłe wspomnienia, toteż byłby ją tak trzymał w objęciach nawet przez godzinę, gdyby nie deszcz, zwolna przechodzący w ulewę.

— Pani tu się może zaziębić — przemówił w końcu,

— To prawda, — przyznała, — to prawda. Mieszkam nie daleko stąd, na Grottgera. Czy nie zechciałby mnie pan odprowadzić do domu?

— Bardzo chętnie, tylko pierw pozbieram pani manatki.

Podniósł z chodnika leżące pod latarnią rękawiczki i parasolkę, lecz ani rusz nie mógł znaleźć torebki; musiał ją zatem porwać ów opryszek.

— Czy pani pozna go w albumie przestępców?

— Wątpię. Byłam tak przerażona...

— A ja zapamiętałem sobie jego twarz doskonale, zwłaszcza zaś jego krogulczy nos. Dostrzegłem też na prawej dłoni tego rzezimieszka podłużną, charakterystyczną bliznę.

— No, no, żeby w tych okolicznościach zauważyć aż tyle! — Coś więcej, niż zdziwienie zabrzmiało w jej głosie. — Pan ma świetnie rozwinięty zmysł obserwacyjny.

— Mam tylko dobre oczy.

— Dobre i bardzo piękne! Niejedna z nas chciałaby mieć taką oprawę oczu i tak bajecznie długie rzęsy.

— No, no, żeby w tych ciemnościach zauważyć aż tyle! — żartobliwie splagiatawał jej słowa, ale był mile ujęty pochwałą.

Tak rozmawiając, szli pod jej parasolem przytuleni do siebie, gdyż prosiła, aby ją objął wpół i podtrzymawał. Minęli ulicę Podchorążych oraz skrawek Belwederskiej, po czym skręcili na prawo, pomiędzy dwie narożne kamienice, znajdujące się wówczas dopiero w stadium budowy. Od nich zaczynała się ulica Grottgera, lecz nieznaną mieszkała koło drugiego jej końca, bliżej Pogodnej. Wreszcie...

— Uf, jestem w domu...

Brama tego domu była jeszcze otwarta, sień oświetlona, po schodach zstępował właśnie jeden z lokatorów, ale wszystko to nie rozproszyło obaw ofiary dzisiejszego napadu.

— Boję się. Mam przecucie, że on tu na mnie czyha! Proszę mi towarzyszyć aż do drzwi mieszkania, dobrze?

Przy drzwiach na pierwszym piętrze wisiała mosiężna tabliczka z napisem:

Aleksandra Thorne

— Oto mój bilet wizytowy — rzekła z uśmiechem i

zadzwonila.

Właściciel *bajecznie długich rzęs* zrozumiał, że teraz powinien przedstawić się nawzajem, ale nie miał do tego najmniejszej ochoty. Nie mógł też na poczekaniu wymyślić sobie żadnego fikcyjnego nazwiska i zakłopotany wlepił wzrok w mosiężną tabliczkę, aż nagle, całkiem przypadkowo odczytał wyryty tam napis *Thorne* od tyłu: *Enroth*.

— Enroth jestem — rąbnął, spuszcżając oczy. — Pozwoli pani, że ją już pożegnam? U mnie, w domu będą niespokojni, iż...

Zanim skończył mówić, Aleksandra Thorne osunęła się na kolana, a głową uderzyła o mur. Równocześnie odemknięto drzwi, stanęła w nich służąca.

— O, Boże, co się stało?! — krzyknęła przerażona.

— Słabo mi... Apasz... napadł mnie... dusił...

— Tyś śmiał moją panią?!...

Ładna, miła pokojówka od razu przedzierzgnęła się w srogą megierę i z rozczapierzonymi palcami przyskoczyła do rzekomego Enrotha.

— Ależ nie, Jadziu. Ten pan właśnie ocalił mi życie.

— A bandyta?... — Pokojówka spojrzęła w dół klatki schodowej.

— Uciekł z moją torebką.

Okazało się, że nie tylko z torebką. Kiedy we dwoje przenieśli Aleksandrę Thorne przez maleńki hall do pierwszego pokoju i złożyli ją na tapczanie, zauważyła wreszcie brak jednego spośród swoich licznych pierścieni.

— Ach, ten łajdak! — wybuchnęła. — Wolałabym, żeby mi zdarł z palców wszystkie inne pierścionki, niż ten pamiątkowy.

— Trzeba by zawiadomić policję.

— Czy pan, drogi zbawco, jest tego samego zdania, co

moja Jadzia?

***Drogi zbawca* drgnął, zaniepokoił się dość wyraźnie.**

— Hm, zapewne, tylko mnie proszę w to nie mieszać — wybąkał.

Obydwie kobiety spojrzały na niego ze zdziwieniem, potem Aleksandra odprawiła pokojówkę, poleciwszy jej zabrać stąd do hallu lśniący od wilgoci burberry i nie mniej mokry płaszcz gościa.

— Teraz może pan mówić swobodnie — rzekła.

— O czym?

— O tym, dlaczego pragnie pan uniknąć zetknięcia się z polskimi władzami bezpieczeństwa!

— Po prostu dlatego, że nie zdążyłem się zameldować.

— To jest szczególnie źle widziane u cudzoziemców.

Zwłaszcza u tych, którzy przekraczają granicę kraju bez wiz i paszportów!

— Na jakiej podstawie przypuszcza pani, że ja...

— Że z pana cudzoziemiec? — wtrąciła szybko. — Po wyglądzie i po wymowie poznałam od razu, iż pan także nie jest Polakiem.

— Także?! Zatem pani...

— To jasne. Czyż widział pan u jakiej Polki takie włosy, ale naturalne?! To nie jest sztuczna platyna, o, proszę spojrzeć...

Odchyliła abażur lampy stojącej przy tapczanie i odłożyła lustro, którym zasłaniała się dotychczas, poprawiając swój maquillage. Teraz więc dopiero rzekomy Enroth mógł przyjrzeć się dokładnie damie, której pospieszył dziś z pomocą tak w porę. Patrzył, patrzył długo, nie ukrywając bezgranicznego zachwyty, lecz nagle podniósł w górę pięści i zaczął sobie nimi przecierać oczy. Odruch ten wywołał u Aleksandry Thorne duże zadowolenie.

— Oczywiście powie mi pan to, co wszyscy — westchnęła obłudnie, bo rozpierała ją duma — że jestem podobna, jak bliźniaczka, do Marleny Dietrich, tylko jaśniejsza od niej.

— Dietrich? Kto to jest?

Ze świętego oburzenia tapczan aż jęknął, a sztuczny sobowtór *boskiej Marleny* na dłuższą chwilę oniemiał.

— Zgroza! Pan chyba z księżycą spadł! Bo tylko tam mogli uchować się ludzie, którzy nie znają nazwisk najślawniejszych gwiazd ekranu!

— Na ziemi są tacy również — odparł z uśmiechem — i ja do nich należę. Tak, proszę pani. Człowiek naprawdę pochłonięty pracą, nie ma...

— Jaką pracą? Co pan robi właściwie?

— To tajemnica.

— Ależ ja chcę tylko wykazać, że w każdym zawodzie można znaleźć trochę czasu na rozrywki. Chyba pański fach tajemnicą nie jest, co?

— Nie mówmy o tym — rzekł niechętnie, spojrzawszy na zegarek i zerwał się jakby przestraszony. — Muszę już odejść... niestety.

— A przyjdzie pan jutro?

— Nnnie wiem, czy wypada, bym...

— Czy wypada?! To przecież jest pana rycerskim obowiązkiem wobec kobiety, którą wyrwał pan ze szponów straszliwego bandyty. Och, wzdrygam się cała na wspomnienie jego zwierzęcej gęby!

— Ja zaś będę go wspominał mile. Gdyby nie on, nie byłbym poznał pani!

Wysiliwszy się na taki komplement, spuścił wzrok i na oślep wyciągnął przed siebie dłoń do pożegnalnego uścisku. Ujęła ją oburącz, przycisnęła do

piersi, wywołując tym ceglaste rumieńce na śniadych policzkach mężczyzny.

— Jak panu na imię? — spytała.

— Cipriano, proszę pani, po polsku Cyprian, ale przyjaciele moi wołają mnie zawsze Riano.

— Więc, panie Riano, proszę się schylić, chcę panu wyrazić moją wdzięczność i... coś więcej.

Gdy spełnił to życzenie, otoczyła mu szyję rękami i oszołomiła go do reszty pocałunkiem, dobrze podpatrzonym u filmowych wampów. Potem zapewniła *najdroższego zbawcę*, że nie będzie żałował tego, jeżeli odwiedzi ją jutro o dziewiątej wieczór. Wreszcie zadzwoniła na służącą, kazała jej sprowadzić *pana Enrotha* na dół i odemknąć mu bramę, już zamkniętą o tej porze. Sama nawet przy pożegnaniu nie ruszyła się z tapczanu.

— Jestem tak szalenie osłabiona po tym, co zaszło — usprawiedliwiała się nieco dwuznacznie, patrząc z uśmiechem na zmieszanego gościa,

O nim też myślała nadal, wsłuchując się w odgłosy jego kroków, dudniących głośno w rezonansowym pudle betonowej klatki schodowej.

— Riano, hm... Wcale przystojny mężczyzna, tylko nic a nic nie dba o swój wygląd zewnętrzny — mruknęła, przeciągając się leniwie.

Potem splotła dłonie na karczku, zamknęła oczy i zaczęła coś nucić cichuteńko.

Cichuteńko, powoli, ostrożnie odemknęły się drzwi sąsiedniego pokoju, na progu stanął barczysty dryblas; jego niebrzydkiej twarzy o typie, jaki spotyka się u Arabów i rasowych Żydów, nadawał rys drapieżności duży, krogulczy nos. Był to ten sam osobnik, który godzinę temu przy ulicy Podchorążych napadł na Aleksandrę Thorne. A teraz

spoglądał na nią z zagadkowym uśmiechem, aż nagle wyciągnął do kontaktu dłoń oszpeconą podłużną blizną. Światło zgasło.

¹ burberry – tu: płaszcz nieprzemakalny.

ROZDZIAŁ II

— **Hallo, czy *Chemipol*?**

— **Tak, tu dyrekcja fabryki *Chemipol*.**

— **Od kiedy panu sekretarzowi zmieniła się tak wymowa?**

— **Sekretarz dyrekcji wyjechał na urlop. Zastępuje go magister Twardzik, czyli ja.**

— **Ach, tak — w słuchawce zaszemrał czyjś śmiech. — Ach, tak.**

— **Tak! Pan życzy?**

— **Chcę mówić z dyrektorem Rodawskim. Jest chyba już w biurze.**

Już? Magister Twardzik westchnął smętnie, gdyż Witold Rodawski przyjeżdżał do swojej fabryki zawsze przed ósmą rano, co zmuszało wszystkich do punktualnego rozpoczęcia dnia roboczego. A teraz było już po dziesiątej!

— **Nie wiem, sprawdzę, czy jest — odparł, jak przystało urzędnikowi, pełniącemu obowiązki przezornego sekretarza.**

— **Kto życzy mówić z panem derektorem naczelnym?**

— **Riano.**

— **Wiem, że rano, ale...**

— **Moje imię brzmi Riano, rozumie pan? To wystarczy. Riano! *Er* jak radiogoniometr. / jak infinitezymalny rachunek. *A* jak arsonwalizacja. *En* jak neutrodyna. *O* jak orbikularny ortoklaz.**

Pan Eugeniusz Twardzik wahał się przez chwilę, zanim z

wewnętrznego aparatu zadzwonił do gabinetu, gdzie urzędował inżynier Rodawski.

— Panie dyrektorze, zgłasza się telefonicznie jakiś ętelektualnie niewyraźny osobnik, nazwiskiem Riano. Czy pan dyrektor...

— Ależ tak! Proszę go zawsze łączyć ze mną bez wszelkiej indagacji. To mój najlepszy przyjaciel.

Przyjaciel naczelnego dyrektora, przyjaciel! Zastępca sekretarza do reszty stracił humor, za to Rodawski rżał ze śmiechu, opowiadając owemu Riano, że został uznany za *intelektualnie niewyraźnego*.

— Tak cię będę teraz nazywał, drogi Cyprysiu... Lecz do rzeczy. Potrzebujecie zapewne pieniędzy. Ile?

— Nic na razie. Ale potrzebujemy ciebie osobiście!

— Dzisiaj? — Rodawski zerknął na swój terminarz.

— Nie. Pojutrze, punktualnie o dwunastej w południe.

Koniecznie!

— Dobrze, już notuję.. A jak tam twoje zdrowie?

— Dziękuję ci, Wit. Trzymam się, odpędzam jak mogę laseczniki Kocha, choć w waszym klimacie i przy obecnej pogodzie...

— Tak, pogoda jest fatalna od wczoraj, lecz lada dzień zacznie się jesień. To najpiękniejsza pora roku w Polsce, zobaczysz.

— Za to zima, brrr! Jedną przetrzymałem, ale...

— Żeby nie paszport, mógłbyś zimę spędzić w Hiszpanii lub...

— Na twój koszt, co? Nie, mój drogi. Już i tak wszyscy bolejemy nad tym, że...

— Idioci! — wtrącił Rodawski szorstko, lecz zaraz dodał serdecznym tonem: — O, wy stare dzieciaki. Przecież to ja jestem waszym dłużnikiem, a zwłaszcza twoim, Riano. Czyż

nie ocaliłeś mi życia? Czy idea...

— Psst, Wituś! Ściany miewają uszy, a telefony podsłuch! Zresztą pogadamy sobie obszernie pojutrze.

— Tak, pojutrze. Na razie zaś siedź w domu kamieniem, aby się nie przeziębic, broń Boże.

— To mi już nie grozi, gdyż zaziębilem się właśnie wczoraj wieczorem. Ażeby jednak nie dać ci okazji do robienia mi wymówek z tego powodu, co prędzej kończę naszą rozmowę. Arrivederci, caro mio.

Odłożywszy słuchawkę, inżynier Rodawski wezwał pana Twardzika i zabrał się do przeglądania rannej poczty, zaczynając od telegramów.

— Jedna depesza jest poniekąd prewetna.

— Prywatna?! Która?

— Tea, penie derektorze. Byłbym nie czytał, lecz ponieważ edresowana do *Chemipolu*, więc... Ale pod słowem już nie pamiętam treści.

Treść owej depeszy brzmiała następująco:

Rodawski chemipol warszawa przyjeżdżam dzisiaj dwunasta z dzieckiem stop pragnę zabawić tylko dwa tygodnie proszę wuja o gościnę Krystyna Motyło.

Witold Rodawski przez dłuższą chwilę mrugał, potem przeniósł zdumiony wzrok na Twardzika, ów zaś co prędzej uciekł spojrzeniami pod biurko. Wydawało się bowiem panu Eugeniuszowi, że szef musi być okropnie speszony tym, iż ktoś z personelu czytał tę depeszę. Przecież Witold Rodawski zawsze stronił od kobiet, „tępił” je zawzięcie w swojej fabryce, oddając pierwszeństwo siłom męskim; prowadził żywot niemal ascety, aż tu nagle taka bomba! Kobieta z dzieckiem! Wprawdzie owa Krystyna nazywa go w

telegramie wujem, ale głupi by w to uwierzył, skoro dyrektor Rodawski liczy zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, ona zaś już ma dziecko...

— I co pan na to?!

Pan Twardzik drgnął niespokojnie, gdyż w tonie, jakim szef wypowiedział swoje pytanie, dźwięczała nieukrywana wściekłość.

— Fektycznie nie pamiętam tekstu — powtórzył błagalnie.

— To wielka szkoda. W przeciwnym bowiem razie wiedziałby pan, że jakaś tam... Panie Twardzik!

— Pan derektor życzy?

— Proszę mnie natychmiast połączyć z *Dwójką*.

— Z naszym wewnętrznym numerem drugim?

— Ależ nie. Z oddziałem drugim sztabu głównego!

Pan Twardzik zdębiał. Parę razy poruszył ustami bezgłośnie, zanim wreszcie zdołał wykrztusić zmienionym głosem:

— Zatem pen derektor sądzi, że ta Motyło to szpieg?!

— Sądzę, że nie muszę tłumaczyć się przed panem — brzmiała szorstka odpowiedz, po której pan Twardzik wyszedł z gabinetu jak zmyty. Niebawem odezwał się dzwonek, Witold zdjął z widełek mikrotelefon.

— Łączę pana derektora — zachrobotąło w słuchawce.

— Hallo, czy sztab główny? Chcę mówić z majorem Rodawskim.

— A kto prosi?

— Jego rodzony brat.

Po chwili usłyszał Witold dobrze znajomy bas:

— Czy to ty, Wit? Czemu mam przypisać tę niespodziankę?

— Bolek, jak się miewasz, kochany? A twoja pani?

— Dziękuję ci, ale... ale, czy dzwonisz tylko w tym celu, by mnie zapytać o zdrowie? Po tylu miesiącach milczenia?!...
Lepiej gadaj od razu, jaki masz do mnie interes.

— Ja, żadnego — odburknął Witold urażony — tylko pani Krystyna Motyło.

— Kto to jest?

— Ktoś z dalszej rodziny, przypuszczam, skoro w telegramie tytułuje nas wujami, a jej nie znam nawet z nazwiska.

— Czego chce ta dama?

— Prosi o gościnę, z czego wnoszę, że nie ma forsy na hotel. Ponieważ zaś nie wypada, aby zajechała do mnie, kawalera...

— ...więc chciałbyś ją podrzucić starszemu bratu, który...

— ...który jest żonaty i dzięki temu może tej niebodze gościny użyć. Bolku, staropolska gościnność tego wymaga — dodał żartobliwie,

— Hm. Przeczytaj no mi jej depezę.

— *Przyjeżdżam dzisiaj dwunasta z dzieckiem.*

— Z dzieckiem? No, to ja, niestety, nie mogę jej wziąć do siebie, aby dziecka nie zarazić, bo mój synek łuszczy się jeszcze.

— Łuszczy się?! Jak to?

— Zwyczajnie, jak przy szkarlatynie.

— O, Boże, Staś ma szkarlatynę.? Nic nie wiedziałem!

Czy...

— Wybacz, Wit, lecz mam robotę, która nie cierpi zwłoki. Jeśli naprawdę obchodzi cię stan zdrowia Stasia, twojego chrześniaka!... to zadzwoń do mojej żony. Ucieszy ją twoja troskliwość... I do widzenia ci...

— Czekażże, Bolku. Nie poradziłeś mi jeszcze, co począć

Z...

— ...z tą Krystyną? Ano przyjmij ją z otwartymi ramionami, jak nakazuje staropolska gościnność — odparł major z humorem.

— Ale ja nie znoszę kobiet, a ta baba, jak pisze, chce tu siedzieć aż dwa tygodnie! Z dzieckiem! Z jakimś krnąbrnym brzdącem, który pewnie wrzeszczy od rana do wieczora i który gotów zdemolować mi w mieszkaniu moje zbiory! Ta baba — ciągnął dalej głosem coraz bardziej grobowym — jeżeli mąż czy kochanek puścił ją w trąbę, będzie usiłowała złapać mnie! Niedoczekanie jej, lecz po co ja mam narażać się na takie historie? Jestem, powiadam ci, zrozpaczony i... Ty się śmiejesz?!

Dotknęło to Witolda do żywego i złość go zaczęła ponosić, gdy brat, któremu przed chwilą tak spieszyło się do jakiejś roboty, jął „na morgi” pokpiwać sobie z niego i z jego dzisiejszej „zgryzoty”.

— Robisz dramat ze śmiesznej drobnostki — major perorował z kolei. — Oto skutki nazbyt łatwego życia. Niedołęgę zrobiły z ciebie te zbytki, wśród jakich wzrastałeś i ten olbrzymi spadek...

— Tu cię boli! — odgryzł się Witold. — Wciąż jeszcze nie możesz strawić tego, że ojczym mnie fabrykę zapisał, a nie tobie!

— Bądź pewny, że nie byłbym jej przyjął, jak nie przyjąłem legatu, którym poczęstował mnie w swoim testamencie.

— Zastanawiałem się nieraz, czemuś go odrzucił, lecz...

— A czy zastanawiałeś się kiedy, — wtrącił starszy Rodawski gwałtownie — dlaczego ojczym zawsze tak wyróżniał ciebie i ciebie zamianował uniwersalnym spadkobiercą?! Pomyśl nad tym, kochasiu. Jeśli zaś

rozwiążesz tę smutną zagadkę i pomimo to odziedziczone krocie nie staną ci ością w gardle, to jesteś... ech, co mnie to zresztą obchodzi. No, do widzenia, Wit. Muszę kończyć nieodwołalnie, gdyż do drzwi mej pracowni ktoś puka.

Pukał tam jeden z młodszych oficerów Oddziału Drugiego.

— Panie majorze — zameldował „posłusznie” — w tej chwili wpłynął sensacyjny raport od *E-pięćdziesiąt*.

Bolesław Rodawski, choć mocno poirytowany rozmową z bratem, roześmiał się na całe gardło, zanim jeszcze przeczytał ów raport.

— To jest intuicja, co?! — rzekł z dumą, odsunął jedną z bocznych szuflad biurka i wyjął z niej dość grube akta w jaskrawo żółtej obwolucie. — Tak, poruczniku. Gdyby mnie ktoś przed godziną zapytał, dlaczego biorę dziś tę, a nie inną teczkę, nie umiałbym odpowiedzieć na to pytanie. Teraz rozumiem: intuicja!

Porucznik potakiwał z obłudną gorliwością, gdyż powszechnie tu było wiadome, że major Rodawski, przy swoich niezaprzeczonych zdolnościach, ma zabawnego bzika na punkcie własnej intuicji.

— Ja snadź już od rana podświadomie wiedziałem — ględził dalej major — że właśnie dzisiaj otrzymamy tak ważny raport stamtąd.

Tu wskazującym palcem dotknął obwoluty akt w tym miejscu, gdzie widniał napis: *E-50*, a nad nim *ALEKSANDRA THORNE*.

ROZDZIAŁ III

O godzinie jedenastej Witold Rodawski wezwał do siebie Eugeniusza Twardzika i zlecił mu wykonanie zadania, które zrazu wyglądało na łatwe.

— W moim imieniu powita pan na dworcu panią Krystynę Motyło, wytłumaczy pan jej, że jestem całymi dniami bardzo zajęty, że teraz mam, na przykład, posiedzenie związku przemysłowców i odwiezie ją pan z dzieckiem do mojego mieszkania, gdzie resztą zajmie się Jan.

— Tek, penie derektorze. Prosiłbym tylko o rysopis tej peni.

— Ba, ja jej przecież nigdy w życiu nie widziałem. Magister Twardzik aż ręce załamał.

— Więc jak ją odróżnię od innych pasażerek? — jęknął.

— To już sprawa pańskiego sprytu... W najgorszym razie niech pan głośno wywołuje jej nazwisko aż do skutku.

Do tej żartobliwej rady Twardzik musiał zastosować się w końcu, chociaż w drodze na dworzec zupełnie inaczej wyobrażał sobie swe poszukiwania.

— Telegrafowała z Pińska, tam gdzieś mieszka, zatem musi być ubrana, jak paniusia z zapadłej prowincji. A cecha charakterystyczne: dziecko. Będzie je z pewnością trzymała na ręku, — przypuszczał. — Stanę przy wejściu i poznam taką od razu.

Potem przypomniał sobie jednak, że z Dworca Głównego można wyjść na Aleje Jerozolimskie lub na ulicę Chmielną,

albo wreszcie głównym wejściem od Marszałkowskiej. Na obstawienie tych posterunków trzeba by co najmniej trzech osób, on zaś został wydelegowany sam.

— Muszę ją upolować już na peronie — zrozumiał.

Nie wydawało mu się to trudną rzeczą, gdyż nie wziął pod uwagę pośpiechu, z jakim podróżni zawsze opuszczają dworce po przyjeździe. I kiedy zajechał pociąg przybyły z Brześcia, kiedy ludzie zaczęli wysypywać się równocześnie z kilkunastu wagonów i kłusować ku wyjściom, pan Twardzik zgłupiał. Tu kobieta z dzieckiem, tam kobieta z dzieckiem, ówdzie trzecia ze swoją latoroślą, potem w kupie pół kompanii szczęśliwych matek i zgadujże, człowieku, która z nich jest panią Motyło.

— Pani Motyło! Pani Motyło!

Wykrzykując to dźwięczne nazwisko, miotał się rozpaczliwie jak tonący, którego porywa wartki prąd rzeki. Rzeka ludzi poniosła go aż ku wyjściu, spocił się, zachrypnął od wołania i wszystko na nic. Marszałek Foch opowiadał, że w Polsce zafrapowały go najwięcej *kilometry dzieci*. Dobrze ćwierć kilometra dzieciarni przyjechało tym pociągiem zapewne dlatego, że nazajutrz miał rozpocząć się rok szkolny, więc magister Twardzik był bliski płaczu. W desperackim kontrataku przebił się do wagonu pierwszej i drugiej klasy, gdyż uznał za absurd przypuszczenie, że przyjaciółka, czy istotnie krewna pana *derektera* mogła przyjechać trzecią.

— Pani Motyło! Pani Motyłoooo! — skomlał błagalnie, podskakując przed oknami przedziałów, już prawie pustych.

Opustoszał też peron, tak ludny przed dwiema minutami. Pozostała na nim tylko garść flegmatycznych podróżnych, w tej liczbie dwie panienki z chwalebnyim spokojem układające damską garderobę w koszu, który z przyczyn bliżej

nieznanych pękł i całą swą zawartość wypluł na beton. Starsza z nich odważnie zastąpiła drogę panu Twardzikowi, kiedy ów cwałował obok miejsca bagażowej katastrofy, powtarzając z bolesną ekspresją:

— Motyło! Oooo, pani Motyłoooo!

— Taż ja własnje zwje sje Motyło! — wycedziła powoluteńku śpiewną mową kresową.

Eugeniusz Twardzik zastygł w bezruchu z nadmiaru szczęścia. Skamieniał w ekscentrycznej pozie, w jakiej zaskoczyło go to cenne wyznanie, a przed tym momentem akurat podnosił lewą nogę i prawą dłonią wbijał sobie głębiej sztywny kapelusz, nieco dlań za ciasny.

— Pani? Pani jest Krystyną Mot...

— Taaak, to Krysja — wtrąciła młodsza, urocza dwunastolatka, po czym obydwie naraz wydały radosny pisk: — Wujciu! — i, cmoknąwszy w rękę zbaraniałego pana Twardzika, rzuciły mu się na szyję.

Impet ich radosnego natarcia był tak gwałtowny, iż rzekomy wujaszek stracił równowagę, cofnął się, a w tym momencie rozbity kosz zdradziecko podciął mu nogi, Nogi wystrzeliły ku niebu, podczas gdy głowa potylicą palnęła o chodnik peronu, aż jęknęło. Wśród salw śmiechu bagażowych pan Eugeniusz dźwignął się ociężale i z urazą spojrzął na sprawczynię swego upadku.

Wtem straszne podejrzenie zaświtało mu w myśli: To jakaś mistyfikacja! Krystyna Motyło miała przyjechać z dzieckiem, a gdzie to dziecko?!

— Dziecko, to ja — rzekła młodsza, starsza zaś, patrząc z macierzyńską czułością na siostrę, wyjaśniła „rzeczowo”:

— Jej jest Wanda. Stąd zdrobniałość: Dzidzia. Ale od maleńkoscji wołano ją: *Dzjecko* i to smieszne imję sjostrze przyklepiło sję na zawsze. Wujcjo, nie wjedzjał, że ją zwje sje

Dzjecko?

Ano nie wiedział o tym ani Witold Rodawski, ani jego sekretarz, ani poczciwy lokaj Jan, który z własnej pilności kupił dla „dziecka” litr mleka, smoczek i grzechotkę. Wyniknęło stąd moc śmiechu w pięknym apartamencie Witolda, mieszczącym się przy Alei Szucha, kiedy magister Twardzik przywiózł tam obydwie panienki, a po wybuchach wesołości przyszła kolej na zdumienie i zachwyty. Nie tylko Wandzia, ale nawet Krystyna nie widziała jeszcze nigdy automatycznego telefonu ani radioodbiornika z wmontowanym weń patefonem, ani gazowej lodówki, ani... prawdziwej łazienki, więc podziwiała te cuda i z nabożeństwem słuchały objaśnień lokaja.

Ów zaś był teraz w siódmym niebie; przykuty do telefonu, kilka razy dziennie kontrolowany przez chlebobawcę telefonicznie, czy nie wyszedł z domu nudził się okropnie w mieszkaniu i dosłownie gadał do obrazów. Teraz nareszcie zyskał żywe audytorium, dwie młodziutki, wdzięczne słuchaczki, które tytułowały go *szanownym panem* i patrzyły nań jak na cudotwórcę, gdy napełniał wannę ciepłą wodą w ciągu paru minut lub gdy po kąpieli suszył im włosy „wiatrem” z elektrycznej maszynki.

Resztę popołudnia wypełniało pannom Motyło oglądanie niezliczonych bibelotów i pamiątek z dawnych podróży Witolda Rodawskiego oraz spożywanie *długiego* obiadu, który w tym domu jadało się, jak za granicą, o godzinie dziewiętnastej. W przerwach między jednym daniem, a drugim Wandzia drzemała na krześle, w końcu zasnęła na dobre i trzeba ją było położyć do łóżka. Krystyna również *przekłęcie spjaca* po trudach podróży, nie poszła jednak w ślady siostry, uważając, że wypada zaczekać na wuja, którego jeszcze nie znały. Lecz minęły dalsze dwie godziny, a

Witold nie wrócił do domu.

— **To nie wydarzyło się od ładnych paru miesięcy — stwierdził Jan, ziewnąwszy serdecznie. — Jest pół do dziesiątej. Ja idę spać i panience radzę zrobić to samo.**

— **A jak wujcjo dostańje sję do domu?**

— **Ma swój klucz... Nie tylko on zresztą — dodał ciszej i skrzywił się na wspomnienie tajemniczych przyjaciół swego chlebobawcy, którym wolno tu było wchodzić jakby do własnego mieszkania. — No, dobranoc panience.**

Krystyna włączyła prąd do radioodbiornika, jak ją lokaj nauczył, ściszyła muzykę do miłego pianissimo, dając tym dowód kultury, rzadko spotykanej u zwolenników radia, usiadła w głębokim fotelu i w parę minut później zasnęła aż miło. Lecz nie na długo. Punktualnie o dwudziestej drugiej zaterczał dzwonek w aparacie telefonicznym stojącym na biurku. Podniosła słuchawkę, przycisnęła ją do ucha i usłyszała:

— **Hallo, Wit? Dobri wiećiór, liber frojnd. Hier Hans. Dawaj do aparat Riano. Ten ros... rostarg-na-ni... uch, dize poliniszje szprache!... Riano pszes cersztrojthajt zarzucić irgendwo majne gasmaske.**

— **Taż ja nic nie rozumiem! — zawołała zdziwiona.**

Zdziwienie stokroć większe wywołał u zgłaszającego się jej głos.

— **Kobieta?! — wrzasnął i, uznawszy snadź, że omyłkowo połączył się z niewłaściwym numerem, odłożył słuchawkę.**

Podobnie uczyniła Krystyna, lecz pół minuty później telefon zadzwonił ponownie i znowu odezwał się ten sam jegomość.

— **Czi to mieszkanie od direktor Rodawski?**

— **Tak, ale...**

— **Czi jest pan Rodawski?**

— Nie ma, ale...

— A pan Riano?

— Nie ma, nie słyszałam o takim, ale nie mówi się *mieszkanie od*, tylko mówi się po prostu...

Musiała znów przerwać wykład o polskim dopełniaczu, gdyż po tamtej stronie zabrzmiały zmieszane okrzyki. Co najmniej cztery, sądząc po głosach, osoby dawały wyraz swojemu zdumieniu, iż w mieszkaniu inżyniera Rodawskiego przebywa dzisiaj jakaś kobieta. Na ten temat rozpoczął ów Hans indagację tak niedyskretną, że w końcu Krystyna wpadła w gniew, co przytrafiało się jej na ogół rzadko; raz na kilka miesięcy.

— Obraziłam się, użalełam się, a wujcju pana wyzwje na pojedynek!

Rzuciwszy tak „straszliwą” pogroźkę, stwierdziła, że jest wzburzona niecnym posądzeniem i przypomniała sobie zaraz, iż najlepszym lekarstwem na szkodliwy dla zdrowia gniew jest letnia woda. Prawdę mówiąc, zasmakowała w rozkoszach tutejszej ślicznej łazienki, a zamiar uśmierzenia gniewu był świetnym pretekstem do powtórnego zaaplikowania sobie kąpieli.

Właśnie wkraczała do wanny, kiedy drzwi od klatki schodowej odemknął ktoś własnym kluczem i do hallu wślizgnął się cichuteńko jakiś człowiek. Dobrze snadź znał rozkład tego rozległego mieszkania, gdyż poruszał się w nim swobodnie, choć nie zapalał światła; ani razu nie popełnił takiej omyłki, jak siostry Motyło, które nie umiały odróżnić zwyczajnych drzwi pokojowych od drzwi szaf wmurowanych w ściany. Minąwszy amfiladę frontowych pokojów, wyszedł na korytarz, potem skręcił w boczny ganek wiodący do kuchni. Na jego lewej ścianie dojrzał z daleka prostokąt światła. Padało ono z łazienki przez okienko umieszczone

ponad jej drzwiami. Śmiały intruz zabrał jedno z krzesel, idąc na palcach, zaniósł je i ustawił pod drzwiami łazienki, wszedł na nie i zajrzał do wnętrza.

— Herrgott, was für ein reizendes Mädel!¹ — wyszeptał z zachwytem, który wzrastał z każdą chwilą. — Wunderschön! Und wie jung!²

Kąpiącej się Krystynie ani przez myśl nie przeszło, że mógłby ją tu ktoś podglądać. Siedziała w wannie przeszło pół godziny, aż kiedy ją senność zaczęła ogarniać przemożnie, wstała, puściła na siebie strumień letniej wody górá, przez prysznic i, poddając smukłe, gibkie ciało pieścizom tego deszczu, prężyła się, tańczyła, szalała z uciechy. Teraz dopiero zuchwały obserwator miał widowisko *pierwszej klasy*. Zagapił się też do tego stopnia, że nie usłyszał kroków gospodarza, który nareszcie wrócił do domu.

— Hans! Co ty robisz?!

— Podziwiam twoją czarującą kochankę. Czyś o to zazdrosny?

— Kochankę? Zwariowałeś? Złaż zaraz, smarkaczu i odnieś to krzesło, skąd je wzięłeś. Nie lubię, jeśli mi ktoś meble przestawia.

— Zwłaszcza w takim celu, co?!

Szum prysznicu i bulgotanie wody wypuszczonej z wanny zagłuszyły ich rozmowę, dzięki czemu Krystyna nie „spaliła się” ze wstydu... na razie. Miało to nastąpić znacznie później. Tymczasem obydwaj mężczyźni odeszli do gabinetu pana domu, gdzie Hans, szalenie podniecony, jął się dopytywać, kim jest ta dziewczyna, skąd wzięła się tutaj itp. Witold Rodawski, który darzył wielką sympatią tego rudego młodzieńca, zaspokoił jego ciekawość, posługując się głównie informacjami otrzymanymi od pana Twardzika.

— Są to sieroty, podobno moje dalekie krewne, starsza

ma osiemnaście lat i przywiozła młodszą siostrę do Warszawy, by ją umieścić w jakimś internacie. Potem wyjedzie stąd, co oby nastąpiło jak najprędzej!

— Szczerze to mówisz?

— A czy złapałeś mnie kiedykolwiek na nieszczeroci?!

— Nie, Wit, nigdy. Skoro zatem nic ci na nich nie zależy, to nie weźmiesz mi za złe, jeżeli ja z jedną z nich poflirtuję trochę.

— Możesz nawet z obiema — odparł Witold żartobliwie, lecz spoważniał natychmiast. — Sądzę jednak, drogi chłopcze, że nam nie wolno trwonić cennego czasu na takie głupstwa. Zbyt święty jest cel, dla którego...

— *Et tu, Brute, contra me?* — wtrącił rudy z uśmiechem.

— Nie dość, że ojciec wkłada mi to w uszy od rana do wieczora, jeszcze i ty?

— Więc ty jesteś innego, niż my, zdania?!

— Ależ ja żartowałem, Wit. Całkiem niepotrzebnie zmarszczyłeś brwi i patrzysz na mnie tak podejrzliwie. Moja zaciętość wobec naszych wspólnych wrogów jest z pewnością większa niż twoja. Bo ty nie straciłeś nikogo, a mnie zamordowano dwóch braci! I pośrednio matkę!! Czy wobec tego można posądzać mnie o...

— Wybacz mi, przyjacielu...

Rozmawiali po niemiecku. Krystyna, która w drodze do łazienki do wyznaczonego jej przez Jana pokoju musiała przejść obok drzwi gabinetu gospodarza, spłoszyła się, usłyszawszy dwa głosy męskie i ostatecznie zrezygnowała z zamiaru powitania nieznanego wuja jeszcze dzisiaj.

— Powiedz mi teraz, Hans, co sprowadziło cię tutaj o tej porze?

Rudowłosy młodzieniec opisał mu swą telefoniczną rozmowę z „tajemniczą kobietą”, która odezwała się tutaj,

zamiast Witolda lub Riana.

— Riano miał być dzisiaj u mnie?

— Jak to, nie był?! — przestraszył się młody Niemiec. — Wyszedł przed dziewiątą, naturalnie znowu w moim płaszczu, i powiedział wyraźnie, że idzie do ciebie!

— A nie zastawszy mnie, zawrócił i minęliśmy się w drodze.

— Nieprawdopodobne. Z Alei Szucha na ulicę Podchorążych idzie się najwyżej dwadzieścia minut.

— Może wybrał dłuższą drogę, by zażyć przed snem przechadzki.

— W deszczu?!

— Prawda! Ano, zatelefonujemy do willi. Dochodzi jedenasta, Riano powinien tam być już dawno.

Nie było go tam jednak, jak Witold stwierdził telefonicznie.

— Choć wyszedł z domu przed dziewiątą! — Hans wlepił niespokojny wzrok w starszego przyjaciela. — Lękam się, że biednego Riano spotkało jakieś nieszczęście.

¹ **Herrgott, was für ein reizendes Mädel! (niem.) – Boże, co za piękna dziewczyna!**

² **Wunderschön! Und wie jung! (niem.) – Przepiękna! A jaka młoda!**

³ **Et tu, Brute, contra me? (łac.) – I ty, Brutusie, przeciwko mnie? (Słowa Cezara do rzekomego przyjaciela)**

ROZDZIAŁ IV

A Riano od dwóch godzin przebywał w pewnym mieszkaniu przy ulicy Grottgera i upajał się swoim sam na sam z uroczą blondynką, w jej buduarze, przy lampach nieodzownie przyćmionych abażurami, przy czarnej kawie z likierem dziwnie idącym do głowy i wśród oszałamiającej woni perfum rozpylonych w powietrzu; te arcybanalne rekwizyty sztuki uwodzicielskiej miały nieodparty urok dla Riana, który podobnych nastrojów nie zaznał dotychczas nigdy. W tych warunkach rzeczywiście ładna pani Aleksandra Thorne wydawała mu się jeszcze piękniejsza niż wczoraj, tylko jakaś smutna była albo chora, a pod jej oczami o tęczęwkach barwy niezapominajek wзираły spod warstwy różu silne podkówki.

— Czy pani martwi się nadal z powodu straty torebki? — zapytał z kolei, kiedy zapewniła go, że jest zupełnie zdrowa.

— Och. nie, nic cennego w niej nie miałam.

— Zatem z powodu pierścionka?

— On się znalazł, wie pan? Był w rękawiczce. To jest ten.

Wskazała odnośny pierścionek, najskromniejszy pomiędzy pięcioma, jakie nosiła na smukłych palcach i przyłgnęła do niego ustami.

— To pamiątka rodzinna?

— Nie. Poniekąd zaręczynowy.

— Pani ma narzeczonego!?

Zadając to pytanie, zrobił minę tak rozczarowaną, że zagryzła wargi, aby nie parsknąć mu w twarz śmiechem.

— Miałam — odparła z westchnieniem — potem wydano mnie za mąż za innego i... rozwiodłam się przed rokiem.

— Czyli — odetchnął — znowu jest pani wolna.

— Wolna?... A, tak, oczywiście!

Nie uszedł jego uwagi i zaintrygował go mocno ton goryczy, jakim wypowiedziała to *wolna*. Ułożył więc sobie nowe pytanie, trochę niedyskretne, lecz pani Aleksandra, jakby to przeczuła, nie dopuściła do dalszej indagacji; co więcej, sama przeszła do „kontrataku”.

— Powiedziałam panu o sobie już tyle, że mam chyba prawo prosić o rewanż — rzekła, siadając na kozetce, i wskazała mu miejsce obok.

— Cóż ja mam rzec, skoro moja przeszłość jest tak szara.

— A terazniejszość?

— W tej chwili cudowna!

— Wymyka się pan sprytnie, ale czy to jest w porządku? Czyż ja nie zasługuję na chociażby minimum zaufania?

Przecież nazwisko, jakie pan wczoraj wymienił, *Enroth*, jest...

— To było idiotyczne — wtrącił zawstydzony — i błagam panią o przebaczenie, droga pani Thorne.

— Tak mówi się wszędzie za granicą — rzekła z uśmiechem — ale po polsku to brzmi zabawnie *droga pani Thorne*. Już wolę po imieniu.

— Więc *pani Oleńko*?

— Oleńko, Oleńko — powtórzyła cicho, tego zdrobnienia używał mój narzeczony, jedyny człowiek, którego kochałam.

— Wobec tego ja będę zwał panią inaczej. Na przykład *pani Olu*, albo *pani Olgo*. To drugie podoba mi się bardziej. A pani? Czy niejaki Riano może tak panią nazywać?

— Może, ale niejaka Olga-Aleksandra chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej poza tym, że panu na imię *Riano*. A nazwisko?

— Moje nazwisko nic pani nic powie. Nikt go tu nie zna.

— Więc tym bardziej nie rozumiem, dlaczego boi się pan je wyjawić kobiecie, która ma dla pana tyle sympatii!

Na dowód owej sympatii, przytuliła się do swojego gościa i jego dłoń położyła sobie na kolanach, co znakomicie ułatwiło mu zwierzenia.

— Nazywam się... ale to musi zostać między nami...
Baldi.

— Aha, Cipriano Baldi. Zatem pan jest Włochem.

— Niestety!

— Czemu to *niestety*?

— A czyż mam być dumny z tego, co od kilkunastu lat dzieje się w mojej pięknej ojczyźnie i co tam przygotowują obecnie?!

— Czyli, faszystą pan nie jest.

— Ja, faszystą?! - krzyknął oburzony, po czym z istic włoską emfazą i z oszałamiającą szybkością wygłosił gwałtowną filipikę przeciwko faszyzmowi, nazywając jego twórców psychopatami, których dla dobra ludzkości należałoby wytepić tak, jak psy zarażone wścieklizną.

— Uhum — chrząknęła.— Domyślam się już, kim pan jest.

— No, kim? — spytał z widocznym przestraczem.

— Zbiegiem! Skazańcem, który uciekł z włoskiego więzienia.

— Nigdy w więzieniu nie siedziałem, nigdy me byłem sądzony, nigdy nie popełniłem żadnego przestępstwa!

— Ani politycznego?

— Ani. Polityki nienawidzę, nigdy nie miałem z nią nic

wspólnego, a polityków uważam za sutenerów najgorszego gatunku.

— A jednak nie może pan wrócić do Włoch, co?

— Nie mogę, — potwierdził głucho.

— Dlaczego?

Milczał. Pośród chwilowej ciszy słyhać było tykanie antycznego zegara na konsoli i szum deszczu za oknami.

— Znowu pada — zauważyła pani Oleńka tendencyjnie — znowu obrzydliwa słońca, jak przez większą część roku w tym smutnym kraju. A w pańskiej ojczyźnie teraz dojrzewają winogrona! Niebo bez chmurki! Wieczna pogoda i wiecznie zielone liście drzew! — ciągnęła dalej cicho, jakby rozmarzona, równocześnie zaś muskała mu twarz swoją miękką, silnie naperfumowaną dłonią. — Tu zimno — mocniej przytuliła się do niego — a we Włoszech słońce grzeje wciąż mocno i złoci wonne kule pomarańcz... Riano, dlaczego pan nie może tam wrócić?

— Umarli nie wracają — odparł zdławionym głosem.

— Dzieciaku drogi, przecież pan żyje!

— Ale jako Cipriano Baldi umarłem. Utonąłem — zaśmiał się nerwowo — utonąłem, gdy jego statek mijał nocą brzegi Sardynii.

— Czyj statek?

— Tsss! — syknął i konspiracyjnie uścisnął ramię swej nienasyconej ciekawej towarzyszkii. — Słyszała pani?!

— Co? — spytała również szeptem.

Jakiś podejrzany szmer za drzwiami!

Zerwał się, ale zatrzymała go i przerażony wzrok wbiła w drzwi.

— To niemożliwe! W mieszkaniu nie ma nikogo, oprócz nas i Jadzi!!

— Może ona podsłuchuje?!

— **Bardzo wątpię. Nie przyłapałam jej na tym nigdy, a mam ją już od pięciu miesięcy, od mego przyjazdu do Warszawy.**

— **Jednakże dałbym sobie rękę uciąć, że słyszałem szelest i...**

— **Ha, skoro tak, to sprawdzę. Niech pan tylko coś nuci półgłosem, bo w tym pokoju kilka parkietowych deszczulek skrzypi.**

Po tej naradzie, odbytej szeptem, pani Oleńka wstała z kozetki, na palcach podeszła do drzwi i pchnęła je gwałtownie, lecz w przedpokoju, zwanym szumnie hallem, już nie było nikogo. W kuchni zaś zastała swoją służącą w objęciach jakiegoś gentlemana, którego strój wskazywał na przynależność jego właściciela do miejskiej straży pożarnej. Oboje zmieszali się okropnie, stanęli „na baczność”, a rozbawiona tym pani Oleńka zauważyła, że strażak jest bardzo zgrabnym i niebrzydkim młodzieńcem, tylko trochę dziobatym, na skutek ongiś przebytej ospy.

— **Jadziu!**

— **Słucham panią?**

— **Czy to także brat?**

— **Narzeczony, proszę pani.**

— **Ale już trzeci, według moich pobieżnych obliczeń.**

— **Ano, do trzech razy sztuka — odparła Jadzia, ośmielona dobrotliwym spojrzeniem swej chlebodawczyni. — A jeśli i on mi zwieje, to...**

— **Nie zwieje — wtrącił strażak tak uroczyście, jak gdyby przysięgał na wszystkie motorowe sikawki świata. — Kce się z Jadzią żyć, więc upraszam pokornie, żebym mógł tu zachodzić i... i...**

— **...i gasić pożary jej serca? — odpowiedziała mu wyrozumiała pani Oleńka. — Pozwalam, oczywiście, tylko**

niech pan trzyma się starego porządku rzeczy — dorzuciła z uśmiechem.

— Że niby?... Nie kapuję, proszę łaski pani.

— To znaczy, najpierw zróbcie ślub, potem chrzciny, nie na odwrót.

Pogroziwszy im żartobliwie, wyszła z kuchni, zajrzała do łazienki, do jadalni i do sypialni, nawet na balkon, słowem wszędzie, lecz nie znalazła nikogo, czym uspokojona wróciła do swojego gościa.

— Przywidziało się panu z pewnością — rzekła. — Gdzie by tam moja Jadzia miała czas i ochotę podsłuchiwać, skoro złapała nowego fatyganta.

Tu z humorem jąła wyliczać wszystkich cywilnych i mundurowych wielbicieli Jadzi, która przedstawiała ich zwykle, jako braci, szwagrów albo kuzynów, a dopiero wtedy, gdy przyłapano ich na czułościach, jak dzisiaj, odnośny adorator awansował na narzeczonego. Pani Oleńka nie brała jej tego za złe.

— Kochliwość to jedyna wada tej pocziwej dziewczyny, która przywiązała się do mnie jak pies. Przekonałam się o tym, podczas swej choroby, kiedy pielęgnowała mnie z siostrzaną troskliwością — mówiła.

W tej samej chwili rzekomy strażak kuchennymi schodami już opuszczał jej mieszkanie, powtarzając sobie w myśli, by nie zapomnieć:

— Cipriano Baldi... Cipriano Baldi... Cipriano Baldi... A ucho ma drań nadzwyczajne — dodał z uznaniem.

O kilka domów stąd, ale już w ulicy Pogodnej, stała ze zgaszonymi światłami zielona limuzynka. Ospowaty mężczyzna wsiadł do niej, opuścił firanki, szybko zdjął strój strażaka i, przebierając się w zwyczajne ubranie marynarkowe, równocześnie pouczał kolegę siedzącego przy

kierownicy:

— **Musimy teraz wyśledzić, gdzie on mieszka. Pójdę za nim krok w krok, a ty pojedziesz za nami w przyzwoitej odległości. Gdyby po drodze wsiadł do taksówki, dasz gazu, ja wskoczę w biegu i...**

— **Rozumiem. Powiedz mi tylko, kim jest właściwie ten typ.**

— **Zdaje się, że to anarchista, ale przede wszystkim wariat,**

— **Wariat?!**

— **Nie znam trafniejszego określenia człowieka, który w kieszeniach płaszcza nosi takie rzeczy.**

— **Jakie rzeczy?**

Najnowszy wielbiciel Jadzi zbliżył swoją dziobatą twarz do twarzy kolegi i odparł cicho, lecz z efektownym naciskiem:

— **Epruwetki¹ z próbkami gazów bojowych!**

¹ **epruwetki – próbówki.**

ROZDZIAŁ V

Nazajutrz rano panny Motyło, ku swemu zmartwieniu, dowiedziały się od Jana, że inżynier Witold Rodawski już odjechał do fabryki.

- I znowuż będzie tam sędział do nocy
- Nie. Przyjedzie w południe zjeść z panienkami lancz.
- Co zjeść?
- Lancz. To pisze się *lunch*, a czyta *lancz*.
- Ale jak wygląda to dziwne jadlo? Jak smakuje?

Wysłuchawszy dłuższych wywodów starego lokaja, doszły do przekonania, że lunch to jest *po prostu odswiętny objad, tylko bez zupy*.

- Wuj panienek zaprosił też pewnego młodego pana...

Ściśle biorąc, Hans zaprosił się sam i on to właśnie nakłonił Witolda do wydania tego lunchu na cześć przybyłych dziewcząt.

Wychodząc z założenia, że nie może zrobić wstydu bogatemu wujowi wobec gościa i że musi godnie reprezentować ukochane *Polesje*, Krystyna poświęciła dziś swej toalecie więcej czasu, niż kiedykolwiek w życiu. Nie malowała się jeszcze, nie знаła nawet kredki do warg, za to wylała na siebie całą butelkę *pachnidła*, czyli kolońskiej wody o naiwnym zapachu fiołków.

Ponieważ Witold miał tego dnia ważną konferencję o godzinie czternastej, polecił przygotować lunch na dwunastą. Stawił się punktualnie, ale Hans celowo uprzedził

go o całą godzinę. Przyniósł bombonierkę czekoladek i z miejsca ją nadskakiwać Krystynie, lecz spotkał się z bardzo chłodnym przyjęciem; po fatalnej wymowie poznała od razu, że to ten sam człowiek, z którym rozmawiała wczoraj wieczorem przez telefon i nie mogła mu tak łatwo wybaczyć *obrazliwych* pytań. Aby jednak nie uchodzić za źle wychowaną, nie uchylała się od pogawędki, którą w pewnej chwili urozmaiciła sobie pytaniami nieco żenującymi dla gościa:

— Pan od jak dawna w Polsce?

— W zima bendzie tsi roki.

— I jeszcze nie nauczywszy się po polsku?!

— Nie — przyznał Hans ze skruchą. Dodał też, że jeden z jego przyjaciół, Włoch, choć mieszka tu niespełna rok, mówi po polsku już prawie tak, jak rodowity Polak, a... — a dla mi to być trudniejsi mowa niż chiński.

— Ot i przesada. Niby co pan możesz wjedzjec o chińskim?

Rudowłosy młodzieniec zaczął dowodzić, że zna ten język świetnie, jeśli chodzi o narzecze, którego używa się na pograniczu Mandżurii.

— Czy pan tam był?

Zanim Hans zdążył odpowiedzieć na to pytanie, wszedł Witold Rodawski. Siostry Motyło zamierzały powitać go równie gorąco, jak przez pomyłkę powitały na dworcu jego sekretarza, lecz nie doszło do tej demonstracji rodzinnych uczuć. Nie dlatego, że Wandzia przed chwilą wybiegła z salonu i że tu był obecny ktoś obcy, Hans. Nie! Coś innego zniweczyło program powitania i sprawiło, że śmiała, wygadana Krystyna zdołała z trudem wybąkać kilka słów, po czym co prędzej wyszła po siostrę. Dopiero gdy znalazły się razem, ochłonęła nieco z pierwszego wrażenia.

— Dziecko, ty pojęcia nie masz, jaki ten wuj; toż zupełny lord!

— Lord?! Znaczy się, jak ten kudłaty, co to cję raz pokąsał?

— Ależ nie! Prawdziwy, angielski lord, szczupły, sztywny, zimny, śliczny, elegancki, tylko baczków nie ma, jak ten w powieści... Och, żeby on nie był wuj, to ja bym w nim zakochała się z punktu!

— Ej, Krysja, Krysja!

Równocześnie obok, w gabinecie Witolda Rodawskiego przemówił głosem jak z beczki radioodbiornik:

— Nadajemy dziennik południowy.. Wiadomości z kraju i o kraju...

Po kilku zwyczajnych nudziarstwach, którymi Polskie Radio częstuje słuchaczy niemal w każdym swoim dzienniku, zanim poda jakąś naprawdę interesującą nowinę, speaker oznajmił urbi et orbi¹, iż dzisiaj od rana leje. Po tej „rewelacyjnej” informacji zamilkł na kilkanaście sekund, ale czuły mikrofon wyłapał i przekazał radiosłuchaczom czyjeś szepty oraz szelest nerwowo przewracanych kartek. Aż wreszcie...

— Zanim przejdziemy do wiadomości z zagranicy, podamy państwu jeszcze jedną wiadomość lokalną, którą otrzymaliśmy właśnie w tej chwili. Dzisiaj, o godzinie jedenastej minut piętnaście przy ulicy Podchorążych wydarzył się dziwny przypadek, który...

Witold i Hans drgnęli, spojrzeli na siebie z niepokojem. Pierwszy z nich był dotychczas zajęty przyrządzaniem cocktailu, drugi z niecierpliwością zerkał ku otwartym drzwiom, przez które wyszła stąd Krystyna, a obydwaj nie zwracali prawie żadnej uwagi na radio, czekając, aż ono wreszcie przestanie głądzić i zacznie grać. Za to teraz

zamienili się w słuch!

— Jedno z najwyższych drzew parku Łazienkowskiego — ciągnął dalej speaker warszawski — piękny jesion, rosnący przy murze ogrodzenia od strony ulicy Podchorążych, runął na nią, złamawszy się na wysokości dwudziestu metrów i omal nie przygniółł dzieci, które...

Krystyna Motyło właśnie weszła do gabinetu ze siostrą i przystanąła koło drzwi niezdecydowana, czy może już wujowi przedstawić „Dzjecko”, recte² Wandzię, czy też ma zaczekać z tym jeszcze trochę. Bowiem obydwaj panowie, zasłuchani, po chyleni, żeby nie rzec: przyczajeni, wlepiali wzrok w szybkę radioodbiornika z takimi minami, jak gdyby ów mechaniczny gaduła miał im lada chwila obwieścić wyrok śmierci.

— Naoczni świadkowie tego zdarzenia twierdzą zgodnie — brzmiał dalszy ciąg dziennika radiowego — że górna część drzewa tuż przed jego upadkiem stanęła w płomieniach, że prawdopodobnie uderzył w nie grom. Potwierdzałoby tę wersję to, iż odcięty pień jest osmalony w tym miejscu, gdzie uległ złamaniu. Ale huku nie słyszał nikt i w ogóle dzisiaj nie grzmiało. Należy więc przyjąć, że miało tu miejsce rzadkie zjawisko atmosferyczne, które można by nazwać *bezgłośnym piorunem*. Trzy ofiary tego wypadku odwieziono do szpitala. Stan ich jest ciężki, lecz nie budzi obaw... A teraz przechodzimy do wiadomości z zagranicy. Przez Kanał Sueski płyną wciąż transporty wojsk włosk....

W pół słowa urwało się gadanie radioodbiornika, gdyż Hans właśnie wyłączył prąd i, ku wielkiemu zdziwieniu sióstr Motyło, zaczął fikać kozły po dywanie.

— Hurra! — krzyczał przy tym na całe gardło. —
Zwycięstwo!

— Daleko jeszcze do zwycięstwa — rzekł Witold, patrząc

z wyrozumiałym uśmiechem na objawy żywiołowej radości rudego — niemniej jednak należy oblać pomyślny wynik dzisiejszego eksperymentu.

Ujął w dłonie shaker, potrząsnął nim znów kilkanaście razy z wprawą zawodowego barmana i napełnił kieliszki zimnym jak lód cocktailem.

— Vivat³ *bezgłośny piorun* — zawołał żartobliwie, lecz Hans nie dopuścił do spełnienia takiego toastu, zaproponował inny:

— Vivat nasz genialny Riano, który...

— Vivat jego mistrz — wtrącił Witold. — Od tego nie ustąpię, że przede wszystkim trzeba wypić zdrowie człowieka, któremu zarówno Riano, jak i my, wszyscy tyle zawdzięczamy...

Wypili tak niejedną kieliszek i rozmawiali wciąż po niemiecku. Krystyna rozumiała piąte przez dziesiąte, Wandzia jeszcze mniej, obydwie zaś czuły się dotknięte lekceważącym zachowaniem wuja. Bowiem udawał, że nie dostrzega ich obecności tutaj i raczył je zaszczyścić rozmową dopiero po dłuższym szwargotaniu z rudowłosym młodzieńcem, który najwidoczniej wstawiał się za nimi. Dzięki jego interwencji, Witold Rodawski zdecydował się nawet, acz niechętnie (alkohol nie dla dzieci!), poczęstować „smarkule” swoim cocktailem.

— Ale za to wy również musicie wznieść okrzyk na cześć profesora Ottona Demmera, rozumiano?

— A kto zacz, ów Demmer?

— Mój ojciec — wyjaśnił Hans, zaś Witold, któremu cocktaile już uderzyły do głowy, dodał od siebie bombastyczny komentarz:

— Otto Demmer to nadczłowiek! To geniusz i apostoł najwznioślejszej religii! To świt nowej ery w dziejach

ludzkości!

W Berlinie, gdzie zbiegiem okoliczności dziś także mówiono o Ottonie Demmerze, wyrażano się o nim „trochę inaczej”:

— Tę kanalię, Demmera trzeba by tu ściągnąć koniecznie!

— Tak jest, ekscelencjo.

— Zbiegł, powiada pan, trzydziestego stycznia roku 1933, czyli w dniu, w którym marszałek Hindenburg powołał na stanowisko kanclerza Rzeszy naszego wodza⁴. Wnoszę stąd, iż Demmer to parszywy Żyd.

— Nnnie, ekscelencjo, że ośmielę się zaprzeczyć. Otto Demmer, jak zdołałem stwierdzić, jest aryjczykiem i stuprocentowym nordykiem.

— Więc czemu uciekł z kraju ten stary osioł?!

— Prawdopodobnie przeczuł, że jego nazwisko figuruje na naszej czarnej liście, co istotnie miało miejsce.

— A dlaczego tam figuruje? Czy ma pan spis jego grzechów na tej kartce, na którą pan zerka raz po raz? Proszę mi to pokazać.

Przeczytawszy zaledwie początek „spisu grzechów” Ottona Demmera, dygnitarz huknął pięścią w stół, a z jego ust wydarł się okrzyk oburzenia:

— I taki łotr jeszcze żyje?!

— Ekscelencjo, proszę o wybaczenie, ale dotychczas nie wydano mi rozkazu w sprawie zlikwidowania Demmera. Jeśli jednak ekscelencja sobie życzy, moi ludzie zajmą się odszukaniem obecnej siedziby tego indywiduum i zajmą się... resztą. Upraszam tylko o wyraźną instrukcję...

Ekscelencja nic nie odrzekł zrazu, drżenie szyb, wywołane przejazdem jakiegoś samochodu ciężarowego pchnęło jego myśli pozornie w innym kierunku. Tak jak

obecnie te szyby, drżała onegdaj ziemia na placu ćwiczeń koło Hanoweru podczas defilady zmotoryzowanej artylerii. Bowiem ekscelencja powrócił właśnie z podróży inspekcyjnej, jaką odbywał po wszystkich większych garnizonach zachodniej części Rzeszy i oczyma duszy widział wciąż te dziesiątki tysięcy świetnie wyekwipowanych żołnierzy, dziesiątki tysięcy kulomiotów, dział, czołgów i pancernych aut.

— Nie ma dla Niemca w czasie pokoju piękniejszego widoku nad ten, jaki zgotowaliście mi, panowie dzisiaj.

To zdanie wtrącał do każdego ze swoich przemówień, jakie wygłaszał na bankietach wydawanych na jego cześć w tym czy innym kasynie oficerskim. Mówił to zupełnie szczerze, bowiem był militarystą z krwi i kości, był weteranem wojny światowej, był najgorętszym zwolennikiem idei odwetu za rok 1918. Dlatego radosną dumą napępiał go widok odrodzonej i zmodernizowanej armii niemieckiej, mniej licznej na razie niż dawna, cesarska, lecz o ileż potężniejszej, dzięki najnowszym zdobyczom techniki.

— Główną rolę w przyszłej wojnie odegra lotnictwo...

Tymi słowy rozpoczął swój wczorajszy toast po rewii, w której wzięło udział 500 samolotów, czyli dokładnie piąta część tego, co Niemcy posiadają obecnie według statystyki oficjalnej. (Któreż państwo podałyby cyfry prawdziwe). Wiwatowano długo na cześć niezwyciężonej armady powietrznej, obliczano kpiąco, ile to pociągów amunicji musiałyby wystrzelać nieprzyjacielskie działa zenitowe dla zniszczenia takiej floty, ile czasu musiałyby to trwać, gdy wtem wydarzył się fakt niesłychanej niesubordynacji. Jeden ze starszych oficerów, będąc snadź pod dobrą datą, zawołał na całe gardło:

— Niejaki Demmer zestrzeliłby tę flotę sam w ciągu paru

minut!

Okrzyk ten wywołał zrozumiałą konsternację przy stole biesiadnym. Dowódcy garnizonu omal szlak nie trafił, inni oficerowie w milczeniu sapali złowrogo, tylko ekscelencja nie podzielał ogólnego oburzenia. Po bankiecie wezwał do siebie wstawionego podpułkownika (który ze strachu już wytrzeźwiał), odbył z nim dłuższą przejażdżkę samochodową i zaczął go wypytywać bardzo szczegółowo o *niejakiego Demmera*. Okazało się w trakcie tej rozmowy, że podpułkownik ongiś sąsadował z profesorem Ottonem Demmerem, że odwiedzał go często, jednak w końcu zerwał z nim wszelkie stosunki, gdyż *jako dobry patriota niemiecki nic mógł strawić politycznych bluźnierstw tego utopisty*.

— Pięknie, Lecz pan jest utopistą stokroć większym. Bo jakże usprawiedliwi pan swój okrzyk, że Demmer w ciągu paru minut zdołałby sam jeden zestrzelić olbrzymią flotę powietrzną?

— Ekscelencjo, byłem świadkiem jego kilku eksperymentów, dokonanych z pomocą maleńkiego modelu na różnych silnikach. Na przykład...

Wyczerpujące, a może i przesadzone rewelacje podpułkownika na temat owych doświadczeń tak zelektryzowały słuchacza, że w myśli przeżuwał to opowiadanie aż do rana zamiast spać w wygodnej salonce, którą mu wieczorem przyczepiono do berlińskiego *D-Zugu*⁵. Powróciwszy do stolicy, polecił przyprowadzić do siebie natychmiast Demmera i dowiedział się, ku swej bezsilnej złości, że taki rozkaz należało wydać dużo, dużo wcześniej; już dwa i pół roku temu profesor Otto Demmer wyjechał z Berlina w niewiadomym kierunku, zabierając ze sobą najmłodszego syna, Hansa, i jakąś Chinkę, która od lat mieszkała u niego.

Ekscelencja najpierw klął przez pół godziny na czym świat stoi, potem zwrócił się o pomoc do wywiadu wojskowego. Przedstawiciel tej groźnej instytucji w ciągu kilku godzin zdołał ustalić, że Demmerowie zbiegli z Niemiec przez wschodnią granicę, dnia 30 stycznia 1933 roku. Następnie złożył sprawozdanie dostojnemu interpelantowi, który przyjął je wiele mówiącym okrzykiem: *I taki lotr jeszcze żyje?!*, a teraz czekał na decyzję.

— Upraszam o wyraźną instrukcję — powtórzył.

— Trzeba go na powrót sprowadzić tutaj jak najprędzej.

Proszę mu obiecać umorzenie śledztwa, pieniądze, stanowisko i tak dalej.

— A gdyby to nie odniosło skutku?

— Użyć siły!

— Rozkaz, ekscelencjo... Gdyby jednak...

— Znowu pan ma jakieś *gdyby?!?*

— Przewiduję jeszcze jedną ewentualność.

— Mianowicie?

— Mianowicie, że Demmer mógł oddać się na usługi państwa, które udzieliło mu azylu i które we własnym interesie strzeże go dobrze. A jeśli tak, to uprowadzenie tego człowieka może natrafić na przeszkody, jakich nasi ludzie przewyciężyć nie zdołają. Co wtedy, ekscelencjo? Czy mamy tolerować to, że inne państwo korzysta z dzieł genialnego Niemca, który...

— Nigdy! — wtrącił dygnitarz gwałtownie. — Wolałbym po stokroć, aby Demmer powrócił tutaj i pracował dla nas. Jeżeli jednak stało się, niestety tak, jak pan przypuszcza, proszę tego nikczemnego zdrajcę ojczyzny zlikwidować bez litości!

— Ekscelencjo, rozkaz będzie wykonany...

¹ **urbi et orbi (łac.) – miastu i światu.**

² **recte (łac.) – właściwie.**

³ **vivat! (łac.) – niech żyje!**

⁴ **naszego wodza – Adolfa Hitlera.**

⁵ ***D-Zug* (niem.) – skrócone *Durchgangszug* – pociąg pośpieszny.**

ROZDZIAŁ VI

O godzinie szóstej rano zaterkotał budzik, stojący na odwróconym talerzu, aby dzwonek dźwięczał głośniejsze, gdyż Otto Demmer miewał kamienny sen. Obudzony się, zdjął bajecznej długości nocną koszulę (do piżam przekonać się nie zdołał), podszedł do okna otwartego na oścież przez całą noc i zaczął gimnastykować się z werwą zadziwiającą w jego wieku. Poświęcał na to równy kwadrans, a tyleż czasu zabierał mu prysznic w łazience, golenie się i reszta toalety.

Również podług zegarka odbywała się codzienna przechadzka. Ponieważ musiała trwać dokładnie 27 minut, a profesor Demmer od swej ucieczki z Niemiec miał się na baczności i rzadko wychodził na ulicę, spacerował tutaj dokoła willi albo, jeżeli była słota, dokoła stołu w jadalni. Okręzał stół czy willę w otaczającym ją ogródku przez 13 minut, odpoczywał minutę, robił wstecz zwrot i znów przez 13 minut tą samą drogą wracał z przechadzki. Wracał do swojej sypialni, aby zmienić trzewiki na pantofle oraz nałożyć kitel i punktualnie o godzinie siódmej wkraczał do laboratorium.

Tak zawsze zaczynał dzień, tak było i dzisiaj, lecz dzisiaj już przy pierwszym okrążeniu willi zauważył coś, co zaintrygowało go trochę, mianowicie ślady czyjejś nocnej wizyty. Na ziemi rozmięklej po deszczu, jaki padał wczoraj i onegdaj, dostrzegł odciski stóp obutych w trzewiki z gumowymi obcasami. Najwięcej było tego koło muru

oddzielającego ogród od ulicy Podchorążych, na murze zaś widniały świeże rysy i bryłki przyschniętego błota.

— Kogo tu lichy nosiło?

Otto Demmer szybko odrzucił pierwsze przypuszczenie, że nieznany intruz był zwyczajnym złodziejaszkiem. Taki nie miałby nic do szukania w ogrodzie nie posiadającym żadnych drzew owocowych ani warzyw, nie próbowałby też wdrzeć się do willi mającej okna dobrze zabezpieczone okiennicami i zamieszkałej przez pięć osób, które nie wydały się stąd prawie nigdy; przecież złodziej mieszkaniowy przed wyprawą pilnie „studiuje” tryb życia ludzi, których zamierza okraść.

— Czego on tu szukał?

Chcąc rozwiązać tę zagadkę, Demmer sam zaczął szukać dalszych śladów bytności nieproszonego gościa i w końcu dostrzegł obok krzaku głogu przedmiot, który laik wziąłby za szkiełko od dużego zegarka. Nie było to jednak szkło, lecz szybka wykonana z niepalnej hydrocelulozy, szybka okularowa maski gazowej!

— Szybki okularowe naszych masek są na pewno mniejsze, więc skąd się to wzięło tutaj? — mruknął zaniepokojony swym odkryciem.

Popsuło mu ono dzisiajszą przechadzkę, ale nie zburzyło zwykłego porządku zajęć. Dokładnie o tej samej porze co zawsze, czyli o godzinie szóstej minut 57 Otto Demmer wrócił po pantofle i kitel do swojej sypialni, gdzie spotkała go nowa niespodzianka, tym razem bardzo przyjemna. Jego mały pokój tonął w kwiatkach, a w pośrodku stała z bukietem róż w dłoniach młoda, drobna, skośnooka kobietka w czarnym kimonie, na którym wyhaftowane barwnymi nićmi kwitły cudne storczyki.

— A to co? — zdziwił się, patrząc z przyjaznym uśmiechem na swoją pupilkę. — Czy dziś jest jakie święto?

— **Wielkie święto, największe w tym domu. Pańskie urodziny! Zeszłego roku gniewał się pan, że *zaśmieciłam zielskiem* laboratorium, więc tym razem przyniosłam kwiaty tutaj.**

Mówiła po niemiecku płynnie, bez żadnych błędów, lecz zmiękczała brzmienie słów jeszcze bardziej niż wiedeńczycy; miało to szczególny urok przy jej dziecinnym głosiku, dźwięczącym jak srebrne dzwoneczki.

— **Moje urodziny, naprawdę?**

— **Tak, mistrzu. Dzisiaj kończy pan sześćdziesiąt sześć lat.**

— **Do licha, nie wiedziałem, że jestem już takim starym dziadem.**

Zaczął sam żartować ze siebie, ze swojej siwej „grzywy”, ale w gruncie rzeczy był mocno niezadowolony, że znowu wypominano mu wiek, że wyrządziła mu tę przykrość Lan-Cheng, którą tak lubił i... ba, czy tylko lubił?! I właśnie ona! — Właśnie ty, niedobra! — czynił jej wymówki w myśli, słowami zaś dziękował obłudnie, że pamiętała o jego urodzinach.

— **Wszyscy o tym pamiętamy, tylko ja chciałam pierwsza złożyć panu życzenia, najlepszy mój opiekunie.**

Usiadł na krześle, by nie potrzebowała główki zadzierać do góry, bowiem wyższy był od niej o pół metra. Z grzeczną uwagą wysłuchiwał jej powinszowania ubranego w kwieciste słowa ze wschodnim przepychem, lecz szablonowego w treści, aż dopiero gdy po zdrowiu, po najpomyślniejszych wynikach pracy, zaczęła mu życzyć także i szczęścia, smutnie pokiwał głową.

— **To całkiem nieaktualne — mruknął**

— **Dlaczego?!**

Nic nie odrzekł, ale wydało się jej, iż musnął wzrokiem

trzy fotografie wiszące nad łóżkiem. Jeden z rogów każdej z nich był na ukos przecięty skrawkiem krepy wypłowiałej już dawno. Dawno już zmarły te trzy osoby, żona profesora Demmera i dwaj jego starsi synowie.

— Mistrzu, tak panu myśleć nie wolno. Przecież żyje Hans, pański najmłodszy syn i najzdolniejszy! Przecież my, pańscy uczniowie, kochamy pana, jak rodzzonego ojca. Och, więcej!

— Więcej? Ty także?

— Ja przede wszystkim! Ja pana... — urwała i zarumieniła się nagle, co wywołało u niego przyspieszony rytm serca.

— Twój afekt względem mnie jest tylko wdzięcznością. Tylko!

Mówiąc to, błagał ją wzrokiem, by zaprzeczyła i tak się też stało ku jego szalonej radości. Nieco rozwlekła ją dowodzić, że istotnie jest mu wdzięczna za wszelkie dobrodziejstwa, jakich zaznała od niego po śmierci swoich rodziców zabitych lotniczą bombą japońską, ale to jeszcze nie wszystko; ona żywi wobec *najdroższego opiekuna* także inne uczucie...

— Czyż to możliwe?! — wtrącił upojony jej słowami.

Zdawało mu się, że tak, że bardzo możliwe. Miał wprawdzie lat sześćdziesiąt sześć, lecz wyglądał najwyżej na pięćdziesiątkę, a w tej chwili czuł się niemal młodzieniaszkiem. Dzięki higienicznemu trybowi życia, dzięki gimnastyce i jarskiej kuchni był wciąż jeszcze krzepkim, czerstwym mężczyzną. Był też zawsze starannie ogolony, przystrzyżony i czysty aż do przesady, co wytykał mu stale Riano Baldi, który, jak większość uczonych, nic nie dbał o swój wygląd zewnętrzny i gorszył się elegancją swego mistrza.

Z drugiej zaś strony Lan-Cheng, choć liczyła zaledwie dwadzieścia sześć lat, nigdy nie zdradzała zamiłowania do flirtu z młodymi mężczyznami, ani do innych rozrywek swoich białych rówieśnic. Poważna, pochłonięta pracą w laboratoriach, oddana całą duszą ideologii profesora Demmera, mogła przecież zapomnieć o dzielącej ich różnicy wieku.

— Czy możliwe? Ależ to pewne, mistrzu.

Pomimo wystających kości policzkowych była wcale ładna, zwłaszcza teraz, gdy podniecenie rozplomieniło jej oczy i zabarwiło żółtą twarzyczkę szkarłatem rumieńców. A profesor Otto Demmer, który nawet przed sobą nie przyznawał się nigdy, że kocha tę dziewczynę bezgranicznie, że pożąda jej silniej, niż pożądał tej czy innej kobiety w swej młodości, kiedy mógł przebierać, teraz z trudem panował nad sobą. Nie przypuszczał, iż szczęście uśmiechnie się doń jeszcze raz w życiu, nie wymagał tego od losu.

— Orchideo precudna...

— Bardzo lubię — wtrąciła — gdy mnie tak nazywają.

***Lan* znaczy po chińsku *orchidea*. Nikt z domowników nie mógł pojąć, dlaczego irytuje to profesora, jeżeli ktoś tłumaczy imię *Lan* na język niemiecki i tak żartobliwie woła na koleżankę Cheng. Nie przypuszczano, że Otto uważał to za wyłącznie swój przywilej, z którego zresztą korzystał tylko w najskrytszych myślach.**

— Orchideo, więc ty... naprawdę... chciałybyś...

— Pragnę tego gorąco! — zawołała, padła na kolana i czołem dotknęła jego trzewików.

Podniósł ją, posadził sobie na kolanach, objął w pół lewym ramieniem, a prawą rękę przycisnął do swojego serca, gdyż tłukło mu się w piersiach zatrważająco. Ha, odwykło snadź od tak cudownych chwil i należało je na nowo

oswajać, powoli, ostrożnie, by nie pękło z nadmiaru szczęścia.

Potem wyprostował się, dumnie potrząsnął grzywą włosów białych jak mleko, lecz bardzo jeszcze gęstych. Zwycięską miną oznajmiał całemu światu, że ta kobieta obecnie należy do niego. Że ewentualnego rywala on, profesor Demmer, potrafi unieszkodliwić na zawsze! Że pomimo swojego wieku jest nadal dzielny samcem zdolnym do walki o tę samicę, która, choć młodsza o równe czterdzieści lat, chociaż taka piękna, wybrała właśnie jego!

Ale ta jurna czupurność od razu ustąpiła miejsca najczulszej tkliwości, kiedy w oczach Lan-Cheng zalśniły łzy.

— To ze szczęścia — zapewniała go wzruszonym głosem.

Zakryła sobie twarz dłońmi, do nich więc przylgnął drżącymi ustami, zanim po raz trzeci powrócił do niedokończonego pytania, które już uważał za zbędne merytorycznie, lecz wskazane ze względu na rozkoszną odpowiedź, jaką powinno było spowodować.

— ...naprawdę chciałybyś, abym ja... został... twoim...

— Tak! Tak! Tak! — przerwała mu popędliwie. — Od wielu już lat marzę o tym, aby pan, najczcigodniejszy mistrzu, został moim teściem...

Teściem! Nie mężem, ale teściem!! Profesor Otto Demmer doznał podobnego skurczu serca, jak ongiś, gdy wiadomość o strasznej śmierci drugiego syna zabiła mu żonę. Równocześnie wydało mu się, że gdzieś ktoś ryknął salwą szyderczego śmiechu. — Przywidzenie, absurd — pomyślał, ale za żadne skarby nie spojrzalby teraz na trzy fotografie wiszące nad łóżkiem, na podobizny tych swoich najbliższych, którzy odeszli w zaświaty. A jego największą troską stało się od razu to, by Lan-Cheng nie odgadła nigdy,

jaki zawód spotkał go przed chwilą. Nie, nie, raczej wszystko, niż ośmieszyć się tak w jej oczach...

— Mistrzu mój — w głosie Chinki, zaniepokojonej długim milczeniem profesora, łkał smutek, pan by mnie nie chciał za synową?

— Ależ owszem, owszem — wykrztusił — pobierzcie się, jeżeli nie ma żadnych przeszkód.

— Jakież mogłyby być przeszkody, skoro pan się ^{waldi0055} zgadza? Przyjęłam waszą religię, wasze obyczaje, władam waszym językiem prawie tak, jak swoim ojczystym, mam doktorat, mam trochę pieniędzy w banku i...

— ...i o pięć lat więcej, niż Hans!

To było brzydkie, niegodne profesora Demmera, ale ślina przyniosła mu te słowa na język. I nie odwołał ich, pragnąc, by i ona skosztowała jego dzisiejszej gorczy.

Aliści chybił.

— Istotnie, jestem starsza od niego, to cieszy mnie najwięcej. Bo ojciec mój także młodszy był od matki i dała mu najwyższe szczęście.

Dość szorstko usunął ją ze swoich kolan, po czym oburącz zaczął rozpinać kołnierzyk, wysoki, sztywny, *Vatermörder*, gdyż dusił go teraz, jak dotychczas nigdy. Miał wrażenie, iż zemdleje, jeżeli natychmiast nie zerwie go z szyi, choć nosił te nakrochmalone obroże od niepamiętnych lat.

— A Hans — zapytał jeszcze nacichającym głosem — czy Hans kocha... cię... nawzajem?

— Nie wiem — westchnęła — nie wiem, jak właściwie objawia się miłość u ludzi białej rasy. Czy... Mistrzu, na Boga, co panu?!

Zanim przebrzmiał ten okrzyk przestrawu, Otto Demmer

skulnął się z krzesła na podłogę. Nie stracił jednak przytomności. Czuł, że przenoszą go na łóżko: Riano, Hans i Lan-Cheng. Ona podtrzymywała mu głowę, a przy tej sposobności kimono rozchyliło się tak, że odsłoniło jej piersi, zbyt małe, jędrne i kształtne, aby musiała nosić biustonosz. I wtedy profesor Demmer przypadkowo spostrzegł na jej ciele coś, co przejęło go zgrozą. Wtedy zrozumiał znaczenie przed chwilą zasłyszanych słów: *Nie wiem, jak właściwie objawia się miłość u ludzi białej rasy.* Wzdrygnął się cały.

— Mój syn — wyszeptał, ukrywając twarz w dłoniach — mój... Hans... jest... — odpowiednie określenie uwięzło mu w gardle.

ROZDZIAŁ VII

Witold Rodawski, tak jak przyrzekł onegdaj, przyjechał na ulicę Podchorążych o dwunastej w południe, oczywiście bez szofera. Zatrąbił na klaksonie raz krótko, dwa razy dłużej, co według alfabetu Morse'a oznacza literę *W*. Musiał jednak powtórzyć ten z dawna umówiony sygnał kilka razy, zanim wreszcie z willi wyszedł do ogrodu jakiś człowiek w czarnej jarmułce i skierował się ku bramie. Był to rosły mężczyzna o cerze prawie białej, lecz o płaskiej, mongolskiej twarzy i oczach skośnych, że wyglądały jak dwie wąskie szpareczki.

Typowy ten mieszaniec, będący zapewne dzieckiem miłości jakiejś Chinki i białego marynarza czy kupca, odznaczał się bajeczną flegmą. Idąc powoli przez ogród, liczył świeże „blizny” róż ściętych dziś wczesnym rankiem przez Lan-Cheng, raz po raz przystawał, wzdychał na widok śladów tej „rzezi” kwiatów. Dotarłszy do bramy, nie otworzył jej od razu, pierw wyjrzał na ulicę przez maleńkie, okrągłe okieneczko, by stwierdzić, czy to trąbi na pewno pan Rodawski, nawiasem mówiąc, właściciel tej willi i żywiciel jej mieszkańców.

Witold, przyjeżdżając tutaj, zwykle parkował swój samochód na ulicy, dziś jednak wprowadził go w obręb ogrodzenia, gdyż Hans wczoraj prosił o to wyraźnie. Zajechawszy przed drzwi willi, zamknął motor, wysiadł i z łagodną wymówką zwrócił się do barczystego pół-Chińczyka:

— Niepoprawny z ciebie guzdrała, Kyo. Wyczekałem się na ulicy prawie pięć minut, to stanowczo za długo.

— Długo, panie? Chiny „troszeczkę” dłużej czekają, aż ocknie się wreszcie sumienie świata i czekają na próżno.

Witold Rodawski roześmiał się serdecznie.

— Zawsześ ten sam — rzekł, klepiąc tamtego po ramieniu. — Czy są jakie sensacje lokalne?

— Sensacje? Tego słowa nie rozumiem.

— Pytam, czy zaszło coś niezwykłego, nadzwyczajnego.

— Nic, panie.

— No, to wracaj do kuchni i postaraj się, abyśmy na lunch nie czekali tak długo, jak twoje biedne Chiny na sprawiedliwość.

Powiedziawszy to żartobliwie, wszedł pierwszy do hallu willi, gdzie wybiegł mu naprzeciw Riano Baldi.

— Jak się masz, Wit — powitał wchodzącego głośno, lecz zaraz zniżył głos. — Spieszę cię uprzedzić, abyś nie zrobił przestraszonej miny na widok naszego staruszka.

— Co to znaczy?

— Widzisz, Otto miał dziś rano atak serca, leży w łóżku i...

— Dlaczego nie zawiadomiliście mnie o tym natychmiast?!

— Zabronił nam najsurowiej, lekarza także nie pozwolił wezwać, a ty wiesz chyba, jaki on jest apodyktyczny, jeśli chodzi o jego osobę.

— I ten stary osioł Kyo zapewniał mnie, że wszystko w porządku!

— Unikaj nieścistości, panie. Bynajmniej nie twierdziłem, że wszystko jest w porządku, tylko, że nie zaszło nic nadzwyczajnego. A czyż można uważać za coś nadzwyczajnego to, iż serce zaczyna zawodzić po

sześćdziesięciu latach pracy? Najlepszy motor zużyłby się już dawno, nie wymagajmy więc cudów od kawałka mięsa...

Słowa tego monologu, wypowiedzanego powoluteńku i głosem przekłęcie monotonnym, ścigały Witolda, dopóki nie minął schodów, skrawka galeryjki na pierwszym piętrze i nie zniknął za drzwiami wiodącymi do sypialni profesora. Lan-Cheng czuwała przy chorym, który był dzisiaj tak zmieniony, że Rodawski zaniepokoił się poważnie. Nie dał tego jednak poznać po sobie, przeciwnie, zaczął żartować i na wesoło łąając „chytrego” mistrza, że symuluje chorobę, aby wymigać się od biby, jaką chcieli uczcić jego urodziny.

Ale profesor Demmer nie był tak naiwny.

— Oceniam twoje zacne intencje — rzekł. — Pragniesz mnie uspokoić, a tobie samemu strach wyziera z oczu. Im także... Niepotrzebnie, dzieci, niepotrzebnie. To, że serce trochę nawala, nie wróży jeszcze rychłej śmierci. Bądźcie spokojni. Ja nie umrę, dopóki nie ukończę zaczętej pracy.

— To za mało, mistrzu. Ty musisz dożyć chwili, w której wyniki twojej pracy znajdą praktyczne zastosowanie w całym świecie i zmienią najgruntowniej jego dzisiejsze oblicze, chciwe, ponure, krwiożercze!

— Zlituj się, Wit — odparł z uśmiechem Otto — ty chcesz, abym żył jeszcze dwieście lat?!

— Czy sądzisz, że aż tak długo będzie trwało moralne odradzanie się ludzkości? Nie, profesorze. Ja wierzę, iż w pewnych warunkach wystarczy miesiąc!

— Nawet tydzień — dorzucił Hans, który właśnie wszedł tutaj. Wyjąwszy z kieszeni jakąś próbkę, potrząsnął nią znacząco. — Przy użyciu tego rodzaju środków nawet tydzień wystarczy.

— Tydzień drugiej wojny światowej!

— Wojny chemicznej — zawtórował profesorowi Riano —

z której skutków nie zdaje sobie dziś sprawy nikt!

— **My właśnie położymy jej kres... w pewnej chwili...**

— **W pewnej chwili, to jest, gdy już padnie kilka milionów ludzi.**

— **Może nie tyle...**

— **Tyle, Wit, na pewno tyle lub więcej. Nie zapominajcie, że przyszłe wojny będą wybuchały bez ultimatum, bez wypowiedzenia, nagle! Że pierwszy, niespodziewany atak samolotów bombardujących wytrzebi w napadniętych miastach przeszło połowę mieszkańców! Że...**

Riano, który zawsze mówił szalenie szybko, zachłysnął się, z czego skorzystał Otto Demmer, by wygłosić konkluzję:

— **Chodzi więc o to, czy mamy prawo dopuścić do takiej rzezi, czy nie powinniśmy oddać naszych wynalazków na usługi ludzkości już przed tym, podczas pokoju...**

— **Ach tak! Żeby mieli czas obmyślić środki zaradcze! Żeby nasze wynalazki, które mają służyć sprawie wieczystego pokoju, odpowiednio przerobili i przystosowali do walki! Nie, ojcze; jeżeli nasza praca nie ma pójść na marne, trzeba jej wyniki utrzymać w tajemnicy aż do chwili, kiedy wojenna zawierucha ogarnie świat!**

— **Hans ma rację — dodał Witold Rodawski. — To, co pan radzi, mistrzu, tylko opóźniłoby o kilka miesięcy wybuch wojny, lecz nie unicestwiłoby jej bynajmniej.**

— **Zresztą dlaczego ojciec chce oszczędzić światu trochę cierpienia? Cierpienie uszlachetnia, zmusza do refleksji. Najbardziej zaborczy faszysta wyleczy się ze swej krwiożerczości, gdy złapie w Abisynii trąd lub gdy będzie patrzył na powolne konanie syna czy brata. Śmierć na polu bitwy dawniej wywoływała u rodziny poległego chęć odwetu, a dziś jest najlepszą propagandą pacyfizmu...**

— **Nie zgadzam się z tobą — zaproponował Riano.**

— Smutne by to było — dorzucił profesor Demmer — gdyby głównym krzewicielem pacyfizmu stała się właśnie wojna.

— Smutne, ojczy, ale prawdziwe. Na to, by świat wykreślił ze swego słownika wyraz *wojna*, musi co najmniej ósma część jego mieszkańców zginąć od gazów bojowych! W to wierzę święcie i dlatego jestem zwolennikiem odroczenia naszej interwencji aż do momentu, gdy spora część ludzi zakosztuje przyszłej wojny i zdąży ją znienawidzić.

— Jestem tego samego zdania — oświadczył Witold Rodawski.

— Ja także, ja także — Lan-Cheng rozkochanym wzrokiem patrzyła wciąż na młodego Niemca. — Och, Hans ma rację zawsze!

— Zawsze — westchnął cichuteńko Otto Demmer, potem zmusił się do uśmiechu. — Widzisz, Riano? Przegłosowali nas ci radykałowie i...

— Jeszcze nie...

Odwrócili głowy, spojrzeli ku drzwiom, przy których stał Kyo. Kiedy zdołał tu wślizgnąć się tak bezszelestnie, to było jego „zawodową tajemnicą”, jak mawiał w podobnych wypadkach.

— Jeszcze nie przegłosowali, o ile wiernemu słudze wolno także zabrać głos w tej sprawie.

— Wolno, wolno.

— Skoro wolno, to głosuję przeciw paniczowi Hansowi.

— Dlaczego?

— Dlatego, że łatwiej przeszkodzić powodzi przez podwyższanie grobel niż przez łapanie w nowe koryto rozszalałej rzeki, która już starą tamę przerwała... Ale, według mnie, jest pilniejsza sprawa, nad którą zastanowić się powinniśmy.

— Mianowicie?

— Mianowicie, czy my, pacyfiści, możemy z czystym sumieniem zakatrupić szpiega, który wdziera się tutaj i...

— Cooo?!

— Teraz dopiero to mówisz, przeklęty flegmatyku?!

— Trudno żądać, bym to meldował przed miesiącem, skoro szpicel przyszedł dopiero teraz.

— Przyszedł, zostawiłeś go w hallu, a sam popisujesz się tutaj swoim gadulstwem, ty stary głupcze — zawołał Hans i wybiegł z pokoju.

— Nie należy mierzyć rozumu bliźniego własną miarą — mruknął urażony Kyo, po czym wyjaśnił obecnym: — Szpiega związałem jak pakunek i zamknąłem w piwnicy.

— A gdzieżeś go przydybał? Którędy tu wszedł?

— Furtką, którą mu sam odemknąłem. Bo dzwonił, powiedział, że jest inkasentem z elektrowni, tymczasem inkasent z elektrowni był tu wczoraj.

— To prawda — przyznała Lan-Cheng. — Przyszedł wczoraj pod wieczór z rachunkiem za sierpień, który zaraz uregulowałam, jak zawsze.

— Czy pokwitowanie masz?

— Tak, Riano. Wszystkie kwity trzymam w osobnej teczce. Mogę ją przynieść, jeśli chcecie.

— Dobrze, przynieś ją do hallu, gdzie ja przesłucham tego ptaszka. Może to nie żaden szpieg, ale zwyczajny złodziejasek lub raczej oszust, który ze sfalszowanymi kwitami podbiera należności elektrowni.

Powiedziawszy to, Witold opuścił sypialnię profesora Demmera a wraz z nim Riano, Lan-Cheng oraz Kyo, który w chwilę później wyprowadził z piwnicy swojego więźnia. Okazało się, że nie tylko go związał, ale i zakneblował mu usta. Trysnęła z nich teraz kaskada słów oburzenia na takie

potraktowanie pracownika szanownej *Compagnie d'Electricité de Varsovie*.

— Nie wiadomo, czy pan nim jest naprawdę — wtrącił surowo Witold, a Riano Baldi dodał od siebie:

— Bo tu zawsze przychodził sprawdzać elektromierz taki siwy pan w binoklach osadzonych niemal na czubku nosa.

— To mój kolega, który teraz ma urlop i którego ja zastępuję.

— Kubek w kubek to samo powiedział nam wczoraj ktoś inny!

— Ktoś inny z elektrowni miałby tu być wczoraj?

— Był, wypisał rachunek za sierpień i pieniądze otrzymał.

— Niemożliwe!

— Ja sama zapłaciłam — odezwała się Lan-Cheng, zstępująca właśnie po schodach z jakąś teczką w rękach. — Zaraz pokażę kwit.

— Nie pojmuję doprawdy... to chyba omyłka albo oszustwo...

— Słusznie, słusznie — Witold uśmiechnął się złośliwie. — Nie tracę jednak nadziei, że wyjaśnimy wnet, który z panów jest prawdziwym inkasentem elektrowni, a który... no cóż, pospolitym oszustem.

— Pan sądzi, że ja... oto moja legitymacja! — zachnął się niedawny więzień flegmatycznego Kyo. — Proszę ją obejrzeć, proszę telefonicznie sprawdzić w elektrowni, kto jest upoważniony do inkasowania jej należności w domach przy ulicy Podchorążych. Jeśli okaże się, że nie ja, Franciszek Gąsior, proszę natychmiast wezwać posterunkowego...

Podczas gdy Witold Rodawski łączył się z odnośnym biurem elektrowni warszawskiej, pan Gąsior poddał gruntownym oględzinom kwit, pozostawiony pannie Lan-

Cheng przez wczorajszego inkasenta.

— **Blankiet jest autentyczny — stwierdził — lecz nazwisko abonenta wypisano nie naszą maszyną... Ha, mam go! Widzą państwo tę liczbę? To ma być numer licznika. Numer, oczywiście, fikcyjny, bo prawdziwy jest tu!**

Tryumfalnie wskazał odnośną liczbę w swojej księdze, a potem na elektromierzu zawieszonym w kącie hallu. Ta sama figurowała na wszystkich dawniejszych rachunkach, tylko ów wczorajszy miał zupełnie inny numer, najwidoczniej „skomponowany” przez oszusta.

Tymczasem Witold Rodawski ukończył swoją krótką rozmowę przez telefon z wydziałem obrachunkowym *Towarzystwa Elektryczności* i zaczął przeproszać Franciszka Gąsiora za krzywdzące go posądzenie oraz za nadmierną gorliwość służącego Kyo.

— **I kto jest prawdziwym inkasentem?!**

— **Pan, oczywiście że pan, panie Kaczor.**

— **Gąsior jestem!**

— **O, pardon, oczywiście że Gąsior. Czy pozwoli mi pan uścisnąć jego uczciwą prawicę?...**

Kiedy udobruchany pan Gąsior opuścił willę, czwórka przyjaciół jęła zastanawiać się nad tym, kim mógł być ów wczorajszy inkasent.

— **Może zwykłym, choć na małą skalę, oszustem. Tak mówiłeś, Wit.**

— **Tak sądziłem przedtem. Lecz podczas mej telefonicznej rozmowy zapytałem, czy tego rodzaju *kanty* zdarzają się często i odpowiedziano mi, iż podobnego wypadku nie miała elektrownia od roku.**

— **Czyli, że był to ktoś, przysłany tu na przeszpiegi!**

— **Ale przez kogo? Chyba tylko z policji, w związku z tym, co Riano wczoraj zbroił swoimi promieniami.**

— Nonsens. Czytałem dzisiejsze dzienniki. Wszystkie bez wyjątku zapisały ścięcie tego ogromnego drzewa w Łazienkach na rachunek... che, che, che, che, che — Hans miał śmiech szczególnie niemiły w brzmieniu — na rachunek atmosferycznego fenomenu, który nazwano cichym piorunem.

— Moi drodzy — przemówił Witold — zanim przystąpimy do rozwiązania tej zagadki, zajmijmy się osobą wczorajszego intruza... Orchideo, czy potrafisz opisać nam dokładnie to indywiduum?

— Potrafię — odparta Lan-Cheng z dużą pewnością siebie. — Był to przystojny mężczyzna, choć twarz miał trochę dziobatą, jak po ospie.

— Dalej?...

— Nic dalej, więcej nie zapamiętałam. Wybacz, Wit, ale ja nie posiadam tak rozwiniętego zmysłu obserwacyjnego, jak inne kobiety albo jak nasz Riano...

Riano Baldi nie brał udziału w rozmowie. W zamyśleniu, machinalnie pisał coś ołówkiem na szerokim marginesie gazety. Po jakimś czasie wstał, podszedł do otwartych drzwi, oparł się o ich framugę i, zapatrzony w szczyty drzew po drugiej stronie ulicy Podchorążych, jął półgłosem nucić sobie jakąś włoską piosenkę. Wtedy Hans przysunął do siebie ową gazetę i z tajemniczą miną zaczął na migi przyzywać Rodawskiego, który dość niechętnie dźwignął się z wygodnego fotela, na którym siadywał tu zwykle profesor Otto Demmer.

— Cóż tam nasz Riano nagryzmolił? — mrucał, podchodząc do rudowłosego młodzieńca — jakąś formułę, czy...

— Tak, to formuła, che, che, che, ale zupełnie nowa, rewelacyjna!

Witold pochylił się, spojrzął; na marginesie gazety był wykaligrafowany tylko jeden krótki wyraz, imię kobiece: Olga.

— Czy to nie jest najbardziej sensacyjne odkrycie? — żartował w dalszym ciągu Hans, wskazując zadumanego Włocha.

A mógł dokonać naprawdę sensacyjnego odkrycia, gdyby mu było przyszło na myśl przeszukać dokładnie hall.

Bowiem dziobaty mężczyzna, który w mundurze strażaka odwiedzał służącą pani Aleksandry Thorne, i wyszedł łatwo, gdzie mieszka Riano Baldi, nie na darmo fatygował się tutaj już dwa razy. Po raz pierwszy wszedł do willi wczoraj, w roli rzekomego inkasenta elektrowni i skwapliwie skorzystał z tego, że dobroduszna Lan-Cheng, idąc na górę po pieniądze, pozostawiła go samego przez parę minut. Znacznie dłużej trwała jego druga wizyta, którą złożył tutaj dzisiejszej nocy, gdy wszyscy domownicy byli pogrążeni w głębokim śnie. Wtedy ukończył swoją robotę, dzięki czemu obecnie... lecz po cóż uprzedzać wypadki.

ROZDZIAŁ VIII

Tegoż dnia, gdy o zmierzchu powrócili do willi wprost olśnieni wynikami prób, jakie robili hen za miastem, Riano Baldi poprosił Witolda Rodawskiego, aby go zabrał do swojego mieszkania na dzisiejszy wieczór.

— Chcę sobie wyszukać kilka dzieł w twojej bibliotece i porobić z nich wyciągi na miejscu — skłamał, lękając się nowych drwin Hansa.

Zaledwie jednak przybyli na Aleję Szucha, wyszło szydło z worka.

— Moja garderoba, jak wiesz, została we Włoszech, a ponieważ muszę dziś wystąpić w stroju wieczorowym, chciałbym cię prosić o pożyczenie mi smoka. Dobrze, Wit?

— Z największą przyjemnością. A dokąd to wybierasz się w smokingu, jeżeli wolno wiedzieć?

— Dokąd? Hm. Gdybym powiedział, że na przyjęcie w poselstwie abisyńskim, to nie uwierzysz, co?

— Nie, jako żywo! Bo primo, takiego poselstwa tu nie ma, secundo...

— No więc mówię kawę na ławę: idę do kobiety.

— Czy w takim razie nic byłoby wskazane iść raczej w piżamie niż w sztywnej bieliźnie? — zażartował sobie Witold, lecz spoważniał zaraz. — Co to za niewiasta, Riano?

Pojmujesz chyba, że nie pytam cię o to z ciekawości, lecz dla waszego bezpieczeństwa!

— Bądź spokojny, Wit. To nie awanturnica, lecz dama z

towarzystwa. To kobieta piękna i dobra jak anioł! A z drugiej strony ja jestem zbyt rozsądnym człowiekiem, abym miał o naszych sprawach mówić z kimkolwiek niewtajemniczonym. Nie powiedziałbym nic ani rodzonej matce!

Prawdopodobnie swojej matce nie powiedziałby nic, ale najzupełniej bezbronny był wobec Aleksandry Thorne, która dzisiaj wyglądała wręcz zjawiskowo. I nie dziwota. Dobry maquillage na tle wieczornego stroju i pod tuszem sztucznego światła, stokroć wyrozumialszego dla pań, niż naturalne, słoneczne; z brzydkiej kobiety robi ładną, z ładnej piękność, z pięknej cud. A przecież pani Aleksandra odznaczała się nieprzeciętną urodą i można było dla niej głowę stracić *nawet przy dziennym świetle*, jak mawiali fachowo jej szefowie.

Riano Baldi, ujrawszy ją dziś po raz pierwszy w balowej toalecie, najpierw zapomniał języka w gębie i z niemym zachwytem wpatrywał się w jej obnażone ramiona, równusieńko toczzone, olśniewająco białe, prześliczne.

Potem dokonał odkrycia, że karnacja jej pleców, wydekoltowanych po pas, jest jeszcze piękniejsza, że ich widok sprawia mu rozkosz graniczącą z bólem, jak pożądanie, którego zaspokoić nie można.

A kiedy, siadając pierwsza, pochyliła się i niechcący ujrział pieściwe zagłębienie pomiędzy pagórkami jej piersi, zagryzł wargi do krwi i śmiertelnie znienawidził sznur pereł, które nosiła na szyi i którym wolno było bezkarnie muskać tam jej alabastrowe ciało.

Krótko mówiąc, upił się, zanim wypił pierwszy cocktail i jak pijany zwierzał się ze wszystkiego, bezgranicznie uszczęśliwiony, że ona to jego gadulstwo nagradza uśmiechem lub łaskawym spojrzeniem.

Gdy przechodzili do jadalni na kolację podaną *dla fasonu*

przy świecach, pani Aleksandra wiedziała już wszystko, co kazano jej dzisiaj wyciągnąć z tego człowieka, wiedziała nawet więcej. Nigdy jeszcze nie miała równie łatwej roboty i w końcu żenować zaczęło ją to, że Riano Baldi jest tak naiwny, łatwowierny, gadatliwy, słowem, lekkomyślny karygodnie.

— Och, ty dzieciaku, ty duży dzieciaku — ganiła go wzrokiem chwilami, kiedy, choć nieproszony, wyjawiał jej inne swoje tajemnice lub gdy z rozbijającym optymizmem opisywał przyszłe losy świata, któremu on wraz z czwórką swoich przyjaciół chce przynieść szczęście dotychczas w dziejach ludzkości nieznane. — Ty głuptasku...

Z nagłą ogarnęło ją współczucie dla tego szlachetnego marzyciela, którego jej szefowie niewątpliwie ograbią z owoców jego długoletniej pracy, ciężkiej, bezinteresownej pracy podjętej dla dobra bliźnich, w przygniatającej większości niewdzięcznych i *kamienujących proroki swoje*.

Ze współczucia zrodziła się tkliwość, z tkliwości inne, gorętsze uczucie, które „prowizorycznie” określiła mianem sympatii. Uważała, że na ową sympatię zasługiwał z wielu względów. Między innymi i dlatego, że nie zachowywał się wobec niej tak, jak przeciętny mężczyzna po dobrze zakropionej kolacji, spożytej sam na sam z piękną kobietą w jej czy w swoim mieszkaniu.

Stwierdziła też z przyjemnością, że Riano Baldi, który jeszcze trzy dni temu był okropnym brudasem, teraz zaczął gwałtownie dbać o swój wygląd zewnętrzny. Dzisiaj, chociaż smoking, prawdopodobnie pożyczony, nie leżał na nim jak ulał, Riano prezentował się bardzo elegancko, co podkreślało jego męską urodę typowego południowca.

— Z pana jest naprawdę ładny chłopiec.

— Chłopiec? Ależ ja mam dwadzieścia dziewięć lat! I

tyleż siwych włosów w mej papuaskiej czuprynie, którą na próżno próbowałem dziś okiełznać. Niedługo będę szpakowatym starszym panem.

— To świetnie! Nie ma dla młodej kobiety ładniejszego tła, jak towarzystwo wytwornego, starszego pana. Ileż to budzi domysłów, plotek, ile legend wytwarza dokoła kobiety!

Tak żartując, powrócili z jadalni do buduaru, który w tym trzypokojowym mieszkaniu zastępował salonik. Usiedli na kozetce ustawionej dziś w ten sposób, że dokładnie naprzeciw nich znajdowało się wielkie ściennie lustro, gdyż pani Aleksandra Thorne „robiąca się” na Marlenę Dietrich lubiła patrzeć na siebie, szczególnie podczas pocałunku. Zaaplikowała go też niebawem swojemu towarzyszowi, ale skutek tego zabiegu był zgoła nieoczekiwany. Riano osunął się na dywan, oparł głowę na jej kolanach, przez chwilę siedział z przymkniętymi oczyma, wreszcie przemówił cicho i bez cienia sztuczności:

— Teraz bardzo a bardzo chciałbym umrzeć.

— Umrzeć?! Dlaczego, Riano?

— Dlatego, że nie wyobrażam sobie, abym mógł kiedykolwiek doznać więcej szczęścia, niżli w tej chwili.

— Możesz mieć więcej — powiedziała namiętym szeptem, patrząc wciąż w lustro. Czy chcesz, bym ci się oddała?

Na milion mężczyzn najwyżej jeden mógłby nie zrozumieć tak wyraźnej oferty, a tym jednym był właśnie Riano Baldi.

— Pani chciałaby mi oddać swoją rękę?! — krzyknął, mrugając gwałtownie, jak człowiek nagle wyrwany ze snu. — Pani, taka dobra, taka młoda, tak nadziemsko piękna chciałaby mnie, biedaka, za męża?!

Bęcnął jak długi na dywan i z czcią całował jej...

pantofelki, bełkocąc niewyraźnie coś, z czego zrozumiała tylko rozczulający *Leitmotiv*, że on, Riano Baldi, nie jest godzien takiego szczęścia.

Śmiać jej się chciało i płakać zarazem, gdy wezbrana fala jego szczerego wzruszenia ogarniała ją szybko. Zwykle pani Aleksandra pamiętała o tym, że śmiech wywołuje zmarszczki, a łzy całkiem na pewno rozpuszczają tusz; teraz zapomniała o istnieniu całej kosmetyki, o wszystkim, nawet o lustrze! Objąwszy Riana za szyję, zaczęła go całować po twarzy jak szalona i szeptać najczulsze zaklęcia.

Tym razem nie pozostał jej dłużny. Przekonała się wnet, że ma temperament iście włoski, lecz lubieżności nie było w tym mężczyźnie ani krzty. Nie bładził rękami po jej ciele, nie znał żadnych wyrafinowanych pieśczoł, nie umiał nawet całować inaczej, jak tylko mocno, z zaciśniętymi ustami, prymitywnie. Gdy spragniona czegoś więcej, poprosiła, by ją zaniósł do sypialni i wziął, ochłonął raptownie.

— Na mnie już czas, Olgo — rzekł, wskazując zegar na konsoli.

— Nie popieścimy się dzisiaj?

— Nie, aż zostaniesz moją żoną.

— Czyli nigdy - przemknęło jej przez myśl.

Z roztargnieniem słuchała jego dalszych słów, w których tłumaczył się, że ponieważ kocha ją naprawdę i pragnie w niej uszanować swoją przyszłą małżonkę, musi teraz odejść koniecznie.

— Ha, skoro musisz — westchnęła.

Przy pożegnaniu ubodło ją nagle to, że on postawił na swoim, że przed kulminacyjnym momentem oparł się takiej uwodzicielce jak ona!

— Nie tracę nadziei, iż na przyszły raz nie uciekniesz mi tak wcześnie, brzydki dezenterze.

— **Wcześnie? Już dochodzi jedenasta, za chwilę zamkną bramę.**

— **Nie miałam na myśli godziny, ty prostoduszny mój chłopaku, ale... ale to, że nie chce mi czekać aż do dnia... ślubu. I ty też na pewno czekać nie zechcesz.. Kto wie, może wrócisz już dzisiaj?!**

— **Nnnie — zaprzeczył słabo, gdyż oszołomiła go nowym pocałunkiem, znów jakby innym niż wszystkie poprzednie. — Nie wrócę dziś, nie mogę.**

— **Jednak na wszelki wypadek weź klucz od bramy. Mimo jego sprzeciwów, wcisnęła mu ów klucz do kieszeni, a kiedy Riano wyszedł lub raczej wypadł jak bomba do klatki schodowej, powróciła do buduaru i tu zaczęła szybko rozbierać się przed lustrem.**

— **Zobaczymy, czy uciekniesz, gdy ujrysz mnie w takim stroju — mruknęła obnażywszy się zupełnie.**

Zaplotła dłonie na karczku, przegięła się nieco wstecz i w tej pozie stała nieruchomo, jak posąg, wpatrując się z upodobaniem w swoje odbicie w zwierciadle.

Wtem zadźwięczał dzwonek. W błękitnych oczach Aleksandry Thorne odmalowało się najpierw zdziwienie, a zaraz po nim radość zwycięzcy.

— **Riano wraca. Wiedziała, że wróci!**

Ponieważ służącej dała dziś przymusowe wychodne aż do godziny pierwszej po północy, musiała iść sama odemknąć drzwi. Otworzyła je na oścież i ukryła się za nimi ogromnie rozbawiona na myśl, jaką minę robi Riano, kiedy ją ujrzy roznegliżowaną tak rekordowo.

Upłynęło kilka sekund, kilkanaście, cisza zaczęła się przedłużać. Pani Aleksandra pomyślała sobie właśnie, że Riano zdumiony rozgląda się po przedpokoju, kiedy nagle drzwi przycisnęły ją do ściany tak, że wrzasnęła z bólu.

Niemal równocześnie spoza listwy drzwi wysunęła się czarna lufa rewolweru, a o ćwierć metra wyżej duży, krogulczy nos.

— Co to za głupie kawały! — zabrzmiało jej nad uchem.

— Dlaczego otworzyłaś, nie czekając umówionego znaku? Dlaczego skryłaś się tutaj?

Drzwi zatrzasnęły się z łoskotem i niepożądany przybysz spostrzegł dopiero teraz, że Aleksandra Thorne nie ma na sobie ani strzępka odzieży. Nie zdziwiło go to zbytnio ani nie zmartwiło. Wsunąwszy rewolwer do kieszeni, jął zacierać dłonie i podśmiewać się cynicznie.

— Nie próżnowaliście tu, widzę — mruknął, po czym zadał jej „rzeczowe” pytanie, używając przy tym dość plugawych słów.

— Mylisz się — odparła, spiesząc do łazienki po szlafrok. — Rozebrałam się już po jego odejściu, gdyż idę spać... I dobranoc.

— Ooo, pomaluszku, moja Marlenko. Zanim pójdziesz spać, musisz złożyć sprawozdanie z wyników swej znajomości z tym Włochem... A masz coś do żarcia? Jestem głodny jak fakir po trzydziestu dniach pobytu w zapieczętowanej skrzyneczce.

— W jadalni są resztki kolacji,

— Ciepłego nic nie będzie?

— Nie będzie. Jadzia ma wychodne, a ja o gotowaniu nie mam najmniejszego pojęcia, jak dobrze wiesz.

— Ano, to chodźmy wcinać te resztecзки.

Pierwszy wszedł do jadalni i aż podskoczył z uciechy na widok licznych półmisek, salatek, kompotierek, ani w połowie nie opróżnionych z tak ponętnych dlań zawartości

— Ho, ho, ho! Raucik tu był z zimnym bufecikiem, czy jak?!

Ujrzawszy wódkę, gołnął jej sobie kilka dużych haustów

wprost z butelki, zjadł z dziesięć kanapek, składając je parami, po czym dopiero usiadł przy stole i zabrał się do konsumowania różnych przysmaków kolejno, systematycznie, a wciąż z wilczym apetytem.

— Wybacz, Marlenko, że jem dziś troszkę żarłocznie — usprawiedliwiał się, zauważywszy snadź na jej twarzy grymas obrzydzenia — lecz jestem jeszcze na czczo. Nie miałem czasu...

— Albo pieniędzy, Abdulu, pieniędzy!

— Wiadoma rzecz — roześmiał się od ucha do ucha, ukazując dwa rzędy za dużych zębów barwy kości słoniowej — wiadoma rzecz, iż forsiczka zawsze ode mnie ucieka, ale roboty także miałem sporo. Zwłaszcza ubiegłej nocy napracowałem się cholernie.

— Przy pokerze, czy bakaracie?

— Grało się trochę w karcięta, owszem, nie mówię *nie*, tylko przeszkadzał nam wciąż ryczek gościa, z którego wyciskano prawdę.

Pani Aleksandra wzdrygnęła się mimo woli, lecz pozostała wierna obranej taktyce, która miała polegać na zagadywaniu Abdula i odwlekaniu jego nieuniknionej indagacji do chwili, gdy libacja przytępi mu bystrość umysłu.

— I co? I co? — udając zaciekawienie, podeszła do stołu, usiadła przy nim, naprzeciw zajadającego dryblasa, który na przekór swojej rosłej postaci lubował się tak w zdrobnieniach. — Wyśpiewał?

— Wyśpiewała ptaszyna, wszystko wyśpiewała dokumentnie.

— A kogoście tam właściwie męczyli?

— Oho, zaraz *męczyli!* Nasze metody są bardzo humanitarne w porównaniu z tym, co robią faszyci i inne parobki kapitalizmu... Stwierdziło się przypadkowo, że gość

ma silne łaskotki; łaskotaliśmy go więc na zmianę przez całą noc aż do skutku.

— Ale kogo? Kogo?

— A ciebie co to obchodzi?! — warknął podejrzliwie i nagle zaczął jej wymyślać od ostatnich. Dowodząc, że tylko on ma prawo stawiać jej pytania, nigdy zaś na odwrót, szpikował swoje wywody kanałowymi wyzwiskami w najrozmaitszych językach, aż zmęczył się w końcu.

Aleksandra Thorne patrzyła na niego z nieopisaną pogardą, z nienawiścią, którą hodowała w sercu od dawna. To był bowiem jej największy wróg, jej tyran, jej główny krzywdziciel, a zarazem bezpośredni zwierzchnik. Nie znając swoich właściwych szefów, nie mogła żalić się na jego niedopuszczalną brutalność, która chwilami obrzydzała jej życie. Och, gdybyż to wchodziło w grę tylko jej życie, wiedziałaby jak zlikwidować Abdula Bagala, jak pomścić swą poniewierkę, jak potem uciec w daleki świat!

— Czekam!

— Na co? — spytała, wyrwana z bolesnej zadumy.

— Na twoje sprawozdanie, ty... — i znów padła obelga.

Zniosła ją w milczeniu, jak tysiące innych upokorzeń, odchrząknęła, zaczęła opowiadać, zaczęła kłamać jak z nut. Że młody Włoch jest niezwykle ostrożny, nieufny, małomówny, a przy tym niewrażliwy na jej wdzięki. Że, pomimo to, zdołała z niego wyciągnąć trochę zwierzeń, ale niewiele. Że on wraz z kilkoma towarzyszami pracuje nad ulepszeniem... telewizji, że wszystkie dotychczasowe próby skończyły się niepowodzeniem. Że jego praca, choćby została kiedyś uwieńczona pomyślnym skutkiem, nie będzie miała żadnego znaczenia dla celów wojskowych. Że wobec tego należałoby pozostawić w spokoju tych ludzi, na których chyba jakiś półgłówek mógł zwrócić uwagę Abdulowi. Że

Abdul może na jej odpowiedzialność złożyć taki meldunek szefom...

— To byłoby mniej więcej wszystko — oświadczyła stanowczo.

Abdul słuchał, nie przerwał jej ani razu, jadł, popijał tak, jak przed tym, tylko nerwowe drżenie jego owłosionych dłoni i rozdymanie się chrapów potężnego nosa świadczyły o tym, że relacja Aleksandry Thorne wywołuje w nim gniew.

— Jednego nie rozumiem — odezwał się wreszcie.

Odetchnęła z ulgą, sądząc, że uwierzył, że chodzi mu o jakiś szczegół.

— Mianowicie? — spytała, przysuwając mu salaterkę z kompotem.

— Mianowicie, dlaczego ty łżesz tak bezczelnie; czy dlatego, żeby mnie zrobić na złość, czy też chodzi ci o skórę tego Włocha?

Aleksandra sama jeszcze nie wiedziała, który z tych dwóch czynników był właściwym powodem jej „improvizacji”, lecz na razie zaperzyła się, jak przystało niewinnie posądzonej, i uroczyście ją zapewniać Abdula, że mówi prawdę, że powtórzyła mu to, co powiedział tu Riano.

— Czy możesz na to przysiąc?

— Tak — odparła bez wahania, rozgrzeszając się z góry z tego krzywoprzysięstwa.

— Możesz przysiąc na życie swojego braciszka, który jest żywą kaucyjką w naszych łapkach?! — zasyczał ze złowrogim uśmiechem.

Zadrżała, spuściła wzrok, zagryzła wargi, by nie wybuchnąć płaczem, jak zdarzało się zawsze, gdy w samotności myślała o swoim nieszczęśliwym bracie. Tak, on rzeczywiście był żywą kaucją w rękach jej szefów, był dla nich najpewniejszą gwarancją, że ona nie ucieknie, nie

zdradzi, nie cofnie się przed wykonaniem powierzonych jej robót.

— Słusznie więc przypuszczałem, iż w całym twoim sprawozdaniu nie ma ani źdźbła prawdy.

Abdul Bagal mówił to spokojnie, manipulując wykałaczką przy zębach, lecz Aleksandra Thorne bała się go najbardziej, kiedy udawał spokój; gdy ryczał, gdy jej wymyślał i groził, był stokroć mniej niebezpieczny.

— Łgałaś, aby wprowadzić nas w błąd. Zatem bunt. Buncik. Zresztą nie pierwszy, może nieostatni... A po raz pierwszy zbuntowałaś mi się ongiś w Niemczech. Pamiętasz, Marlenko?

Jeszcze nie wiedziała, do czego zmierza to przemówienie, nie pamiętała już, na czym polegał jej pierwszy bunt w Niemczech, skoro duch jej buntował się stale przeciwko temu, do czego ją zmuszano od tylu lat.

— Durzyłaś się wówczas w pewnym paniczu, byłaś z nim... chu, chu, chu... zaręczona i przez to nie chciałaś wykonać naszego rozkazu. A czy pamiętasz, w jaki sposób ujarzmiłem cię wtedy?

Wreszcie zrozumiała, zdrętwiała, a równocześnie przyszło jej na myśl, że Jadzi nie ma w mieszkaniu, że nie może jej przywołać dzwonkiem, jak uczyniła to kiedyś w podobnej sytuacji, co Abdula zmusiło do odwrotu.

— Powtórzmy dzisiaj ten zabieg i... stój!

Zerwał się równie szybko, jak ona, schwycił ją w biegu, lecz pozostał mu w ręku tylko jej szlafroczek, a drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem. Nie zrażony tym skręcił do łazienki i tamtędy wpadł do sypialni, gdzie Aleksandra Thorne gorączkowo barykadowała główne drzwi, zapomniawszy snadź o przejściu przez łazienkę.

— Świetny z ciebie strateg — rzekł kpiąco, biegnąc ku

niej.

Na dźwięk jego głosu odwróciła się szybko i załamała rękę. Dopiero gdy ją objął w pól, energia wstąpiła w nią na nowo.

— Muszę słuchać twych rozkazów w służbie, lecz nie masz prawa zmuszać mnie do takiej uległości — powiedziała jednym tchem, jednocześnie zaś odpychała go od siebie rozpaczliwie. — Nie masz prawa!

— *Mam prawo silniejszego szepce czule Mussolini Abisynii* — odparł z cynicznym humorem.

Nagle, bolesne szarpnięcie za włosy oderwało panią Aleksandrę od klamki, której trzymała się kurczowo jedną ręką, bo drugą osłaniała twarz przed jego pocałunkami.

— Nienawidzę cię śmiertelnie — wybuchnęła. — Gardzę tobą!

— To słabszemu wolno, ale co mu przyjdzie z tego?

Mimo zacieklego oporu dźwignął ją wysoko i tak niósł powoli, pewnie, zwycięsko w ten róg sypialni, gdzie stało jej łóżko.

— Riano, niedobry Riano, czemuś tu nie został?! — załkała, szukając wzrokiem jakiejś broni, lecz na próżno... na razie.

ROZDZIAŁ IX

O tej samej porze Riano Baldi mijał Plac Unii Lubelskiej, kierując się ku Alei Szucha. Wyszedłszy od Aleksandry Thorne, pomaszerował na ulicę Podchorążych, lecz tuż przed willą przypomniał sobie, iż jest w wieczorowym stroju, co dostarczyłoby Hansowi materiału do kpin na parę dni. Zawrócił więc w stronę Belwederskiej, zamierzając najpierw oddać Rodawskiemu jego smoking i powrócić do domu już we własnym ubraniu.

— Ciekawym, jak Wit przyjmie wiadomość o moich matrymonialnych zamiarach — myślał nie bez obaw.

Obawy te były uzasadnione. Niespełna cztery godziny temu, zaledwie Riano Baldi w pożyczonym „smoku”, z kwiatem w butonierce opuścił luksusowy apartament przy Alei Szucha, Witold Rodawski dał upust swojemu niezadowoleniu w dłuższej przemowie do... ścian.

— Ja go wyleczę z tych amorów, żeby mi przyszło dać babie nie wiem jakie odczepne! — odgrażał się, a potem przedrzeźniał nieobecnego tu już przyjaciela: — *Wit złoty, to kobieta piękna i dobra jak anioł!... Anioła sobie znalazł, idiota. Znam ja te anioły! Gorsze są od notorycznych wampów, bo u wampa nikt nie szuka serca, tylko... wiadomo. A laka anielica z niewinnymi oczętami dziecka, z rozczulającą dobrocią, z...*

Zadzwęczał dzwonek. Telefonował Hans. Rozmowa trwała pół godziny, a pomimo to Witold nie zgubił wątku

myśli w swym monologu:

— Taka anielica rozkocha w sobie człeka do szaleństwa, rozbudzi w nim zbożną chęć założenia *sweet home*¹, na deser rozpęta burzę namiętności i w kulminacyjnym momencie ulatnia się bez słowa wyjaśnienia, bez jednego słowa!

Musiały w tym być jakieś reminiscencje osobiste, gdyż nagle westchnął boleśnie, ukrył twarz w dłoniach i tak zastygł na długo. Nie wiadomo, czy błądził myślą po dżunglach wspomnień, czy po prostu spał i zagadał przez sen, dość, że w pewnej chwili wyszeptał tonem gorzkiej wymówki:

— Jak mogłaś! Jak mogłaś, Oleńko!

Po tym wzdrygnął się, palnął pięścią w płytę biurka tak, że zadźwięczały pokrywki kałamarzy, a Krystyna Motyło, która od dwóch minut stała niezdecydowana w drzwiach, wypuściła z rąk książkę.

— Ja myślała, że wujcju zasnąwszy.

— Ja zaś myślę nadal — odburknął — że o tej porze dzieci powinny spać już dawno!

— I spją. Dziecko, znaczy sję Wandzja, spi od dwóch godzin.

— A ty czemu nie śpisz? — (Od wczoraj „tykał” je obydwie, jak przystało wujowi).

— Bo ja już nie dziecko! — obruszyła się trochę.

Przypomniawszy z naciskiem, że ma osiemnaście lat, że sąd opiekuńczy upełnoletnił ją przed terminem, więc ona musi chyba być *dojrzałą osobą pod każdym względem*, usiadła naprzeciw Witolda i, ku jego serdecznej wściekłości, zaczęła go wypytywać o powody złego humoru.

— Mów, wujcju, zrzuć tę zgryzę ze serca, a zaraz cji ulży.

Czuł, iż ulżyłoby mu naprawdę, gdyby rzucił nie tyle *zgryzę*, ile na przykład gruby tom encyklopedii prosto w

główkę tej dziewczyny, która weszła tutaj tak bardzo nie w porę i zanudzała go niedyskretnymi pytaniami, śpiwnie cedzonymi przez sitko iście kresowej flegmy.

— Czy mam cię obarczać swoimi troskami?! — zawołał z tak perfidnym patosem, że musiałaby mieć serce z żelbetu, by odrzec *nie*.

A zamierzał uraczyć ją skomponowanym ad hoc² monologiem o wstręcie do hydrolizy u chloroacetofenonu czy dwufenyloaminochloroarsyny, wierząc święcie, że po tuzinie takich językowych „dziwadła” dziewczeczka zwieje stąd aż miło lub zaśnie. Tymczasem rozmowa wzięły obrót zgoła nieoczekiwany przez nich oboje, a zakończyć się miała największą sensacją dnia.

— Oczywiście! Twoje troski są naszymi i na odwrót. Toż jesteśmy rodziną! I nie byle jaką rodziną, skoro wywodzimy się od knjazów Pazdzjerko!... Zresztą Motyłowicie też byli knjazie, ale dużo mniej znaczeni niż magnaci Pazdzjerko.

— Tam do licha — roześmiał się Witold — wiedziałem, że mam jakichś krewnych na Kresach, lecz nie przypuszczałem nigdy, że w moich żyłach płynie tyle hektolitrów książęcej krwi... A jak my właściwie jesteśmy spokrewnieni ze sobą, jeśli nie liczyć mitycznego praojca, imć Paździerki?

— O, bardzo blisko! Moja świętej pamięci mamusia była wujcja starszą siostrą przyrodnią.

— Moją siostrą? — wybąkał zdziwiony, gdyż nigdy nie miał siostry, ani rodzonej, ani przyrodniej. — To nieporozumienie.

— Ach, nie mówmy już o waszym nieporozumieniu rodzinnym; skoro mój ojczulek na łożu śmierci przebaczył wujcowi jego grzech młodości, to ja tym bardziej nie mogę mieć pretensyj.

— Dziękuję za wyrozumiałość — odparł z ironią — lecz

ani rusz nie mogę przypomnieć sobie, co ja takiego w młodości zbroiłem.

— Zapomniał wuj — Krystyna Motyło posłała mu spojrzenie pełne wyrzutu — tak jak zapomniał złożyć kondolencje, gdy nasz tatko, a wujcja jedyny szwagier zmarł zeszłego roku i zostaliśmy na świecie samiutkie dwie sjerotki...

Z kolei zaczęła opowiadać o owym grzechu młodości. Polegał on podobno na tym, że wuj podrobił podpisy jej rodziców na „grubszym” wekslu, zdyskontował go i za te pieniądze bujał sobie za granicą przez półtora roku. Im zaś omal nie zlicytowano majątku, gdyż pan Motyło, pragnąc uniknąć skandalu, nie zdemaskował szwagra i sfalszowany podpis żyranta uznał za swój własny. Na domiar złego ta afera wydarzyła się tuż po przyjeździe na świat Wandzi, a na kilka miesięcy przed śmiercią siostry *lekkomyślnego wujcja*.

— Tak, w zimie minie dwanaście lat, jak mamusja zmarła.

Nic dziwnego, że papa Motyło znienawidził swojego szwagra, że spalił jego wszystkie fotografie z albumu rodzinnego. Dlatego właśnie Krystyna i Wandzia nie wiedziały nawet, jak wygląda brat ich matki. I dlatego w Warszawie na dworcu doszło do tak zabawnej pomyłki z magistrem Twardzikiem.

— Bo wiedziałam tylko tyle, iż mamy tu wuja, drogerzystę...

Nareszcie rozjaśniło się w głowie Witoldowi, który dotychczas siedział jak na tureckim kazaniu i spoglądał na Krysię niczym na obłąkaną, której należy pozwolić wygadać się, a nie przerywać jej broń Boże.

Teraz zrozumiał wszystko. Był w Warszawie niejaki Wincenty Rodawski, właściciel małej drogerii gdzieś na

Pradze, lecz bynajmniej nie jego krewny, jak to niegdyś zgodnie stwierdzili. Bowiem Wincenty Rodawski, będąc także odbiorcą *Chemipolu*, odwiedził raz Witolda w fabryce i gorąco pragnął doszukać się z nim paranteli, by uzyskać dogodniejsze warunki kredytowe. Wytargował w końcu większy kredyt, ale wspólnego protoplasty odnaleźć nie zdołali.

— Przepraszam, jak temu wujowi na imię?

— Wit, znaczy sję, Wincenty — odparła trochę zdziwiona Krystyna.

— A mnie jest Witold!

— Czyżby mnie pamięć myliła? Bo mamusia mawiała zawsze, że wujcu ma na imię Wincenty.

— Interesuje mnie jeszcze jedno, mianowicie, dlaczego wysłałyście swoją depezę do *Chemipolu*?

— Nie znałyśmy adresu mieszkania. Ponieważ zaś wujcu na każdą gwiazdkę przysyłał nam szkatułkę z mydełkami, kremami i pachnidłami, na których pod wyrazem *Chemipol* jest wydrukowane: *Właśc. W. Rodawski*, więc...

— Rozumiem. Aby zaimponować szwagrowi, który po aferze wekslowej miał o nim nieszczególną opinię, wykorzystał ten zbieg okoliczności, że nosi to samo nazwisko, co i ja i że nasze imiona zaczynają się na tę samą literę *W*. A to łobuz — roześmiał się Witold — to figlarz...

— Kto?!

— Pan Wincenty Rodawski, wasz wuj... O, ten jegomość. — Podsunął jej otwartą książkę telefoniczną, którą wertował od chwili.

Krystyna spojrzała i pociemniało jej w oczach; w spisie abonentów telefonicznych figurowało trzech Rodawskich w porządku alfabetycznym swoich imion, a mianowicie: Rodawski Bolesław, major dyplomowany... Rodawski

Wincenty, właściciel drogerii... Rodawski Witold, przemysłowiec.

— **Jesssus-Maria!!** — krzyknęła, pobladłszy jak ściana.

Nie śmiała podnieść oczu, nie mogła na poczekaniu zliczyć wszystkich swoich *kompromitacyj*. Po pierwsze, Witold nie jest ich wujem ani żadnym krewnym, zatem mieszkała u nieznanego mężczyzny, u kawalera! Po drugie, korzystały z siostrą z gościny obcego człowieka przez kilka dni, rządząc się jak u siebie w domu! Po trzecie, wtajemniczyła Witolda w niesławną aferę wekslową swego prawdziwego wuja! Po czwarte, wydało się teraz, że wuj-drogerzysta, aby w rodzinie wzbudzić podziw dla siebie, podszywał się pod firmę bogatego fabrykanta, Witolda Rodawskiego! Po piąte...

— **Jesssus-Maria** — powtórzyła po raz piąty.

— **Nie trzeba zaraz tragizować, nic się nie stało.**

— **Jakże nic! Czyż nie zwałam się panu na kark z siostrą?! Czyż... och, szkoda gadania; żadne słowa nie naprawią mojego blamażu.**

— **Przesadza pani. Proszę uspokoić się, usiąść i...**

— **Nie, nie, ja wyprowadzam się stąd natychmiast!**

Dygnawszy po staroświecku, popędziła „kłusem” do gościnnego pokoju, gdzie jęła tarnosić twardo śpiącą siostrzyczkę.

— **Dzjecko, stała sje okropność! Wujcju Wit, to wcale nie wuj!**

Tymi słowy rozpoczęła chaotyczne sprawozdanie, którego zaspana Wandzia słuchała z zamkniętymi oczyma, aż w końcu orzekła trafnie.

— **Ej, Krysjeńka, ty w piętękę gonisz, zowiąc wielkie szczęście okropnością. Czyś nie mówiła, że ty by w wujcju zakochała się, gdyby on nie był wuj? Tak teraz, skoro on już**

nie wuj, możecie bez dyspensy ze sobą ożen...

— Zamilcz, cieleń najgłupsze!... Najlepsze, najukochańsze, najmądrzejsze na świecie... — dodała zupełnie innym tonem i nagle zaczęła siostrę całować jak szalona, zaczęła jej za coś dziękować najserdeczniej. — No, dosyć tego dobrego. Panny z porządnego domu nie powinny ani chwili przebywać pod dachem mężczyzny, który okazał się tylko imiennikiem prawdziwego wuja. Dajecko, wyłaż z łóżka błyskawicznie i pomóż mi pakować manatki.

Pakowały przez z górą dwie godziny, gdyż Krysia co chwilę znajdowała te, czy inne części garderoby zaspanej Wandzi i musiała na owo przekładać w koszu rzeczy, aby zmieściły się wszystkie. Po tym zaś rozpoczęły się bohaterskie zapasy z przeładowanymi walizkami, które domknąć się nie chciały ani rusz. Zabrało to znów trochę czasu i była właśnie jedenasta, kiedy obydwie siostry weszły do łazienki, aby umyć ręce po ciężkiej robocie i włosy zwichrzone przyczesać.

— Teraz wyskoczę po dorożkę...

— A dokąd każesz jechać dorożkarzowi?

Krystyna pochwaliła siostrę za tę przytomną uwagę. Istotnie, nie знаła adresu, lecz wiedziała już, że znajdzie go w spisie abonentów telefonicznych. Musiała więc ponownie udać się do pracowni *eks-wujcja*, co budziło w jej sercu błogą nadzieję, iż dzisiaj zobaczy go jeszcze raz.

— Wołałabym go pożegnać i przeprosić za naszą omyłkę listownie. Wołałabym, ażeby już spał — zapewniała obłudnie Wandzię, która w ubraniu położyła się na łóżku i niebawem zasnęła aż miło.

Za to Witold nie spał jeszcze. Siedział nad książką na tym samym fotelu, co przed tym, ale już w piżamie, którą aż za kolana okrywał jedwabny szlafrok. Krystyna,

usprawiedliwiwszy swe ponowne wtargnięcie do tego pokoju, odpisała sobie z książki telefonicznej adres *faktycznego* wuja.

— Radziłbym zadzwonić do niego, skoro pani chce przeprowadzić się tam koniecznie dzisiaj. Zanim dojedziecie na Pragę, będzie północ, lepiej więc uprzedzić wuja telefonicznie, że ma czekać i przygotować nocleg dla dwóch siostrzenic.

Krystyna usłuchała tej rady, zadzwoniła i czekała długo.

— Prawdopodobnie telefon zajęty, — odezwał się znów Witold, gdy upłynęły ze trzy minuty, a dziewczyna jeszcze nie zaczęła rozmawiać.

Podszedł do niej, odebrał jej słuchawkę i stwierdził, że tamten aparat zajęty nie jest, że sygnał powtarza się w prawidłowych odstępach. Wreszcie ktoś tam podniósł mikrotelefon z widełek.

— Hallo, czy to mieszkanie pana Wincentego Rodawskiego?

— Bo ja wiem? — odparł zachrypły głos kobiety. — Z reguły nie pytam moich gości o nazwisko, tylko o forszę.

Grymas niesmaku odmalował się na twarzy Witolda, co nie uszło uwagi Krystyny, która teraz patrzyła nań jak w tęczę; przewidywała bowiem, że po wyprowadzeniu się stąd, nieprędko znajdzie sposobność do *upajania sje* jego widokiem i jego energicznym głosem. A mówił właśnie do mikrofonu zimno, wyniośle, jak ów lord z jej ulubionej powieści:

— Może jednak wyjątkowo dziś zapyta pani... kogoś, czy to jest telefon pana Rodawskiego i poprosi go do aparatu, o ile jest w domu.

— A niby po co?

— Mam do niego pilny interes!

Jeśli masz interes, to przyjedź, chłopczyku, zabawimy się w trójkę. Mnie to nie pierwszyna tak, zresztą mój Wicus już ledwie dycha po...

Dodawszy kilka plugawych słów, odłożyła słuchawkę. Witold odłożył swoją również, i, nie patrząc na Krystynę, oświadczył stanowczo, że teraz ona nie może jechać do swojego wuja, lecz dopiero jutro, koło południa.

— Dlaczego nie teraz?

— Gdyż wuj... wuja pani nie ma w domu obecnie — skłaniał.

— Ale jest tam jakaś kobieta, z którą pan rozmawiał, zapewne służąca albo gospodyni. Powiem jej kim jestem, każą przygotować łóżka...

Uczyliła to, mimo sprzeciwów Witolda. Zatelefonowała ponownie do mieszkania Wincentego Rodawskiego, przedstawiła się i... zdrętwiała, gdyż ze słuchawki lunął na nią grad najobrzydliwszych wyzwisk, obelg, pogroźek. Na próżno próbowała kilka razy przerwać tamtej, usprawiedliwić się, czemu dzwoni tak późno do *kochanego wujcja*. Damulka z półświatka, która dość grzecznie rozmawiała przedtem z Witoldem, jako z mężczyzną, wpadła w istną furję, posłyszawszy głos zgłaszającej się kobiety; oczywiście nie wierzyła w to, że ona jest siostrzenicą jej dzisiejszego klienta, lecz uznała ją z miejsca za konkurentkę i pastwiła się nad nią bez litości, a repertuar epitetów miała bogaty, jak wszystkie córki Koryntu.

Od paru minut Witold Rodawski przechadzał się po swoim gabinecie, czekając aż skończy się telefoniczna rozmowa, będąca właściwie monologiem tamtej, gdy wtem zabrzmiał żaloszny okrzyk Krystyny:

— Co ja zrobiłam, że pani mnie lży tak okropnie?!

Przyskoczył do niej, odebrał jej mikrotelefon, położył go

na widelki i nerwowo zaczął bębnić palcami po płycie biurka.

— Nie moja wina — rzekł. — Ja pragnąłem pani oszczędzić tych przykrości, lecz ktoś był uparty, jak kozioł... Ale nie ma złego, które by na dobre nie wyszło; teraz pani nareszcie wie, czemu nie możecie pójść do swego wuja dzisiejszej nocy.

— Właśnie, że nie wiem. I nie pojmuję też, dlaczego tak niegrzeczna wobec mnie była ta... no cóż, to chyba wuja gospodyni?

— Gospodyni?! Czy pani nie domyśla się jeszcze, z kim pani rozmawiała przez telefon?!

— Nie, słowo daję — odparła i patrzyło jej z oczu, że mówi prawdę, że jest rzeczywiście tak rozbijająco naiwna. — A pan zgadł?

Nie przestała nalegać, dopóki nie zaspokoił jej ciekawości. I chociaż uczynił to w najdelikatniejszej formie, chociaż nie użył właściwego określenia, tylko nazwał tamtą kobietę kochanką pana Wincentego, Krystyna zawstydzila się niebywale. Ukrywszy twarz w dłoniach, marzyła o tym, aby zapaść się pod ziemię, gdyż ubrdała sobie, że jej wszystkie poprzednie „kompromitacje” są niczym wobec tej, iż brat jej matki *żyje na wiarę* z jakąś niewiastą. I u takiego *rozpustnika* one muszą zamieszkać, dopóki Wandzi nie umieści się w jakim internacie. I, co najgorsze, o wszystkim już wie on, Witold!

— Jak pan mną musji gardzić — wyrwało się jej nagle.

— Gardzić?! A to dlaczego?

Ulżyło jej trochę, gdy wśród łez wypowiedziała teraz swoje myśli, obawy, przypuszczenia, on zaś aż wargi zagryzał, by nie parsknąć jej w twarz żywiółowym śmiechem, ale szybko zaczęło go ogarniać zdziwienie; ongiś, przed swoim bolesnym zawodem miłosnym, nie stronił od kobiet

tak, jak dzisiaj, znał ich chyba kilkaset, lecz nigdy nie spotkał podobnie dziecinnej, niewinnej, prostodusznej.

A Krystyna Motyło zawodziła dalej:

— I co my teraz poczniemy nieszczęsne sjeroty?

— Na razie prześpicie się tu jeszcze raz. Jutro zaś zatelefonuję po waszego wuja, którego znam osobiście i wytłumaczę mu, że musi zrezygnować z... przyjaciółki, dopóki jego siostrzenice... Ach, ty nieznośny, duży dzieciaku!
— zachnął się, gdyż przylgnęła wargami do jego dłoni, pochwycawszy ją kurczowo oburącz. — Nie jestem proboszczem i jeśli już koniecznie chcesz mnie całować, to wolę gdzie indziej.

Powiedział to żartobliwie, lecz w tej samej chwili jej rozchylone usteczka znalazły się tak blisko jego ust, że nakrył je nimi machinalnie. Również machinalnie objął ją w pół prawym ramieniem, a lewą dłoń zanurzył w jej puszyste włosy, by podtrzymać osłabłą główkę. Stało się to wszystko nagle, całkiem niespodziewanie, dzięki czemu nie zdążył przypomnieć sobie swojej urazy do kobiet. Może też właśnie dlatego, że unikał ich zawzięcie od lat, uległ zbyt łatwo pierwszej pokusie. W każdym razie chwilowo nie zdawał sobie sprawy z tego, co czyni i z tego, że *pocałunek jest ślubem dla czystych dziewic*, których najklasycznieszy egzemplarz trzymał w ramionach...

— Krzysia... Krzysieńka — szeptał bezmyślnie, lecz z mimowolną czułością, od której jego głos odwykł już dawno.

Scałował łązy z jej przymkniętych oczu, musnął gorący policzek i, nabrawszy instynktownie tchu pełne płuca, znowu wpił się wargami w jej usta. Ten miły zabieg miał trwać jeszcze dłużej tym razem, ale przerwał go czyjś gwałtem tłumiony śmiech. Witold Rodawski, jakby nie dowierzał słuchowi, nie wypuścił dziewczyny z objęć, tylko głowę

odwrócił nieznacznie. I zmieszał się bardziej, niż gdyby go przyłapano na jakiej zbrodni, chociaż człowiek stojący w drzwiach był jego najlepszym przyjacielem.

Riano Baldi, podobnie jak Hans, miał klucz od mieszkania Witolda, mógł tu więc wejść bez budzenia lokaja. Przyszedł, aby oddać pożyczony smoking, przebrać się w swoje ubranie i ewentualnie porozmawiać o swoich matrymonialnych zamiarach z przyjacielem, od którego był tu najzupełniej zależny materialnie, a który uchodził za nieubłaganego wroga kobiet. Tymczasem zastał go całującego jakąś młodziutką dziewczynę!

— Ależ to największa sensacja dnia! — zawołał ucieszony Riano, gdy zauważono jego obecność. — To dla mnie gwarancja, że nie zrobisz niezadowolonej miny, kiedy ci oznajmię, że ja żenię się także!

Zaraz po pierwszych słowach Krysia rzuciła się do ucieczki, lecz przystanęła tuż za drzwiami, oparła się o ich futrynę, bo nogi uginały się pod nią. Była odurzona tymi pierwszymi w życiu pocałunkami, które według jej naiwnych pojęć miały wagę najformalniejszych zaręczyn. Była nieprzytomna ze szczęścia, więc jak grom z jasnego nieba spadła na nią chłodna, „okrutna” odpowiedź Witolda:

— Mylisz się, Riano, chwilka słabości nie dowodzi niczego. Mogę cię zapewnić uroczyście; że nie ożenię się nigdy! I nigdy nie przebaczyłbym ci tego, gdybyś mi kiedykolwiek przypomniał tę idiotyczną scenę, jakiej byłeś tu świadkiem. Ja chcę o niej zapomnieć do jutra...

— Chce o mnie do jutra zapomnieć — powtarzała zbielełymi wargami Krysia, wlokąc się korytarzem do pokoju, który z siostrą zajmowała dotychczas. — Dobrze... Dooobrze... Dziś jeszcze odejdę stąd i nie ujrzysz mnie już nigdy! — ślubowała sobie, łkając cichuteńko.

Nie przypuszczała, że niebawem spotka się z Witoldem ponownie i to w bardzo dramatycznych okolicznościach.

¹ **sweet home (ang.) – miły dom; kochany dom.**

² **ad hoc (łac.) – na oczekaniu; na prędcie.**

ROZDZIAŁ X

Nazajutrz w południe, gdy Kyo cicho, jak zawsze, wszedł do laboratorium i oznajmił zwięźle:

- Telefon — Hans pierwszy kopnął się ku drzwiom.**
- To nie do panicza.**
- Nie szkodzi, ja także mam interes do inżyniera**

Rodawskiego.

- To nie pan Rodawski dzwoni.**

Odpowiedź ta wywołała ogólne zdziwienie, gdyż Witold Rodawski był jedynym człowiekiem, który telefonował tu dotychczas; co więcej, był do niedawna jedynym człowiekiem, jakiego ci cudzoziemcy znali tu, w Warszawie.

- Nie pan Rodawski?**
- Tylko kto?**
- Mówże, denerwujący flegmatyku!**
- Dzwoni jakaś kobieta — odparł Kyo.**
- Kobieta?!**

Profesor Otto Demmer, dla którego istniała na świecie tylko jedna kobieta, mimo woli skierował wzrok w ten róg laboratorium, gdzie zawsze pracowała Lan-Cheng. Była tam i obecnie, więc uspokojony powrócił do swojej roboty, rzuciwszy przez ramię:

- Ktoś połączył się źle, a Kyo zawraca nam głowę.**
- Kyo wie, co mówi — obruszył się służący.**
- Pójdę sprawdzić — ofiarował się Hans, któremu nagle przyszło na myśl, że zgłasza się... Krysia!**

— Nie do panicza, powiedziałem już raz. Ta kobieta chce, mówić z panem Riano — wycedził wreszcie Kyo.

Dzwoniła Aleksandra Thorne. Nie ze swego mieszkania, lecz z kawiarni, jak zaznaczyła na wstępie rozmowy, po czym oświadczyła, że koniecznie musi zobaczyć go dzisiaj.

— Bardzo chętnie — odparł Riano z radością. — O której godzinie mam panią odwiedzić.

— Odwiedzić? Nie, nie! — w jej głosie zadygotał lęk. — Wolałabym spotkać się z panem gdzieś na mieście. Czy będzie pan dziś wolny o piątej po południu?

— O piątej? Hm. — Nie bardzo było mu to na rękę, lecz właśnie przypomniał sobie zasłyszany kiedyś tani frazes, który przy swoim towarzyskim niewyrobieniu uznał za szczyt wytworności: — Pani życzenie jest dla mnie rozkazem...
Gdzie mam na panią czekać?

— Pod BGK.

— Co to jest?

— Bank Gospodarstwa Krajowego. Taki duży, nieprzeciętnie szpetny gmach na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata. Trafi pan?

— Chyba trafię, choć poza naszą dzielnicą nie znam Warszawy zupełnie... Zatem do miłego zobaczenia się o piątej...

Powróciwszy do laboratorium, Riano Baldi zastał swoich przyjaciół wybitnie zaniepokojonych, a zarazem oburzonych na niego.

— Skąd ta kobieta zna nasz adres? — zapytał profesor Demmer, patrząc przenikliwie na wielbiciela Aleksandry Thorne.

— Adres?

— No tak, bo skoro zna numer naszego telefonu...

— Numer zastrzeżony! — dorzuciła Lan-Cheng. — Numer,

którego nie ma w spisie abonentów i którego Informacja Telefoniczna nie podaje!

— A jednak tamta go zna!

— Skoro tak jest, to najwidoczniej ja musiałem jej podać nasz zakonspirowany numer — sądził mylnie Riano, gdyż Aleksandra otrzymała tę informację z innego źródła.

— Słyszeliście?! — wrzasnął krewki Hans. — Ten kochliwy makaroniarz przyznaje, że wtajemniczył jakąś lafiryndę w...

— Milcz! Zabraniam ci wyrażać się w ten sposób o... o...

— No, o kim?

— O mojej przyszłej żonie!

Hans zarechotał szyderczym śmiechem, specjalnie irytującym w jego wykonaniu, Riano zbladł, zacisnął pięść, lecz stary Demmer szybko wsunął się pomiędzy nich i oparł dłonie na ramionach wzburzonego Włocha.

— Drogi uczniu — przemówił doń łagodnie — czy ręczysz nam za dyskrecję kobiety, którą tu nazwałeś swoją przyszłą małżonką?

— Ręczę honorem i życiem! Olga to anioł, to...

— Wystarczy, wystarczy najzupełniej... Teraz ty; mój synu, przeproś przyjaciela i wracajmy do pracy.

Hans Demmer, który lubił Riana, choć dokuczał mu często, jak zresztą każdemu, uściskał go serdecznie. Lan-Cheng sprawiła mu jeszcze większą przyjemność, wyraziwszy chęć poznania Olgi, a profesor zapytał wręcz o termin ślubu. Jedynie Kyo nie chciał tak prędko przejść nad tą sprawą do porządku dziennego i smętnie kiwał głową.

— Ja nie tylko głową, ale nawet małym palcem nie ręczyłbym za powściągliwość języka żadnej na świecie kobiety — rzekł.

— Żadnej?! — Lan-Cheng żartobliwie zaczęła go

boksować. — Czy mnie, którą znasz od dziecka, także byś nie zaufał?

— Znam panienkę od dziecka, to prawda, i wiem, że z panienki zalet byłby dumny niejeden mężczyzna... Ale mężczyzną nie jesteś, niestety.

Jego votum nieufności, chociaż osłodzone komplementem, spotkało się z ogólnym potępieniem. Obydwaj Demmerowie i Riano prześcigali się wzajemnie w szczerych zapewnieniach o swym bezgranicznym zaufaniu do Lan-Cheng. Stary Otto w zapale oświadczył nawet, iż jej bardziej jest pewny, niż siebie samego. A jednak okazało się później, iż rację miał właśnie sceptyk Kyo.

O godzinie pół do piątej po południu Riano Baldi gładko wygolony, *wysztafirowany* i skropiony perfumami chińskiej koleżanki, wybiegł ze swojego pokoju na galeryjkę hallu i stanął jak wryty na widok tego, co ujrzał na dole, a co było najzupełniej sprzeczne z klimatem tej „oazy pacyfizmu”.

Na środku stało dwóch nieznanomych panów, bardzo eleganckich i bardzo wzburzonych; wyższy z nich, z monoklem w oku, trzymał w połowie długości swoją laskę, kołysząc nią w sposób nie wróżący przyjaznych zamiarów, drugi, tęgi, niski, o grubym, czerwonym karku wyglądał tak, jak gdyby miał za chwilę dostać ataku apoplektycznego.

— Ach, to pewno ci, o których mówiła Lan — przypomniał sobie.

Lan-Cheng obecnie trzymała wpół Hansa, który najwyraźniej chciał skoczyć do gardła któremuś z gości. Kyo, siedząc na schodach wiodących na piętro, ostentacyjnie bawił się dużym nożem kuchennym i nie spuszczał wzroku z wyższego przybysza. Nawet Otto Demmer nie oparł się tak mu nienawistnej atmosferze wojowniczości; stojąc za stolikiem, nerwowo uderzał w jego płytę lewą pięścią, a

prawą ręką, wyciągniętą niby drogowskaz, mierzył w drzwi wejściowe.

— Proszę wyjść! Proszę wyjść natychmiast! — powtarzał cicho, lecz diabelnie stanowczo.

— Profesorze Demmer, radzę panu namyślić się i...

— To leży w pańskim interesie! — wtrącił grubas.

— Zgłosimy się znowu pojutrze.

— Jutro, doktorze, jutro rano. Dlaczego chce mu pan zostawić tyle czasu dla powzięcia decyzji, którą w ciągu minuty każdy patriota...

— Ale profesor Demmer patriotą nie jest, jak z przykrością stwierdziliśmy podczas naszej dzisiejszej rozmowy. Dlatego wolę mu pozostawić aż czterdzieści osiem godzin czasu do namysłu...

— A jeśli odpowie nam tak, jak dzisiaj?

— Czego możecie być pewni — dorzucił Kyo.

— Wówczas przestaniemy go uważać za rodaka, który zbłądził, za marnotrawnego syna, któremu ojczyzna chce przebaczyć, a uznamy go za...

— Za zdrajcę! Za wrzód, który...

— Precz! — wrzasnął Hans, straciwszy panowanie nad sobą. — Precz albo łby porozbijam, klnę się na duszę matki!

— Pożałujesz tych słów, szczeniaku — warknął grubas, opuszczając hall pierwszy i, znalazłszy się w samochodzie, dał upust swojej wściekłości. — Gdyby nie ten smarkacz — orzekł w końcu — stary dałby się przekonać.

— Wybacz pan kapitan, ale muszę być wręcz odmiennego zdania. Otto Demmer jest dla nas stracony. Natomiast młody...

— Doktorze, doktorze, czy pan nie zauważył, jak on wprost płonął żądzą walki z nami?

— To podoba mi się w nim najwięcej! Właśnie ta

czupurność, bojowość, temperament. Pacyfista z takimi cechami nie jest bynajmniej pacyfistą i w rozgrywce, jaka nas czeka, ja liczę głównie na Hansa...

A w tej samej chwili Hans Demmer składał przyjacielowi sprawozdanie z rozmowy, jaka odbyła się w hallu. Owi przybysze zaproponowali Ottonowi ponowne objęcie jego dawnej katedry na uniwersytecie i w ogóle obiecywali mu złote góry, byle tylko jak najprędzej wrócił do ojczyzny.

Riano Baldi słuchał z roztargnieniem, myśląc jedynie o tym, że o piątej ma spotkać się z ukochaną.

— Czy nie odniosłeś wrażenia, że to są przebrani po cywilnemu wojskowi? — zapytała Lan-Cheng.

— Wyglądali tak uroczyście, iż na pierwszy rzut oka wziąłem ich za właścicieli zakładu pogrzebowego lub za sekundantów.

— Słusznie, panie Riano, słusznie — odezwał się Kyo — bo to są sekundanci ustroju społecznego, z którym my...

Ale Riano, dobrze znający gadulstwo tego wyznawcy Konfucjusza, już był za drzwiami i niebawem pędził przez ulicę Podchorążych do najbliższego postoju taksówek. Przybył pod Bank Gospodarstwa Krajowego niemal jednocześnie z Aleksandrą Thorne, która dzisiaj była niesłychanie roztrzęsiona nerwowo. Nie pozwoliła mu odprawić taksówki, wsiadła do niej, kazała szoferowi jechać jak najszybciej w stronę Mostu Poniatowskiego i ciągle patrzyła przez tylne okieneczko auta.

— Czy pani sądzi, że nas śledzą? — spytał szeptem.

— Tttak.

— Kto?

— Mój były mąż — odparła po krótkim wahaniu. — Jest w Warszawie, widziałam go dzisiaj i lękam się, iż on zauważył mnie również.

— Lęka się pani?!

— To pytanie byłoby zbędne, gdyby pan znał Gustawa Thornego tak, jak ja go poznałam... w ostatnią noc naszego krótkiego pożycia.

— Czy to jest człowiek brutalny?

— Przede wszystkim nieobliczalny. Gdy we wsi szalał tyfus, Gustaw urządził we dworze szpitalik, narażając nas oboje na zarażenie się; ale kiedy złapał w sadzie chłopca, który kradł jabłka, zawłókł go do piwnicy i tam zbił tak, że dzieciak omal nie umarł... Gustaw lubi namiętnie polować, każdy dzień jego łowów to prawdziwa rzeź biednych zwierząt; ale gdy podczas powodzi ujrzał tonącego kota, skoczył mu na ratunek w ubraniu i sam omal nie utonął w nurtach Wilii... Czy te dwa przykłady charakteryzują dostatecznie mojego eks-małżonka?

— Wolałbym usłyszeć, jak on odnosił się do pani.

— Kochał mnie do szaleństwa, lecz...

— Z wzajemnością? — wtrącił Riano, coraz więcej zazdrosny o jej przeszłość, dotychczas nieznaną mu zupełnie.

— Bez cienia wzajemności!

— Więc czemu poślubiła go pani?

— Musiałam — westchnęła. — Ale dlaczego my dziś wymyślamy sobie od pani i pana, skoro wczoraj byliśmy z sobą na ty? — dodała co prędzej, czując, że po owym *musiałam* padnie inne pytanie, bardzo dla niej niewygodne.

— Niby racja, jednak radbym...

— Nie ma żadnych *jednak*, tylko mów mi po imieniu — zagadywała go i zajrzała mu w oczy zalotnie. — Nie chcesz? Ha, możeś już zapomniał, co zaszło wczoraj?

— Ja miałbym zapomnieć?! — oburzył się. — Przecież to był najszczęśliwszy dzień w moim życiu!... A czy w twoim także?

Dała odpowiedź twierdzącą, choć wewnętrznie wzdrygnęła się na wspomnienie wypadków, jakie rozegrały się ubiegłej nocy, gdy brutalny Abdul Bagal wpadł do jej sypialni.

— Tak cię prosiłam — rzekła tonem gorzkiej wymówki — tak cię prosiłam gorąco...

Riano Baldi wybałuszył oczy ze zdziwienia.

— Prosiłaś mnie? Kiedy? O co?

— Wczoraj. Żebyś został ze mną, żebyś nie odchodził.

— Daruj, Olgo, mam swoje zasady i...

— Ja także — wtrąciła gwałtownie — ale w pewnych sytuacjach życiowych żadne zasady nie uchronią nas przed upadkiem!

— Nnnie rozumiem.

— Tym lepiej! I nie pytaj mnie więcej na ten temat, jeśli nie chcesz, abym w biegu wyskoczyła z taksówki.

Taksówka, zgodnie z jej poleceniem, skręciła z Alei Poniatowskiego w Zieleniecką, a potem z Targowej w Szeroką i przystanęła na rogu ulicy Sierakowskiego. Tu Aleksandra Thorne, wciąż wyglądająca przez tylne okienko, przekonała się ostatecznie, że żaden wehikuł za nimi nie jedzie. Uśmierzyło to jej dotychczasowe wzburzenie, rozweseliło ją nawet, za to Riano Baldi stracił humor doszczętnie.

Kilka czynników złożyło się na to. W pierwszym rzędzie zdanie, które zabiło mu porządnego klina do głowy, mianowicie: *w pewnych sytuacjach życiowych żadne zasady nie uchronią przed upadkiem*. Nie uległo dlań wątpliwości, że jego ukochana wypowiedziała to nie jako konwersacyjny komunał, ale wyraźnie pro domo sua¹. I słowa te padły bezpośrednio po wymówkach, jakie mu robiła z powodu jego wczorajszej dezercji!

Była jednak także całkiem prozaiczna przyczyna jego zdenerwowania, rosnącego proporcjonalnie do wzrostu należności szofera skrupulatnie obliczanej przez jego taksometr. Otóż to właśnie! Riano Baldi, który miał przy duszy dziesięć złotych, nie mógł wprost oderwać wzroku od pracowitego licznika taksówki. Gdy z ulicy Podchorążych przyjechał na Aleje Jerozolimskie, należało się kierowcy 2,80 zł. Suma ta podwoiła się na Pradze, potem zaś jeszcze wracali przez Most Kierbedzia i Krakowskie Przedmieście na Nowy Świat.

— Może wsiądziemy tutaj? — zaproponował trwożnie.

Okazało się jednak, że programy tutejszych kin pani Aleksandra już знаła, zaczem skręcili przez Jerozolimską ku Marszałkowskiej. Kiedy nareszcie tam wysiedli i Riano uregulował należność taksjarza, otrzymał tytułem reszty złotego z groszami.

— Nie możemy dziś pójść nigdzie — obwieścił swej towarzyszce takim tonem, jakby jej miał zaśpiewać requiem.

— Dlaczego? — zdziwiła się.

I co tu odrzec? że portfel zostawił w domu przez zapomnienie? Nie, nie, już lepiej wyznać prawdę.

— Nie byłem na to przygotowany i nie mam pieniędzy.

— Ach, ty dzieciaku, przecież ja ciebie prosiłam, więc ja funduję.

— Nie obrażaj mnie, Olgo!

— Zatem oddasz mi kiedyś tę drobnostkę, jaką dziś wyłożę za nas oboje i sprawa jest definitywnie załatwiona.

Riano musiał na to przystać, ale czuł się okropnie głupio. Kiedy pani Aleksandra stanęła przed kasą, ubzdurało mu się, że wszyscy patrzą nań z pogardą, jaką darzy się zawsze utrzymanka kobiety. W swym chwalebnym przeczuleniu na tym punkcie widział oczywiście to, czego

wcale nie było. Znudzonym bileterom ani nie śniło się dociekać, dlaczego do kasy podeszła jakaś Ona, a nie On, publiczność zaś reprezentowali na razie tylko oni oboje, gdyż do rozpoczęcia nowego seansu o godzinie osiemnastej brakowało jeszcze piętnastu minut.

Lecz właśnie weszły do przedsionka dalsze cztery osoby, dwie młode strojnisię oraz dwóch wymokłych młodzieńców przesadnie eleganckich. Riano Baldi, nie przeczuwając że popadnie z tym towarzystwem w konflikt, który będzie miał dlań szalenie groźne następstwa, spoglądał na czwórkę wytwornych darmozjadów z ciekawością przyrodnika podziwiającego okazy fauny znane mu dotychczas tylko ze słyszenia. Zauważyła to Aleksandra Thorne wracająca już z biletami.

— Zastanawia cię, kim są te bubki? — spytała cicho. — Żigolaki. Na pewno. Ja znam się na tym, gdyż także niegdyś tańczyłam zawodowo.

Jednakże zmieniła zdanie, kiedy znaleźli się w sali kina i kiedy tamci czworo, rozmawiając bardzo głośno, jęli popisywać się niezłą francuszczyzną, nadziewaną frazesami angielskimi, niemieckimi, włoskimi, a mówili wyłącznie o rautach, *fajfach* i o jakiejś garden-party.

— Omyliłam się — przyznała — to może być tylko narybek dyplomatyczny.

Riano chwilowo nie zwracał na nich uwagi. Ponieważ od lat nie uczęszczał do kina i po raz pierwszy w życiu był na filmie dźwiękowym, miał stokroć ciekawszy przedmiot obserwacji wzrokowych i słuchowych. Lecz film dobiegał końca, nastąpiła zwykła przerwa międzyseansowa, po niej okrutna piła, wyświetlanie reklam, aż wreszcie coś zajmującego, *Tygodnik aktualności*. Tygodnik ów nie zawierał wyjątkowo żadnych nudziarstw, tylko same wielkie

sensacje światowe. Nawet dwie wyszczekane snobki, towarzyszące młodym in spe Talleyrandom² przestały szczebiotać, ku ogólnej radości i na sali nastąpiła chwila upragnionej ciszy.

Ciszy przed burzą! Bo „na deser” ukazał się na ekranie dyktator Włoch, żegnający pułki, które w sierpniu roku 1935, więc kilka tygodni temu, odpłynęły z Neapolu do Erytrei. Snobki, chcąc przypodobać się jednemu ze swoich partnerów, rodowitemu Włochowi, zapomniały o swoistej dystynkcji wyższych sfer i zaczęły klaskać. Wówczas...

— Corpo di Bacco! — zaklął Riano Baldi, wzburzony do głębi tymi oklaskami. Gwizdnął przeraźliwie na palcu, ryknął: — Fuj! — a potem w szybkim crescendo wyrecytował tuzin wyzwisk tego rodzaju, jak *podpalacze pokoju świata* itp.

Publiczność polska należy do najbardziej ospałych na świecie; nie entuzjazmuje się nigdy, ani też nie protestuje, gdy ją kto nabija w butelkę czy nawet prowokuje, więc zaledwie pięć albo sześć osób wzięło udział w kontrdemonstracji, jaką zainicjował Riano Baldi. On zaś, wyczerpawszy rychło zapas polskich słów, potrzebnych mu do zamanifestowania swoich przekonań pacyfistycznych, użył sobie na całego w ojczystym języku.

— To pański rodak!

— Niestychane!

Snobki były tak wstrząśnięte, że zapomniały się ponownie i zaczęły mówić... o zgrozo!... po polsku!

— Ja myślałam, że wszyscy Włosi są faszystami, tymczasem...

— Czy pan zamierza puścić to płazem?!

— Nie — jęknął zdetonowany młodzian i, przeprosiwszy swoje towarzystwo, wyszedł z Sali ostentacyjnie. — Ba, ale co dalej?

Nie wiedząc, jak ma postąpić, postanowił zasięgnąć rady starszych, czyli zatelefonował do ambasady, do jej wydziału prasowego, gdzie miał przyjaciela. Szczęśliwym dla siebie zbiegiem okoliczności zastał go jeszcze w biurze, przedstawił mu treściwie przebieg zajścia i... oberwał naganę.

— Jak to, nie wiesz, co należy uczynić?

— Wiem doskonale — zełgał gładko — tylko sęk w tym, że ów zuchwalec to nasz rodak! Może podpił sobie, może należałoby to raczej zatuszować, bo nuż on jest...

— Sądysz?

— Poza tym on przyszedł w towarzystwie uroczej damy, która mi pachnie warszawskim high-lifem. Te dwie okoliczności fatalnie komplikują sprawę. Niechby okazało się po wylegitymowaniu tych osób, że...

— Hm, może masz rację.

— Najlepiej byłoby, gdybyś zechciał tu wpaść i dyskretnie obejrzeć ich z bliska. Ty przecież znasz w Warszawie niemal wszystkich, czego ja, nowicjusz, nie mogę powiedzieć o sobie. Zrób to dla mnie, mój drogi.

— Ha, czego nie robi się dla przyjaciół...

W dziesięć minut później przyjechał do kina i obydwaj ustawili się koło wyjścia tak, aby światło lampy nie padało na nich.

— Czy na pewno poznasz go w tłumie?

— Tłumów na sali nie ma, zresztą zapamiętałem sobie świetnie... ją. Wspaniała blondyna! I w dodatku naturalna blondynka! Gdy ją ujrzyś, zdębiejesz z zachwytu.

Tamten zdębiał rzeczywiście, lecz bynajmniej nie z zachwytu ani nie na widok Aleksandry Thorne, którą Riano Baldi prowadził pod rękę. Tylko na niego patrzył jak urzeczony i dłonią tarł sobie czoło zawzięcie.

- **Czy znasz go może?**
- **Cicho, cicho, pozwól mi zebrać myśli.**
- **To „zbieranie myśli” trwało dość długo, a tymczasem nic nie przeczuwający Riano dotarł ze swoją towarzyszką do przystanku tramwajowego.**
- **Patrz, ucieknie nam lada chwila. Czy nie każesz policjantowi wylegitymować go teraz?**
- **Broń Boże, to wypłoszyłoby draba z Warszawy, gdzie on, jak widzę, czuje się całkiem bezpiecznie. Nie trzeba go niepokoić, dopóki sprawa nie dojrzeje jak należy.**
- **To znaczy? — dopytywał się młodzieńki dyplomata, zaintrygowany miną starszego kolegi.**
- **To znaczy, dopóki nie nadejdzie dzień, w którym za zgodą władz polskich będziemy mogli odtransportować tego rzekomego nieboszczyka na powrót do Włoch. W kajdankach!!**

¹ **pro domo sua (łac.) – tu: we własnej sprawie.**

² **in spe Talleyrand – tu: przyszłym dyplomatom.**

Charles-Maurice Talleyrand (1754-1838) – francuski polityk i dyplomata, wielokrotny minister spraw zagranicznych.

ROZDZIAŁ XI

Dwa następne dni minęły spokojnie, za to noc z 7 na 8 września obfitowała w wydarzenia tajemnicze a groźne i świadczące, że ciężkie chmury gromadzą się nad głowami szlachetnych utopistów z ulicy Podchorążych.

Zacząło się skromnie od ponownej wizyty dwóch Niemców. Profesor Otto Demmer do nich nie wyszedł, miał go wyręczyć Riano, lecz z nim znów oni gadać nie chcieli, dowodząc, że sprawa jest nazbyt poważna, aby ją dało się załatwić per procura¹.

— Dlatego nie możemy przyjąć do wiadomości odmownej odpowiedzi profesora, dopóki nie usłyszymy jej wprost z jego ust.

— W takim razie muszą panowie poczekać kilka tygodni, aż mój mistrz wyzdrowieje i lekarze pozwolą mu na tę denerwującą rozmowę.

— Ach, zachorował nieborak — warknął z nietajoną wściekłością apoplektyczny grubasek. — Czy nie mógłby pan poczęstować nas mniej naiwnym wykrętem?

— Mógłbym — odparł Riano spokojnie — lecz i ten musi panom wystarczyć. Krótko mówiąc, profesor Demmer nie chce panów widzieć.

— Pożałuje tego, pożałuje gorzko!

Chudy pan w monoklu posiał koledze spojrzenie pełne wyrzutu, po czym jął nalegać, aby Riano poprosił tu młodszego Demmera.

— Ani mi się śniło — rzekł głośno Hans, który właśnie golił się w łazience. — Powiedz im, że mój czas jest nazbyt cenny, abym...

— Ja dobrze zapłacę — wtrącił wytrwały natręt. — Jestem gotów zapłacić panu Hansowi sto złotych za godzinę spokojnej rozmowy.

— Za godzinę — odkrzyknął Hans trochę lekkomyślnie — muszę być na drugim brzegu Wisły... Riano, spław tych nudziarzy.

„Nudziarze” porozumieli się wzrokiem i natychmiast odeszli, unosząc jako cenny łup wiadomość, że Demmer-junior wkrótce wyjdzie z domu.

— Czego ty chcesz szukać na drugim brzegu Wisły? — zapytała podejrzliwie Lan-Cheng, bowiem zaniepokoiły ją częste eskapady Hansa, który dawniej nic ruszał się z domu miesiącami, a w tym tygodniu wychodził na miasto po raz piąty.

— Ależ bujałem. Idę do *Chemipolu*, gdzie dziś, jako że sobota i robotników już nie ma, będę mógł popracować swobodnie.

Oczywiście łągał. Dowiedziawszy się od Witolda, że siostry Motyłło onegdaj rano przeprowadziły się do mieszkania swojego prawdziwego wuja, Wincentego Rodawskiego, wyszukał jego adres w książce telefonicznej i właśnie wybierał się na Pragę z wizytą. Nie chodziło mu, rzecz prosta, o tego farmaceutę, ani o Wandzię Motyłło, tylko o jej starszą siostrę. Od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał Krysię, co nastąpiło w okolicznościach specjalnie podniecających, Lan-Cheng straciła dlań wszelki powab. Pieścił ją nadal jedynie dlatego, by przy tym myśleć o tamtej, której posiąść nie mógł na razie, a której pożądał najgoręcej.

— Czy nie zabrałbyś mnie ze sobą do *Chemipolu*?

— Nie, droga Lan, ty musisz zostać przy moim ojcu, bo Riano wychodzi również... Za to dziś w nocy... — dorzucił szeptem kilka słów i upojona nimi Lan-Cheng natychmiast wyzbyła się swych podejrzeń. — Idź teraz do laboratorium, Orchideo. Gdybym zaś nie wrócił na kolację, uspokój ojca, powiedz mu, że jestem u Witolda.

Namaściwszy brylantyną rude, niesforne włosy, Hans spojrzął po raz ostatni w lustro, potem na zegarek i stwierdził, iż jest za kwadrans piąta. Aż zaklął, że już tak późno, gdyż preliminował godzinę czasu na przebycie drogi z ulicy Podchorążych na Smoleńską, przy której mieszkał wuj Krysi.

— Zrzuńnię się chyba na taksówkę — mruknął, wychodząc z willi.

I zaledwie uszedł kilkanaście kroków, dopędziła go jakaś taksówka, a jej przyjemnie uśmiechnięty kierowca wychylił się ku niemu.

— Wracam do miasta, mogę pana podwieźć bez zegara — zaproponował. — Za jednego złocisza, chce pan?

— Hm, owszem, ale ja właściwie mam interes na Smoleńskiej.

— Smoleńska? To niby Targówek, co? Z licznikiem byłoby stąd cztery złote, jak obszył. Siadaj pan, pojedę za dwa, niech stracę.

Hansowi ani przez myśl nie przeszło, że to pułapka na niego. Taksówka wyglądała całkiem tak samo, jak wszystkie taksówki warszawskie; była szarej barwy, miała czarną budę, miała na granicy tych dwóch kolorów szlak, złożony z białych i na przemian czerwonych prostokątów, miała numer, taksometr oraz tabelkę z taryfą jazdy, słowem wszystko, co trzeba.

Inny pasażer byłby może zażądał od szofera opuszczenia

budy, gdyż na deszcz nie zanosiło się bynajmniej, inny byłby może zwymyślał kierowcę za brak korbek do opuszczania szyb w oknach, lecz oszczędny Hans zadowolony, że odbędzie długą przejażdżkę za połowę ceny, nie zwracał uwagi na takie drobiazgi i myślał wyłącznie o Krysi.

Kiedy auto minęło Belweder, rudowłosego młodzieńca ogarnęła nagle nieprzemierzona senność. Ziewnął od ucha do ucha, wyciągnął się wygodnie, oparł głowę na skórzanej poduszce oparcia, lecz nim zawarł powieki, jego mętnawy wzrok zahaczył się na lustreczku, w którym kierowcy śledzą ruch wehikułów nadjeżdżających od tyłu. W tym okrągłym zwierciadle ujrzał parę oczu wpatrzonych w niego z wyrazem małpiej złośliwości, a równocześnie gdzieś nad uchem postyszał delikatny syk. Odwrócił twarz w tę stronę i zakrztusił się, zakasał.

— Jakiś gaz! — przemknęło mu przez myśl.

Chciał zerwać się do ucieczki. Nie zdołał. Osłabłą ręką nacisnął klamkę drzwi. Nie ustąpiły. Zwinął dłoń w pięść, zamachnął się, żeby nią rozbić szybę. Na próżno. Albo to szkło było niełamliwe, albo jego cios był słabszy niż cios rączki dziecka. Chciał wrzasnąć: — Ratunku! — lecz tylko zabełkotał coś cicho, niewyraźnie. Osuwając się bezwładnie na poduszki, pomyślał z bezsilną wściekłością:

— Kogo, jak kogo, ale żeby tak nabrać mnie, chemika?!

Kiedy Hans Demmer stracił czucie, kierowca fałszywej taksówki zamknął dopływ usypiającego gazu do tylnego przedziału limuzyny hermetycznie oddzielonego od przodu. A potem, skręcając z Alei Ujazdowskich w ulicę Piusa XI, zerknął na zegarek; była punktualnie piąta.

O dziesiątej wieczór profesor Otto Demmer zawsze kładł się do łóżka, czytał przez równą godzinę, następnie gasił światło, zasypiał momentalnie i do szóstej rano spał

kamiennym snem. Tak bywało dotychczas, do tegorocznych urodzin. Do dnia, w którym dowiedział się, że kocha Lan-Cheng bez wzajemności, że ma zwycięskiego rywala we własnym synu i że jego chluba, Hans jest...

— Nie, nie — wzdrygnął się, jak zawsze, gdy prześladowały go te przykre myśli — to było przywidzenie.

Wmawiał to w siebie, lecz jak ognia unikał rozmów na ten temat z Chinką, która przy swej rozbijającej szczerości niewątpliwie wyznałaby prawdę i rozproszyłaby wszelkie wątpliwości.

Od czterech dni profesor cierpiał na bezsenność, dziś męczył się tak po raz piąty. Po zgaszeniu lampy leżał cichuteńko i... aż wstyd wyznać, nadśluchiwał! Choć zdawał sobie sprawę z tego, że zwiększy to jego udrękę, chciał choćby raz usłyszeć. Chciał stwierdzić, czy rzeczywiście Lan-Cheng i Hans schodzą się po nocach, miał też gotową perorę, przeznaczoną dla... siebie!

— Słyszysz? Tak było setki razy! Setki razy należała do niego, a tyś spał obok, za cienką ścianą. Kochałeś się w niej platonicznie, jak naiwny uczeń, stawiałeś ją na ołtarzu swych marzeń, idioto! A jeśli nawiedzały cię czasem nieskromne sny, karcieś się za nie, gdyż kalaly jej niewinność. Posłuchaj teraz, jak wygląda ta niewinność. Czy słyszysz, stary głupcze?!

Tak mniej więcej wyglądała owa oracja, niewygodna dotychczas, gdyż nie było okazji po temu. Przez cztery noce Otto nadśluchiwał na próżno, nie uznał zaś za możliwe, by ta rzecz uszła jego uwagi teraz, gdy na nią czyhał. Przecież pokój Chinki znajdował się nad nim, pokój Hansa jeszcze bliżej, bo tuż obok, a kilkanaście parkietowych deszczulek w hallu skrzypiało tak, że...

— Aha!

Właśnie zaskrzypiała podłoga tam, w hallu, potem ktoś wszedł do sąsiedniego pokoju. Czyżby Hans? Nie, Hans i Riano jeszcze nie wrócili z miasta. Na pewno nie, gdyż Otto, mając okno otwarte na oścież, musiałby był słyszeć zgrzyt zawiasów furtki od ulicy, a nie usłyszał go dotychczas... Któż tedy?

— No, rozumie się, że ona — wyszeptał z goryczą, kiedy w przyległym pokoju zabrzmiało ciche chrząknięcie.

Tylko Lan-Cheng miała tak cienki, dziecienny głosik, Otto poznałby ją po tym wśród tysiąca kobiet, a w tej willi ona była jedyną przedstawicielką płci pięknej. Zamieniwszy się w słuch, wyłapywał najłżejsze szelesty i wyciągał z nich wnioski, na ogół trafne. Odgadł więc bez trudu, że Lan-Cheng położyła się do łóżka Hansa, zamierzając tam czekać jego powrotu.

— Śmiałym się, gdyby dziś nic wrócił, gdyby został na noc u Witolda, jak w poniedziałek.

Wypowiedziawszy szeptem to pobożne życzenie, profesor Demmer rozmyślał nad czymś długo, aż nagle wstał, narzucił szlafrok i skierował się ku drzwiom. Był to odruch nie do przewyciężenia, niemniej jednak wymagający usprawiedliwienia się przed sobą samym. Bo po cóż tam szedł właściwie?

— Żeby ją zawstydzić! Niech widzi, że ja wiem wszystko o niej i że potępiam rozwiązłość... Już ja jej wygarnę!

Niby to zamierzał ją moralizować, ale skradał się niczym złodziej, ale nie zapalał światła i trząsał się jak w febrze, chociaż noc była wyjątkowo parna jak na wrzesień. Wszedł do pokoju syna, powtarzając sobie w duchu, że Hans na pewno przenocuje dziś u Witolda, skoro nie wrócił do tej pory. Wszedł bez pukania, jak najciszej, po czym przystanął trochę zdezorientowany; w przeciwieństwie do ojca Hans

szczelnie zasłaniał na noc okno, toteż panowały tu egipskie ciemności.

— Może by jednak zaświecić?

Odrzucił tę myśl bez podania sobie motywów i, brnąc w mrokach na oślep, szedł powoluteńku dalej, aż dotarł do łóżka. Usiadł na jego krawędzi, poznawszy po równym, spokojnym oddechu, że Lan-Cheng śpi. Jednak obudziła się zaraz, gdy ją pogłaskał po głowie, pochwyciła jego rękę, przyłgnęła do niej ustami i położyła ją sobie na sercu.

— Ja chyba oszalałem! — pomyślał z lękiem, topniejącym szybko pod wpływem rozkosznego fluidu, jaki emanował z jej rozgrzanego snem ciała, z jej małej, krągłej piersi, która przyciągnęła do siebie jego dłoń, jak magnes przyciąga żelazo.

Okropnie nie chciało mu się myśleć o tym, co będzie, kiedy snadź zasnana Lan-Cheng nareszcie pozna, że nie Hans siedzi przy niej, ale jego ojciec! I co on, Otto, powie na swoje usprawiedliwienie? Że nie wiedział? Że sądził, iż z rodzicielską czułością głaskał po twarzy syna? Idiotyzm do kwadratu, do dziesiątej potęgi! Nawet człowiek tak rekordowo roztargniony jak Riano Baldi musiałby natychmiast poznać tę omyłkę, a cóż dopiero on, zawsze trzeźwy, opanowany profesor Otto Demmer.

— Aha, ładnie „opanowany”! Koń by się śmiał z takiego opanowania i z takiej trzeźwości. Otto zdawał sobie z tego sprawę, lecz niezmiernie trudno było mu przewyciężyć pokusę, by pozostawić rzecz jej własnemu biegowi; może Lan-Cheng, żeby nie komplikować sytuacji, będzie udawała, że nie poznaje profesora, że w nieprzebitych mrokach wzięła go za Hansa? To byłoby najprostsze rozwiązanie, najprzyjemniejsze dla Ottona i...

— Ohydne!

Cofnął dłoń, powstał. Niemal równocześnie posłyszał za ścianką jakiś stłumiony łoskot, to otrzeźwiło go do reszty. Nie bacząc na błagalny szept Chinki, która jeszcze nie poznała swej omyłki, rejterował pośpiesznie do hallu, skąd wszedł do swojego pokoju. Wszedł i stanął, jak wryty, ujrawszy tuż przed sobą jakiegoś rosnącego draba.

Profesor Demmer nigdy nie zamykał, ani nie zasłaniał okna w swojej sypialni. Dzięki temu, było tu niemal widno w porównaniu z ciemnościami panującymi w pokoju Hansa czy w hallu. A również dzięki temu dla opryszka zamierzającego wtargnąć do willi najłatwiejsza droga wiodła przez sypialnię profesora, chociaż ta znajdowała się na pierwszym piętrze, gdyż wszystkie inne okna Kyo troskliwie zamykał na noc okiennicami.

Tą właśnie drogą przy pomocy drabinki wdarł się tu przed chwilą ów dryblas. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że nikogo nie ma w pokoju, wyruszył do hallu i niemal w drzwiach nastąpiło nieoczekiwane spotkanie z Ottonem. Zdębieli obydwaj, lecz intruz ochłonął wcześniej, dopadł profesora, schwycił go jedną ręką pod gardło, drugą za kark, przyciągnął go bliżej, a nogą zatrzaskał drzwi.

— Milcz, jeżeli ci życie miłe! Gdybyś pisnął, tymi łapami uduszę cię bez litości! — syknął mu w ucho po niemiecku, z wybitnie słowiańskim akcentem. — Otwórz gębę jak najszerzej!

Nie upłynęły ani trzy minuty, kiedy stary Demmer znalazł się na powrót na swoim łóżku, z paskudnie dławiącym kneblem w ustach i związany jak baran. Odbyło się to wszystko dość cicho. Lan-Cheng słyszała wprawdzie jakieś szmery za ścianą, lecz nie przywiązywała do tego żadnej wagi na razie i zastanawiała się wyłącznie nad tym, dlaczego Hans(!) stąd wybiegł.

Odsapnąwszy, napastnik zapalił kieszonkową latarkę elektryczną, skierował jej światło na jeńca, pragnąc snadź sprawdzić, czy wykonał swe dzieło należycie. Po tym ruszył w dalszą drogę, gdy wtem za oknem rozległ się gwizd.

— Co, u diabła?!

Ten gwizd wzywał go do natychmiastowego odwrotu, oznajmiał jakieś niebezpieczeństwo. Uciekać już teraz, przed rozpoczęciem właściwej roboty?! To chyba fałszywy alarm.

Lecz po chwilce gwizd zabrzmiał ponownie, głośniejsz, przeraźliwiej. Klnąc półgłosem po rosyjsku, dryblas zawrócił do okna, wychylił się na zewnątrz, jak profesor zdołał zauważyć.

— Uciekaj! — rzekł ktoś stojący u stóp drabiny.

— Dlaczego?

— Jacyś ludzie przesadzili płot za willą i... słyszysz?!

— Tak. Trzymaj drabkę. Złazę. A to cholerny pech!

Po tych słowach nastąpiła minuta ciszy, za to później rozpętało się małe piekielko w ogrodzie okalającym willę. Jacyś ludzie nawoływali się i gonili zawzięcie dokoła domu, jakieś sztachety trzeszczały, jakaś szyba pękła bardzo fonogenicznie i drabina runęła z potężnym łoskotem.

Kyo obudzony tą wrzawą wszedł do hallu, gdzie spotkał przerażoną Lan, która już od chwili pukała na próżno do drzwi sypialni profesora.

— Nic odpowiada. Może mu się coś stało?!

Wpadli tam oboje, uwolnili starego Demmera z więzów, po czym we trójkę pospieszyli do okna, zaintrygowani niesłabnącym zgiełkiem na zewnątrz. Sądząc po odgłosach, najbliższa okolica ich domu stała się bokserskim ringiem dla kilku par zawodników walczących wcale nie fair. Walczono chyba na oślep, gdyż światło latarni ulicznej nie docierało do willi, z winy dwóch niewysokich, ale rozłożystych lip.

— Ładnie będą wyglądały nasze kwiaty — mruknął Kyo, jak gdyby nie mieli większych zmartwień. — Konfucjusz wspomina gdzieś o zbawiennym działaniu wody na mężów uniesionych gniewem; czy pan profesor nie sądzi, że należałoby spróbować nowej sikawki ogrodowej?

— Nie waż się wychodzić teraz z domu!

— Zgoda, lecz muszę ich przepędzić — odparł, zamykając okno, — bo lada chwila może wrócić z miasta pan Riano albo panicz Hans.

— Hans jeszcze nie wrócił?! — Lan wzdrygnęła się cała. — Ależ w takim razie ten drab, który pana związał, był również u mnie!

Profesor Otto Demmer odetchnął z wielką ulgą, miał uczucie, że kamień młyński spadł mu z serca.

— Co ty mówisz? Był także u ciebie, na górze?

— Tttak — skłamała, nie chcąc przyznać się, iż czekała na Hansa tu obok, w jego pokoju — na górze. Wszedł, gdy spałam i...

— Mnie też zaskoczył we śnie — wtrącił skwapliwie Otto Demmer, aby ostatecznie zatrzeć ślad swej eskapady. — I co? I co?

— Schwycił mnie za... ręce, widocznie chciał je skrępować, ale nagle spłoszyło go coś i wybiegł z pokoju. Byłam tą wizytą tak przerażona, że długo nie mogłam wydać okrzyku, aż...

Podczas gdy tych dwoje obelgiwało się wzajemnie dla zamaskowania niedoszłych grzeszków, Kyo odwiedził laboratorium Hansa, skąd pospieszył na strych willi i przez okienka w dachu cisnął w cztery strony świata po jednej dziwacznej próbówce. Skutek tych „czarów” był niezawodny i szybki. W ciągu pół minuty obydwie drużyny tajemniczych zapaśników uciekły panicznie z ogrodu, zanosząc się od

męczącego kaszlu, którego echemi długo jeszcze rozbrzmiewała ulica Podchorążych i jej przecznice.

— Nic wam nie będzie — mruzczał Kyo, wracając ze strychu — to nieszkodliwy preparacik, to nie *Thanatyt*, którego jedna kropla zabija szybciej niż piorun!

Mijając drzwi pokoju Hansa Demmera, zatroskał się nagle.

— Skoro on — monologował dalej — w dwudziestym pierwszym roku życia wynalazł *Thanatyt*, do czego dojdzie później? Albo i Riano ze swoim bezgłośnym gromem? Czy uświadomienie sobie tego, że mogliby zniszczyć najpotężniejsze armie i floty, nie wbije ich w dyktatorską pychę, która zawsze prowadzi do...

Dalsze wywody mędrkującego sługi przerwał zegar; właśnie zaczynał wybijać dwunastą godzinę.

¹ per procura (łac.) – przez pełnomocnika.

ROZDZIAŁ XII

O tej samej porze Riano Baldi w towarzystwie pani Oleńki wkraczał na salę największego z warszawskich dancingów.

— Tu poznałam mojego byłego męża, to jego ulubiony lokal — oznajmiła mu, gdy znaleziono dla nich wolny stolik.

— Dwa dni temu drżałaś ze strachu przed spotkaniem z tym człowiekiem, a dzisiaj dobrowolnie narażasz się na to — mruknął zdumiony Riano. — Nie rozumiem cię zupełnie.

— Czy sądzisz, że można zrozumieć kobietę, taką jak ja? Nie, najdroższy, to zbyt trudna rzecz dla ludzi twojego pokroju... Zresztą — dodała z uśmiechem — ja sama często nie wiem, czego chcę. Na przykład, choć ze mnie na ogół wielki tchórz, lubię niekiedy igrać z niebezpieczeństwem.

— Ach, dlatego przyszliśmy tutaj?

Riano Baldi żartobliwie pogroził swojej towarzyszce, potem zaś zaczął ją zapewniać, iż gdyby Gustaw Thorne zjawił się tu i chciał wywołać jakąś awanturę, będzie miał do czynienia z nim.

— Pod moją opieką nic ci nie grozi!

Powiedziawszy to z maksymalną pewnością siebie, omiółł salę wyzywającym wzrokiem, jak gdyby szukał śmiałka, który ośmieliłby się wątpić w pewność tej gwarancji. Tymczasem sceptyk znalazł się właśnie przy jego stoliku, właśnie w osobie Aleksandry Thorne!

— Mocno przeceniasz swoje możliwości — rzekła ze

smutkiem — mam stokroć potężniejszych wrogów niż mój były mąż i nikt na świecie nie zdołałby mnie ocalić, gdybym wpadła w ich szpony.

— Ale ci wrogowie są daleko stąd, co?

— Daleko? Niestety, aż za blisko.

— To znaczy, w Warszawie?!

— Oczywiście!

— Lecz chyba nie tutaj!

— Dlaczego by nie? Może są tuż obok.

Riano badawczymi spojrzeniami obrzucił gości siedzących przy sąsiednich stolikach; byli to, jak większość bywalców tego lokalu, Żydzi.

— Więc jesteś tak zwaną antysemitką? — spytał naiwnie.

— Ja? — zdziwiła się. — Skąd ci to przyszło do głowy? Zrozumiał, że chybił, i zrozumiał, że teraz... nie rozumie nic, co wyznał z rozbrajającą szczerością.

— Tym lepiej — odparła, patrząc nań dobrotliwie — bo dlaczego miałbyś sobie zaprzętać głowę cudzymi troskami...

— O, przepraszam! Jesteś moją narzeczoną, zatem twoje troski...

— Pomówimy o nich kiedy indziej, dobrze? — wtrąciła, myśląc równocześnie, że to *kiedy indziej* nie nastąpi nigdy.

— Na dancing nie przychodzi się po to, by rozmawiać o takich sprawach.

— Tylko po co? — odburknął, urażony jej mentorskim tonem.

— Przede wszystkim, żeby tańczyć.

— Ba, kiedy ja nie mam zielonego pojęcia o tańcu.

— Przy twoim znakomitym słuchu podejmuję się wyuczyć tej sztuki w ciągu dzisiejszej nocy. Chcesz?

— Chcę tego, czego i ty chcesz, pani moja.

— A ja chcę szaleć tu dzisiaj aż do rana.

Nie przypuszczali oboje, że opuszczą ten lokal znacznie wcześniej, on przerażony, ona... w karetce Pogotowia Lekarskiego!

— Czy rozpoczniemy lekcję zaraz?

Ponieważ na głównej sali panował już niezgorszy ścisk, jak to przy sobocie, *przyśpieszony kurs modnych tańców* miał Riano odbyć w barze, gdzie przy dźwiękach pianina i harmonii kręciło się zaledwie kilka par. Wbrew oczekiwaniom, okazał się jednak dość niepojętym uczniem; tylko fokstrota przyswoił sobie jako tako, innych tańców ani rusz nauczyć się nie mógł tak na poczekaniu.

— Po prostu brak ci tupetu — pocieszała — tupetu, jaki posiada większość mężczyzn, którzy sądzą, że tańczą świetnie, a miotają się bez najmniejszego wyczucia rytmu melodii ku wielkiej udręce swoich partnerek, ale po kilku latach tego rodzaju konwulsji, pardon, ćwiczeń, stają się niekiedy naprawdę dobrymi danserami. Ha, grunt rutyna.

— Mówiłaś przed tym, że można nauczyć się tańczyć przez jedną noc.

— Można, jeżeli ktoś ma takie ucho, jak ty.

— Więc czemu...

— Musisz pierw przezwyciężyć tremę, która ci zapierała wprost oddech, kiedy zaczynaliśmy tańczyć walca czy tango...

Tak rozmawiając, wracali z baru do swojego stolika. Po drodze pani Oleńka raz po raz odpowiadała skinieniem głowy lub nawet przyjaznym uśmiechem na ukłony mężczyzn. Wyłącznie mężczyzn! Kobiety obecne na Sali, choć nie spuszczały z niej oka, nie znały jej snadź osobiście, skoro nie kłaniały się jej, ani ona im. Riano zauważył to od razu i sprawiła mu przykrość ta jednostronna popularność przyszłej

żony.

Lecz to był dopiero skromny początek jego dzisiejszych zmartwień. Dalszy ciąg nastąpił już za chwilę, gdy pani Oleńka zaczęła tańczyć z innymi. Ilekroć orkiestra zagrała, zjawiał się przy ich stoliku nowy „ktoś” i, złożony niedbały ukłon jemu, prosił do tańca jego towarzyszkę, jego narzeczoną! Przychodzili zblazowani młodzieńcy, przychodzili starsi brzuchaci panowie, przychodzili oficerowie równie często jak cywile.

— To wszystko moi dawni znajomi — uznała za stosowne wyjaśnić.

— Sporo ich jest — westchnął.

— Nic dziwnego. Zanim wyszłam za mąż za Gustawa, występowałam w Warszawie jako tancerka z małymi przerwami przez rok, z czego trzy miesiące przypada na ten lokal. A kabaretowa diva, czy chce, czy nie chce, musi zawierać moc znajomości...

— I musi z każdym pijakiem tańczyć?!

— Co lo, to nie, zresztą ja nie byłam fordanserką, tylko, tak zwaną szumnie, artystką... O, czymś w rodzaju tej Mulatki, która teraz rozpoczyna swój popisowy numer. Spójrz...

Riano nie patrzył jednak na produkcje kiepskiej naśladowczyni świetnej Józefiny Baker, tylko na siwego jegomościa, który od dłuższego czasu stał nieopodal i wzrokiem pożerał panią Oleńkę.

— Może to Gustaw Thorne?!

Odrzucił to przypuszczenie po namyśle. Według opowiadania Aleksandry Thorne, jej eks-mążzonek liczył niespełna czterdzieści lat, miał być wysokim, barczystym mężczyzną, nieomal olbrzymem, ten zaś był niskiego wzrostu i wyglądał z daleka na zgrzybiałego starca.

— To pewnie jeszcze jeden z tej bandy znajomych — mruknął Riano ze złością, gdyż zaledwie Mulatka wybiegła do szatni i tańce ogólne rozpoczęły się na nowo, po panią Oleńkę przyszedł znów inny jej znajomy.

Powitała go z wielką radością, co najzupełniej wystarczyło, aby Riano uprzedził się z miejsca do tego kędzierzawego młodzieńca, mającego wygląd semicki, tytuł hrabiowski i, na przyczynę, duże czarne okulary, z których pomocą usiłował snadź nadać inteligentny wyraz swej fizjonomii półgłówka. Młodzian ten, przeciskając się ku środkowi sali, gdzie tańczono, poufale objął w pół panią Oleńkę i poklepał ją po wydekoltowanych plecach. Ale to jeszcze nic wobec tego, w jaki sposób z nią tańczył!

— Bydlę! — warknął Riano, nie odrywając wzroku od młodego arystokraty. — Przecież on ją wręcz rozgniała na sobie i ukradkiem całuje!

Tak to przynajmniej stąd wyglądało, chociaż pani Oleńka zaklinała się potem, iż hrabicz tylko szeptał jej na ucho różne dusery, lecz pocałunku *w okolicy skroni nie czuła* ani razu. A czy również nie czuła, jak ten młody lubieżnik ślizgał się dłonią po jej obnażonych plecach? Na to pytanie odpowiedziała, że taniec solowy lub z bardzo dobrym partnerem upaja ją tak, iż jest kompletnie znieczulona na wszelkie dotyki... Ach, znieczulona! Zatem ten kabotyn mógł ją jednak całować i ona o tym nic nie wie! Dobrze, wyciągnie się stąd naukę, że nie należy pozwolić jej tańczyć z byle kim...

Ale ta mała scena zazdrości rozegrała się później, a na razie Riano cierpiał w milczeniu, patrząc na tych dwoje stańczonych ze sobą świetnie. Zagapił się na nich do tego stopnia, iż nie dostrzegał siwego pana, który podszedł tu i kłaniał mu się już po raz trzeci. Wreszcie klepnął go lekko po

ramieniu, przemówił. Po rosyjsku!

— Nie znam tego języka, — odparł Riano.

— Und verstehen Sie deutsch?¹

— Jawohl. Was wünschen Sie?²

— Chciałem tylko zapytać — odparł po niemiecku tamten — kim jest urocza blondyneczka, z którą pan...

— Moją narzeczoną! — wtrącił Riano z naciskiem.

— Powinszować dobrego gustu, bo to, mój panie, piękność, fi, fi! Ale radbym wiedzieć, jak brzmi jej nazwisko.

— A ja radbym wiedzieć, jak brzmi pańskie!

— Słusznie po trzykroć. Pozwoli pan, że się przedstawię.

Wymówił niewyraźnie jakieś nazwisko, bez ceremonii przysiadł się do stolika i powtórzył swoje pytanie.

— Pani Thorne — odrzekł Riano, po czym ostentacyjnie odwrócił głowę, dając tym do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną.

Lecz rzekomy staruszek nie przejął się tym ani trochę.

— Thorne, Thorne — powtórzył dwa razy — tego nazwiska nie słyszałem nigdy. Hm, czyżbym się pomylił? — Znów przyjrzał się uważnie pani Oleńce, która właśnie wirowała ze swoim partnerem obok podium dla orkiestry. — Do licha, podobieństwo jest wprost nadzwyczajne! I dlatego muszę zapytać pana jeszcze, jak jest na imię pani... niechże jej będzie „Thorne”.

— Aleksandra, — warknął Riano, zniecierpliwiony nie na żarty.

— Zgadza się! Aleksandra Teodorowna. To ona, to ona!

Siwy pan z radości, że jego przypuszczenia okazały się słuszne, zaczął dokazywać jak dzieciak, co wzbudziło wesołość w sąsiednich łóżach. Potem kazał kelnerowi przenieść *błyskawicznie* ze swojego stolika napoczętą butelkę Czystej i przekąski.

— Napije się pan ze mną?

— Dziękuję, nie lubię wódki.

— Ależ ja muszę wypić brudzia z narzeczonym mojej Oleczki, którą ongiś w kołysce...

— Pan ją zna od tak dawna? — Riano po raz pierwszy spojrzał, życzliwie na sędziwego natręta.

— Pytanie! Toż wychowywaliśmy się razem od dzieciństwa. I chociaż jestem od niej starszy o czternaście lat...

— O czternaście, czy raczej o czterdzieści?! — wtrącił oburzony Riano, lecz udobruchał się, gdy zobaczył, jakimi haustami tamten żłopie Czystą.

„Staruszek” ze smętnym uśmiechem wręczył mu jakąś legitymację.

— To mój dowód osobisty — wyjaśnił. — Proszę łaskawie spojrzeć na datę urodzenia.

Riano Baldi spełnił to życzenie i wybałuszył oczy ze zdumienia.

— Jak to, pan miałby mieć tylko trzydzieści dziewięć lat? Niemożliwe!

— Możliwe, mój panie, całkiem możliwe, tylko osiwiąłem i zestarzałem się troszeczkę za wcześnie. Ale nic dziwnego; skoro lata wojenne liczy się podwójnie, to co najmniej poczwórnje trzeba liczyć latka spędzone w pace przeznaczonych dla wrogów zwycięskiej Rewolucji.

— Nie mogę panu złożyć wyrazów współczucia, gdyż cała moja sympatia jest po stronie pogromców caratu!

— Moja także, moja także — zapewniał skwapliwie młody starzec.

— O, więc zmienił pan przekonania?

— Zmieniłem gruntownie. Czyż inaczej siedziałbym dziś tutaj?! — Znów gołnął sobie kieliszek wódki. — Aleksandra

Teodorowna martwi się zapewne, że jej druh Wasyl przysłał do bolszewików, ale...

Ale Riano Baldi nie słuchał już dalszego ciągu monologu Wasyla, gdyż właśnie orkiestra przestała grać, a pani Oleńka po małym wahaniu uległa namowom partnera i usiadła *na pięć minut* przy jego stoliku. Oczywiście zjawił się tam natychmiast szampan oraz bukiet z dancingowej kwiaciarni za trzysta złotych. Ta potężna miotła róż zwracała powszechną uwagę na lożę pana hrabiego, który dopiero teraz czuł się w swoim sosie. Wszyscy nań patrzyli, wszyscy mówili o tym, że odziedziczył olbrzymią fortunę, że co dzień afiszuje się w towarzystwie innej pięknej kobiety, że co noc tuczy bogatych właścicieli dancingów, a żebrakowi nie da ani pięciu groszy, czyli jest wielkim oryginałem, jak magnatowi przystało.

Gdyby pani Oleńka nie przyjęła jego zaproszenia, byłby sobie wziął do stolika jakąkolwiek fortancerkę. Byłby jej ofiarował taki sam bukiet, zamiast, na przykład, jednej pary pończoch, co biedna dziewczyna wolałaby z pewnością. Chodziło mu, jak zawsze, o efektowny, autoreklamiarSKI gest, ale biedny Riano Baldi zapisał te róże na rachunek hrabiowskiego donżuaństwa i drżał o swoją narzeczoną. A tu, jakby na złość, przyczepił się do niego ów siwy Wasyl, gaduła nad gaduły!

— Pan szanowny, co? Żyd, czy Rumun?

— Włoch.

— Włoch? No proszę, ja sądziłem, że Hiszpan. Dlaczego tak myślałem? Nu? Nie zgadnie pan?

— Nie zgadnę — wrzasnął Riano i odsunął flaszkę jak najdalej od siebie, gdyż korciło go, by nią palnąć w tę siwą czuprynę.

— Bo tak zazdrośni, jak pan, bywają najczęściej

Hiszpanie. I nic to nie pomoże piorunować wzrokiem na taką odległość. Aleksandra Teodorowna nie widzi tego, nie wróci momentalnie, chyba że pan jej powie, iż ja tu jestem. Ja, Wasyl Siemionowicz Kondratiew!

Riano Baldi chwycił się tego konceptu, jak tonący brzytwy, sądząc, że za jednym zamachem spławi nudziarza i popsuje zabawę hrabiemu.

— Nie tylko pańskie nazwisko — zaczął chytrze — ale nawet pan sam nie wywrze żadnego wrażenia na Aleksandrze.

— Tak pan sądzi?!

— Jestem gotów założyć się o butelkę wódki.

— No to zamów ją pan natychmiast, bo już zakład przegrałeś. Za dwie minuty wrócę tu z Aleksandrą Teodorówną.

Wstał, odszedł, zataczając się z lekka, a Riano w duchu aż rżał ze śmiechu. Czyż mógł przewidzieć, co teraz nastąpi?

Pani Oleńka zrazu nie poznała towarzysza dzieciennych zabaw. Kiedy jednak wymienił swoje nazwisko, skoczyła na równe nogi z takim impetem, że omal nie przewróciła stolika. Przewrócił się za to przeciążony różami wazonik, a woda z niego spłynęła kaskadą na łono pana hrabiego, który po tym prysznicu zerwał się także.

Tymczasem Aleksandra Thorne już dopadła Wasyla, już objęła go za szyję i obsypała mu twarz pocałunkami, śmiejąc się przy tym z radości jak szalona. Tak serdeczne powitanie w lokalu publicznym wywołało dużo zdziwienia. Umilkł gwar rozmów, wszystkie oczy skierowały się znowu na lożę młodego utracjusza, który stał czerwony jak burak, podczas gdy kelnerzy serwetami starali się zatrzeć ślady nagłej „powodzi” na jego garderobie.

Pośród grobowej ciszy, jaka chwilowo zapanowała na

sali, wyraźnie słychać było gorączkowe pytania, jakie padały z ust pani Oleńki: *kiedy przyjechałeś, jak długo zabawisz w Warszawie, gdzie mieszkasz* i tym podobne. Rozmawiali po rosyjsku, lecz oto znowu zagrała orkiestra, głuszając dalszy ciąg ich chaotycznego dialogu.

Riano Baldi, obserwujący tę scenę z większym zaciekawieniem, niż ktokolwiek inny, spostrzegł, że Wasyl podał ramię jego narzeczonej i oboje wyszli z łoży, pozostawiając w niej „suszącego się” arystokratę.

— **Dzielny Moskal! Nie przypuszczałem, że tak szybko odbije ją temu snobowi i przyprowadzi do mnie — cieszył się... przedwcześnie.**

Bowiem tamci dwoje skręcili ku przejściu wiodącemu na parkietową posadzkę dla zwolenników dancingowej choreografii, a w chwilę później wirowali już przy dźwiękach wiedeńskiego walczyka. Tym razem Riano nie miał powodów do zazdrości o narzeczoną, choć większość świateł zgaszono *dla nastroju*. Paliły się tylko ocienione abażurami lampki w łożach i dwa reflektory skierowane na duże, zawieszane u sufitu kule ze srebrnych blaszek, kręcące się powoli i siejące po sali bezlik wędrownych gwiazdeczek.

— **Ten Wasyl tańczy tak przyzwoicie — mruknął zadowolony, że patrzyłbym na to z przyjemnością godzinami.**

Niestety, mógł na to patrzeć tylko przez minutę. Potem pani Oleńka, która dotychczas z ożywieniem rozmawiała ze swoim partnerem, krzyknęła przeraźliwie, przycisnęła dłoń do lewej piersi i upadła na podłogę, jak gromem rażona.

Riano Baldi zerwał się z kanapki i jednym susem przesadził dość wysoką poręcz oddzielającą wyższą kondygnację stolików od niższej.

— **Zbrodniarz! Pchnął ją sztyletem! — przemknęło mu przez myśl.**

Muzyka przestała grać, na sali powstał zamęt, tchórzliwszych gości od razu zaczęła ogarniać panika.

— Światło! — zabrzmiało kilka głosów naraz. — Zapalić lampy! Hej, światło!

Lecz kabina z przelicznymi kontaktami oświetlenia elektrycznego znajdowała się w głębi, obok garderoby artystów. Nie dotarły tam jeszcze te okrzyki, więc nadal panował na sali półmrok, nadal owe gwiazdki błędziły po ścianach, suficie, podłodze i po twarzach pobladłych gości. Teraz, na tle ciszy, w atmosferze trwożnej niepewności wyglądało to trochę niesamowicie, przypominało sceny grozy z dawnych, niemych filmów.

Znów upłynęła minuta, zanim Riano precyzyjnie się do miejsca, gdzie upadła pani Oleńka Przenoszono ją właśnie do baru.

— A ten łotr?...

Na próżno rozglądał się za nim. Korzystając z zamieszania i z „nastrojowego” oświetlenia, Wasyl Siemionowicz Kondratiew ulotnił się z lokalu. W jego ślady poszedł również pan hrabia, który przecież zdążył wstąpić do dancingowej kwiaciarni i odsprzedać swój bukiet za połowę jego pierwotnej ceny.

Tymczasem w barze już cucono panią Oleńkę wodą i na przemian... koniakiem. Obydwie te metody jednak zawiodły, jak również bardziej fachowe zabiegi młodziutkiego lekarza czy medyka z Pogotowia Ratunkowego, które w końcu musiano wezwać.

— W każdym razie mogę pana zapewnić, iż ta kobieta nie została zasztyletowana, jak pan przypuszczał. Ani śladu rany nie znalazłem.

Riano z ulgą przyjął do wiadomości to oświadczenie zziąjanego eskulapa, niemniej bombardował go dalej

pytaniem o powód długotrwałego omdlenia swojej narzeczonej.

— Prawdopodobnie silny wstrząs nerwowy...

Prawdopodobnie pacjentka od dawna cierpi na serce...

— Czy to coś groźnego, panie konsyliarzu?

Początkujący konsyliarz zrobił minę à la *Nie powiem tak, nie powiem nie, ale módlmy się*, po czym kazał przenieść panią Oleńkę do karetki Pogotowia, która miała ją odwieźć do szpitala. Riano Baldi szedł tuż przy noszach, wpatrując się z przerażeniem w jej piękną twarz, nieruchomą obecnie i białą jak gipsowa maska pośmiertna.

— Co jej powiedział ten przekłety Wasyl — głowił się wciąż na próżno — że doznała tak straszego wstrząsu?!

¹ Und verstehen Sie deutsch? (niem.) – A czy pan rozumie po niemiecku?

² Jawohl. Was wünschen Sie? (niem.) – Tak. Czego pan sobie życzy?

ROZDZIAŁ XIII

Hans Demmer zrazu nie mógł zrozumieć, jakim cudem znalazł się w tym dziwnym kinie. Była to mała sala lub raczej duży pokój o dwóch szczelnie zasłoniętych oknach. Pomiędzy nimi wisiał srebrny ekranik, a naprzeciw niego stały trzy skórą obite fotele kinowe poprzedzielane stolikami. Na stolikach leżały otwarte pudełeczka z papierosami zagranicznymi i piętrzyły się piramidki ciastek, czekoladek oraz najpiękniejszych owoców południowych. Nie brakło tam również cygar ani pękatej butelki likieru, ani maszynki do czarnej kawy, nie mówiąc już o kosztownej zastawie do tego podwieczorku.

Hans, który przepadał za słodyczami, napychał się teraz nimi nieprzyzwoicie i patrzył bezmyślnie na ekran. Wyświetlano na nim film, przedstawiający jak gdyby podróż po Niemczech. Zaczęło się od malowniczych krajobrazów bawarskich, wirtemberskich i nadreńskich, po czym nastąpiła seria najcenniejszych dzieł architektury, a lakoniczne napisy objaśniały, co dany zabytek przedstawia. Ilustrację muzyczną stanowiła wiązanka popularnych melodii niemieckich, które Hans znał dobrze ze szkolnych czasów i które bezwiednie nucił sobie obecnie.

— To chyba sen — mruknął w pewnej chwili. — Bo i gdzie znalazłoby się kino, tak szczodrze fetujące widzów... pardon, jedyne widza!

Stwierdził już, że prócz niego nie ma na Sali nikogo,

nawet kinooperator musiał przebywać w sąsiednim pokoju, jak wskazywała smuga światła z aparatu projekcyjnego, wdzierająca się tu przez wysoko wycięty otwór w ścianie. Stwierdził także, iż siedzi na środkowym fotelu i czuje się błogo, chociaż nie potrafi zebrać myśli, a może właśnie dlatego.

— Jej w tym zasługa — przypuszczał, głaszcząc pieśczołtliwie butelkę i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek likieru.

Tymczasem na ekranie przedefilowały setki dymiących kominów fabrycznych i pługów motorowych przy orce i domów w stadium budowy. Napis pouczał, że całe Niemcy od roku 1919 z zapalem pracują, podczas gdy ich sąsiedzi zbroją się na gwałt. Tu wyświetlano kilka fragmentów z manewrów armii francuskiej, belgijskiej, polskiej i czechosłowackiej, po czym zaokrąglone in plus cyfry wymieniły ilość posiadanych przez te państwa samolotów, czołgów, baterii artylerii, kulomiotów oraz żołnierzy pod bronią na wypadek powszechnej mobilizacji.

I znów obrazek. Pomiedzy dwoma uzbrojonymi aż po zęby olbrzymami, Polakiem i Francuzem maleńki Niemiec z łopata w dłoni. I znowu napis przypominający, że Traktat Wersalski kompletnie rozbroił Niemcy, zabraniając im posiadania samolotów bojowych, łodzi podwodnych, czołgów, ciężkiej artylerii i redukując ich armię do zaledwie stu tysięcy ludzi.

— Nie, to jakiś stary film — zauważył Hans słusznie — dzisiaj jest przecież zupełnie inaczej.

Właśnie to niemieckie Dzisiaj stanowiło temat drugiej części filmu i rudowłosy młodzieniec uległ jakby rozdwojeniu jaźni. Jeden Hans odczuwał radosną dumę na widok scen uzmysławiających błyskawiczny wzrost potęgi Niemiec (—

Któryż inny naród zdobyłby się na to po tak wielkiej klęsce? Tylko MY!), drugi Hans, patrząc na rewię tysiąca samolotów wojskowych wzdrygnął się nagle (— O połowę mniejsza od tej flota powietrzna może w ciągu pół godziny wytępić ludność Paryża, pięć milionów osób! Tak obliczał dziesięć lat temu generał Bourgoïn, biorąc pod uwagę fosgen, śmieszna, niedołączna broń wobec dzisiejszych gazów trujących!)

Ilustracja muzyczna drugiej części filmu składała się z samych dziarskich marszów granych forte. Dlatego ludzie przebywający w kabinie nie usłyszeli gwizdów, jakimi Hans Demmer oznajmił, że otrząsnął się już z dziwnego otępienia umysłu i, jako pacyfista, protestuje przeciwko temu spektaklowi. Otrząsnął się na tyle, iż zaczął dociekać, skąd wziął się tutaj, zaczął przypominać sobie dzisiejsze wydarzenia i zaczął myśleć o ucieczce. Ale przed jej zrealizowaniem czy choćby próbą należało rozejrzeć się w sytuacji. Wstał więc, podbiegł do ekranu, którego boki zachodziły na zasłonięte okna i...

— Szkoda fatygi, panie Demmer — zabrzmiał znajomy głos — tych okiennic nie można odemknąć tak łatwo... Zresztą my mielibyśmy przeciwko temu poważne zastrzeżenia.

Hans obejrzał się. W otwartych drzwiach, jedynych, jakie posiadał ten pokój, stali ci sami natręci, którzy dziś znowu przyszli do willi przy ulicy Podchorążych. Młodszy z nich, ów wysoki z monoklem, zapraszającym ruchem ręki wskazał fotel.

— Zechce pan łaskawie zająć miejsce.

— A jeśli nie zechcę?

— To będzie pan stał, co nie należy do przyjemności przy tak długiej rozmowie, na jaką się zanosi między nami.

— Nie mam na nią ani czasu, ani ochoty, ani...

— Kto by o to pytał więźnia! — wtrącił drugi jegomość, niecierpliwy grubasek, żywe przeciwieństwo swego kolegi, który też zaraz jął uspakajać jeńca:

— Pan kapitan oczywiście żartował, czego dowodem jest chociażby to wszystko — tu wskazał „bufet”. — Niechże pan sam powie, drogi panie Demmer, czy więźniów przyjmuje się tak gościnnie?

— Nie wiem, nigdy jeszcze w więzieniu nie siedziałem i nigdy nie zasłużyłem sobie na nie. Dlatego pojąć nie mogę, z jakich powodów ściągnięto mnie tu przemocą? Czyżby dla obejrzenia tych propagandowych filmideł? Czy w swojej naiwności sądzą, że to zrobi ze mnie krwiożerczą bestię jak...

— Dość tego! — krzyknął kapitan. — Pan ma tylko milczeć i słuchać, co tu obecny doktor Schmidt panu oznajmi.

— A potem będę mógł wrócić do domu?

— Potem albo pan wykona mój rozkaz, albo pojedzie pan na przeszkolenie obywatelskie do jednego z naszych obozów koncentracyjnych!

— Pojadę! — Hans nadrabiał miną i wysilił się na drwiący uśmiezek, chociaż był już trochę nastraszone. — Pojadę koleją, czy samolotem? I jakże będzie na granicy polskiej?

— To moja rzecz, jak przez zieloną granicę przetransportować takiego ptaszka. A do granicy pojedziesz autem tak znieczulony po naszym zastrzyku, że nawet palcem kiwnąć nie zdołasz, zrozumiano?!

I tak się też stało, gdyż Hans odmówił stanowczo wykonania rozkazu, równającego się zdradzie idei, jakiej hołdował od lat. Ale przed tym musiał wysłuchać przydługiego wykładu doktora Schmidta o misji, jaką

narodowo-socjalistyczne Niemcy wzięły na swoje barki *dla dobra ludzkości, zagrożonej gangreną bolszewizmu*. W duchu wykpiwał te frazesy, potem starał się myśleć o czym innym i zmanifestować swoją lekceważącą nieuwagę, jednakże kilka zdań utknęło mu w pamięci mocno; miały one później być kamieniem węgielnym gmachu pokus.

Dopiero o godzinie pierwszej po północy małe sportowe auto wyruszyło w drogę. Przy kierownicy siedział ten sam szofer, który zwabił Hansa do fałszywej taksówki, a z tyłu, przy więźniu, doktor Schmidt. Działanie zastrzyku, jaki zaaplikowano jeńcowi, było dość dziwne; Hans nie spał, widział i słyszał normalnie, dobrze zdawał sobie sprawę z tego, co dzieje się z nim obecnie, co było przedtem, tylko nie mógł zareagować na to w żaden sposób. Gdy podczas krótkiego przystanku na skrzyżowaniu ulic chciał zacząć krzyczeć, że go porwano, jego wargi poruszyły się bezgłośnie i głosu wydobyć z siebie nie zdołał.

— To coś w rodzaju letargu — myślał — ale chyba ten przeklęty strajk strun głosowych minie, zanim dotrzemy do Zbąszynia albo do Tczewa, a wtedy wrzasnę sobie na całe gardło!

Kiedy jednak auto, przebywszy most Poniatowskiego, zaczęło przecinać Pragę w kierunku ulicy Radzymińskiej, zrozumiał, że wiozą go ku granicy Prus Wschodnich, od której dzieli Warszawę przestrzeń znacznie krótsza, bo zaledwie 140 kilometrów, czyli dwie godziny jazdy samochodem.

— Trzy godziny lub więcej — pocieszał się w duchu — przecież nocą nie można tak pędzić przy kiepskim stanie tutejszych dróg.

Pod tym względem miał słuszość. Szofer jechał z bardzo umiarkowaną chyżością nie tylko przez miasto (co

mogło być uzasadnione obawą, że szybki pęd auta zwróci na nie uwagę posterunkowych), lecz również za roгатką. Nie uchroniło ich to jednak od przygody, która spieszyła im naprzeciw w postaci samochodu prowadzonego przez pijanego kierowcę.

Szosa wiodąca do Radzymina jest prosta, jak strzeł. Z daleka już więc ujrzeli światła tamtego wehikułu, ustawicznie zbaczające na jedną i na drugą stronę, jak gdyby droga wiła się gzygzakiem o łagodnych zakrętach.

Doktor Schmidt zaniepokoił się trochę.

— To mi wygląda podejrzanie — mruknął.

Jego szofer na przemian przyciemniał i rozjaśniał reflektory swojego wozu, przypominając tym mruganiem nadjeżdżającemu automobiliście, że nie wolno oślepić się nawzajem, po czym zgasił wszystkie światła, prócz małych lampeczek, umieszczonych na błotnikach i oznaczających w nocy szerokość samochodu.

Nic to nie pomogło, tamten nie zgasił swoich reflektorów i jechał nadal tak, jakby cały gościniec należał wyłącznie do niego, A po chwili doktor Schmidt, Hans Demmer oraz ich szofer usłyszeli... śpiew! Zachrypłym głosem ryczał ktoś fortissimo:

— Rrraz na lewo, rrraz na prawo...

— Ach, więc tak! Jazda od rowu do rowu miała być akompaniamentem do ogólnie znanego walczyka pod tytułem *Raz na lewo, raz na prawo*.

— Gość jest chyba zalany w pestkę.

— Uff — odsapnął z ulgą doktor Schmidt — a ja już myślałem, że...

Nie skończył, gdyż w tej samej chwili szofer zatrąbił, dał gazu, skręcił w lewo, by uniknąć zderzenia z pijakiem pędzącym wprost na nich. Lecz ów niemal równocześnie

zaczął wykonywać nowy es-flores. W prawo! Szofer, nagle zagrożony z prawej flanki, oślepiiony reflektorami „holendrującego” po szosie samochodu, nie wyprostował wozu w porę, a w momencie, gdy zawisł lewymi kołami nad rowem, otrzymał z drugiej strony „cios łaski”. Tego karambolu tamten ciężki, rozpędzony samochód ani nie poczuł, za to ich lekkie sportowe auto i tak już spadające z szosy, od razu machnęło kozła...

Hansowi wydało się w pewnej chwili, iż płynie łódką po silnie sfalowanym morzu, ale to morze i łódka jakoś znacznie mniej cuchnęły śledziami niż... spirytusem.

— Bardzo głupie sny trapią mnie dzisiaj, myślał, podnosząc z trudem powieki.

Ciemnawo było dokoła, lecz zdołał stwierdzić, że znajduje się na szosie i że niesie go jak dziecko, na rękach jakiś olbrzym, zataczający się zabawnie. Od niego to właśnie tak zalaływało śledzikiem i wódką.

— Ach, to zapewne ten wstawiony automobilista, który nas zepchnął do rowu, — przypomniał sobie. — I dokąd on chce mnie zataskać?

Okazało się, że do swojego auta, które stało nieopodal stąd i sapało podobnie jak jego właściciel. Za to bajecznie wygodna była ta stara landara, o czym Hans przekonał się niebawem, gdyż nieznamy posadził go na przednim siedzeniu, obok miejsca przeznaczonego dla kierowcy.

— Czy oprócz pana bywszy jeszcze ktoś w tym wózku dzieciennym?

Oszołomiony Hans nie od razu zrozumiał, że pijany wielkolud nazywa dzieciennym wózkiem niski, sportowy samochód doktora Schmidta.

— Pan jechał sam? — brzmiało drugie pytanie. Tym razem Hans co prędzej skinął głową

potwierdzająco.

— Tym lepiej. Okropnie nie chciałoby mi się dźwigać drugiego takiego byczka, jak łaskawy pan... Zatem jedźmy do Warszawki, skąd wyślemy ciężarówkę po szczątki pańskiego auciątka. Ubezpieczył je pan? No, to w porządku, ja ani słówkiem nie pisnę, że jechał pan nieprawidłową stroną. Bo ja, uważa pan, jestem trochę raptus, ale człek dobry z kośćciami.

Na ten temat wygłosił dłuższy monolog w drodze do Warszawy, a równocześnie prowadził z brawurą swój wóz. Powtarzał w kółko z pijackim uporem, że nie ma pod słońcem lepszego człowieka niż on, każdy z jego sąsiadów może to potwierdzić, ba, nawet całe województwo wileńskie. Wszyscy go lubią, szanują, tylko jedna osoba nie poznała się na nim. Właśnie ta najdroższa na świecie, krótko mówiąc, jego była żona. Przez nią tak się rozpił...

Te zwierzenia nie interesowały ani trochę Hansa, który miał dosyć własnych trosk. Wprawdzie wyrwał się, dzięki przypadkowi, z rąk swoich prześladowców, ale czy ta rozgrywka skończy się na tym? I czy, z drugiej strony, polskie władze, prowadząc dochodzenia w sprawie automobilowej katastrofy na szosie radzymińskiej, nie zainteresują się kwestią, dlaczego to chciano wywieźć za granicę jego, Hansa Demmera? O, na pewno! A tym samym już nie będzie można utrzymać w tajemnicy tego, co przygotowuje się w willi Witolda Rodawskiego przy ulicy Podchorążych.

— Wara! Te sprawy aż do właściwego momentu muszą pozostać w tajemnicy, żeby tam nie wiem co!

Zrealizowanie tego postanowienia wymagało zatarcia śladów udziału Hansa w samochodowej eskapadzie doktora Schmidta, co wydawało mu się nietrudną rzeczą.

— Wystarczy, bym drapnął temu pijakowi i niech sobie szukają wiatru w polu. Oby tylko jak najprędzej minęło działanie zastrzyku.

Zanosił się na to. Mógł już poruszać nogami i ręce podnosić, tylko dziwny „strajk” głosowych strun trwał jeszcze nadal. Na próżno, gdy dotarli do Targówka, zapytywał właściciel auta, dokąd go ma odwieźć.

— Do pioruna, czyżby on stracił mowę w tym wypadku?!... A może łaskawy pan bywszy głuchoniemy od urodzenia?

Hans ubawiony tym przypuszczeniem, jął skwapliwie potakiwać, lecz wnet spuścił nos na kwintę, Bowiem towarzysz wyciągnął mu portfel z kieszeni i bez ceremonii wertował znalezione tam papiery, dopóki nie znalazł jego adresu.

— Aha, na Podchorążych. Nie mam pojęcia, gdzie jest ta ulica, lecz zaraz spytam jakiego policjanta.

Jeszcze i to! Jeszcze posterunkowy, stojący koło Mostu Kierbedzia musiał przyjrzeć się z bliska obydwóm pasażerom tej landary, trudnej do zapomnienia po choćby jednym rzucie oka...

Biła godzina trzecia, kiedy stanęli u celu. Riano Baldi, właśnie wracający z lecznicy, do której Pogotowie Lekarskie odwiozło z dancingu Aleksandrę Thorne, zdziwił się i zaniepokoił na widok ogromnego samochodu, zajeżdżającego przed furtkę od ogródka ich willi. Z auta wysiadł barczysty, imponująco wysoki mężczyzna, podtrzymując jak gdyby pijanego młodzieńca, który...

— O, Boże, to nasz Hans! Co mu się stało?

— Nic, na szczęście, za to jego auto jest trrrrup.

— Jego auto?!

— Uhum. Przewrócone do góry kołami, rozbite,

potrzaskane...

Mylił się. Samochód, o którym mówił, nie odniósł żadnych poważniejszych uszkodzeń i obecnie doktor Schmidt oraz jego szofer, ocknąwszy się z omdlenia, windowali auto na gościniec.

— Ale ja wyrównam szkodę, gdyby asekuracja chciała wykręcić się od tego... Oto mój adres.

Riano machinalnie spojrział na wyręczony mu bilet wizytowy i omal nie krzyknął, gdy w świetle latarni ulicznej ujrzał napis: Gustaw Thorne. To był zatem mąż pani Oleńki, jego narzeczonej!

— Do widzenia panom.

— Przepraszam — Riano dokładał wszelkich starań, by jego głos brzmiał tak samo, jak przedtem. — Z wizytówki tej wynika, że pan stale mieszka na Wileńszczyźnie. Zatem w Warszawie zabawi pan chyba niedługo...

— Sam nie wiem, czy długo, czy tylko parę dni.

Gustaw Thorne tak jowialnie dotychczas usposobiony, nagle sposepniał, zagapił się na jeden z reflektorów swojej landary i po chwili, jakby do siebie, cicho, lecz złowrogo wypowiedział słowa, które przeraziły Riana:

— W każdym razie nie odjadę stąd, dopóki nie pomszczę swojej krzywdy!

ROZDZIAŁ XIV

Witold Rodawski w nawale swoich zajęć dawno już zapomniał o zabawnej omyłce sióstr Motyło, natomiast jego stary sługa nie mógł przeboleć tego, że miłe panienki wyprowadziły się na Pragę do *prawdziwego wujcja*. Telefonował tam co najmniej raz na dzień, ale zwykle częściej, dzięki czemu wiedział mniej więcej o wszystkim, co ich dotyczyło. Dowiedział się więc, że Krysia umieściła już Wandzię w jakimś internacie, że Wincenty Rodawski *ani nie umył sję* do swego imiennika, pana Witolda, i nie jest bynajmniej gościnnie, wobec czego ona, Krysia, wyjedzie z Warszawy w najbliższym czasie.

— Tylko przed tym musji pan spełnić jedną moją prośbę, dobrze?

— Dobrze, panienko, dobrze, z góry obiecuję... A o co chodzi?

— Ale, panie Janie, to scjista tajemnica!

— Daję słowo honoru uczciwego lokaja!... Więc?

— Chodzi mi o ładną fotografię... pana Witolda.

Staremu Janowi nareszcie rozjaśniło się w głowie, nareszcie zrozumiał, dlaczego Krysia podczas każdej telefonicznej pogawędki z nim ustawicznie kierowała rozmowę na *eks-wujcja*. A ponieważ od lat bolał nad tym, że jego chlebodawca, pomimo swej urody, młodości, bogactwa, „pleśnieje” w kawalerstwie, przeto prośba Krysi wprawiła go w zachwyt.

— Ona go kocha, ona chce machnąć się za niego, a jeśli baba tego bardzo chce, to zawsze postawi na swoim; chłop nie ma nic do gadania w takich sprawach, musi wpaść, jak ćma w płomień świecy — rozumował słusznie i oczyma duszy widział już swego pana w małżeńskim stanie.

Widział też w Krysi swoją przyszłą panią, więc do szczerzej sympatii, jaką wobec niej żywił dotychczas, przybył szacunek i chęć przypodobania się, zaskarżenia sobie jej łask. Dlatego prośba o fotografię została spełniona z nadwyżką, to znaczy, na swój koszt kazał Jan powiększyć jedno z amatorskich zdjęć Witolda i tę powiększoną odbitkę nakleić na ładnym kartonie. Tylko dostarczenie tego daru nastroczało nieco trudności.

— Jak panienka wie, nie wolno mi wychodzić z mieszkania, kiedy pana nie ma. Może by tedy wysiać to pocztą? A może by panienka zechciała odebrać fotkę osobiście tutaj?

Krysia właśnie czekała na to. Nie będąc taką optymistką jak Jan, nie licząc na zdobycie wzajemności Witolda, chciała przynajmniej spędzić kilka minut w jego wspaniałym apartamencie, w którym przeżyła krótkie chwile szczęścia. A potem odjedzie, wróci na swoje Polesie ze złamanym sercem, ale bez żalu do niego. (— Niego, to znaczy się do Witolda, nie do Polesja, toż jasne!).

W przeddzień zamierzonego wyjazdu z Warszawy, czyli w piątek, 13 września, o godzinie jedenastej przed południem Krystyna Motyło drżącym palcem nacisnęła guziczek dzwonnka przy drzwiach mieszkania Witolda w Alei Szucha. Czekala dość długo, gdyż stary Jan krzątał się w kuchni, przygotowując dla niej wystawny lunch i osobno jakieś przysmaki na drogę.

— Ależ ja tu nie będę nic jadła!

— Dlaczego, panienko? Pan dyrektor powiedział mi rano, że wróci dziś z fabryki dopiero o trzeciej, więc panienka zdąży zjeść i...

— Nie idzie o to, czy zdążę, tylko, że nie wypada... A gdzie ta obiecana fotografia?

— W pana gabinecie. Przejdźmy tam, dobrze? Nie wypada — zemścił się na wesoło — abyśmy rozmawiali w hallu.

Zaledwie jednak weszli do gabinetu, zachrobotał klucz w zamku drzwi od klatki schodowej, po czym w przedpokoju zabrzmiał głos Witolda:

— Janie! Janie!

Jan zbaraniał, Krysia zbladła jak papier.

— To twój podstęp?! — wykrztusiła, patrząc na lokaja z wyrzutem.

— To mój pech — odparł szeptem. — Pan miał wrócić dopiero za cztery godziny. Może czegoś zapomniał? Zagadam go, a panienka niech się tu gdzie ukryje tymczasem... Pan dyrektor na pewno zaraz odjedzie do fabryki — sądził mylnie.

Wybiegając do hallu, skąd dochodziły echa szybkich kroków Witolda, wskazał ręką to spośród trzech okien, do którego dostęp poniekąd zamykała kanapa ustawiona na ukos. Tak, to był jedyny możliwy schowek w tym pokoju. Bo chociaż wszystkie okna posiadały portiery, to jednak te nie sięgały do samej podłogi, zatem nie zakryłyby dziewczynie nóg, co wzięta na siebie pocziwa kanapa. Krysia okazała jeszcze na tyle przytomności umysłu, że zabrała ze sobą do swej kryjówki ową powiększoną fotografię, której Witold nie znał i której obecność na biurku zaintrygować go mogła.

— Janie! Gdzie Jan się zaszyl?

Głos nacichał, snadź Witold skręcił z przedpokoju w korytarz wiodący do kuchni.

— Tu jestem, panie dyrektorze. Sprzątałem w salonie...
Czy pan czegoś szuka?

— Tylko ciebie. Chodzi mi o to, byś poszedł sobie na spacer i nie wracał tu, jak długo moje auto będzie stało przed bramą.

— Nnnie rozumiem...

— Chcę być w mieszkaniu sam.

— Dlaaa... dlaczego sam?! — zabelkotał wierny sługa, któremu przyszło na myśl, iż jego pan zamierza popełnić samobójstwo. — Czy pan może...

— Głupiejesz na starość — wtrącił ostro Witold, domyśliwszy się, jaki jest powód nagłego przerażenia lokaja.
— No, zmykaj, pókim dobry.

Delikatnie, lecz stanowczo wypchnął go za drzwi. Wszystko to tak odmienne od zwykłego zachowania się chlebodawcy, że stary Jan przez dłuższy czas nie mógł przyjść do siebie. W końcu, postanowiwszy zasięgnąć języka u szofera, który pono czekał z autem pod bramą, zaczął szybko zstępować po schodach, a równocześnie myślał z obawą, że Witold zapewne odkrył już obecność uroczego intruza w swoim gabinecie.

To jednak nie nastąpiło dotychczas, gdyż Krystyna stała za portierą cichuteńko jak trusia, z drugiej zaś strony Witoldowi ani przez myśl nie przeszło, iż oprócz niego przebywa tu jeszcze ktoś, skoro lokaj wyszedł. Jak głębokie było to jego przekonanie świadczył początek dramatycznej rozmowy, jaka rozegrała się tutaj pomiędzy... braćmi. Tak, braćmi, bowiem tym, którego Witold oczekiwał teraz pełen najgorszych przeczuć był jego brat, major Bolesław Rodawski. On właśnie zadzwonił dziś do fabryki, żądając rozmowy w cztery oczy, on wybrał miejsce spotkania, on, kiedy Witold wymawiał się brakiem czasu w godzinach

przedpołudniowych, powiedział *na wabia* kilka słów, które jego młodszym bratem wręcz wstrząsnęły.

Major Rodawski stawił się punktualnie o godzinie jedenastej minut dziesięć, jak obiecał. Wchodząc do gabinetu brata, zapytał przede wszystkim, czy prócz nich nie ma nikogo w mieszkaniu.

— Nie ma, lecz bądź łaskaw sprawdzić — odparł Witold.

— Szkoda mi czasu na to, zresztą wolałbym twoje słowo!

— Więc daję ci słowo honoru — rzekł młodszy Rodawski głośno i uroczyście — że jesteśmy w mieszkaniu zupełnie sami.

— Jessus-Maria! — wyszeptała Krystyna, wyobrażając sobie według swoich romantycznych pojęć, że gdyby ją teraz odkryto, *eks-wujcju musjałby sje strzelać na pistolce*. — Przeze mnie! Przeze mnie!

Tymczasem gość zagłębił się w fotelu koło biurka.

— Wierzę ci, Wit — rzekł. — Zresztą gdybyś był wpadł na koncept ukrycia tu kogoś, aby mieć świadka naszej rozmowy, moja intuicja powiedziałaaby mi to natychmiast i, zamiast żądać słowa honoru, byłbym wyszedł.

— Ładnaż to intuicja! — pomyślała Krysia z wisielczym humorem.

— Do rzeczy, Bolku, do rzeczy. Mam wrażenie, że twój czas jest równie cenny, jak mój.

— Więcej! Gdyż ja służę ojczyźnie, a ty zbijasz forszę dla...

— Dla siebie, sądzisz? Nie, mój drogi.

— Wiem, wiem, dla dobra ludzkości — major uśmiechnął się na pół wyrozumiale, na pół ironicznie. — Sfinansowane przez ciebie wynalazki twych czworga przyjaciół położą raz na zawsze kres wojnom i przyniosą światu wieczysty pokój. Cha, cha, cha, cha. Czy ty naprawdę wierzysz w te mrzonki?

Bo nie dziwię się tamtym; Hans Demmer to dzieciak, jego ojciec na skutek tragicznych przeżyć może sobie szwankować na umyśle, Lan-Cheng jako baby w ogóle nie biorę poważnie, no a rzekomy Riano Baldi... zresztą o nim pogadamy osobno... Ale że ty, przemysłowiec, inżynier, trzeźwy, zrównoważony człowiek należysz do tej paczki maniaków, to bardzo dziwne!

W miarę jak Bolesław Rodawski to mówił, na twarzy jego brata malowały się różne uczucia; najpierw zdumienie, potem przestrasz, w końcu gniew.

— Bardziej dziwne jest to — rzekł, siląc się na spokojny ton, chociaż cały dygotał wewnątrz z oburzenia — skąd ty znasz nazwiska moich przyjaciół i... — zawahał się — i...

— I wasze największe tajemnice? — pomógł mu major. — Ano zdradził mi je ktoś i zdradza w dalszym ciągu za skromnym wynagrodzeniem.

— Oszczerstwo! Nigdy w to nie uwierzę, by w naszym szczupłym gronie był zdrajca!

— Możesz nie wierzyć, natomiast ja mogę ci powtórzyć niejedną z waszych najintymniejszych rozmów na dowód, że mamy swojego konfidenta w twojej willi przy ulicy Podchorążych.

— Więc szpiegujesz nas, przyznałeś sam! Czy wolno wiedzieć, co skłoniło cię do tego, by nasyłać szpiclów na rodzony brata?

— Co? Wielkie zainteresowanie, jakie obudziliście u wywiadu pewnego ościennego mocarstwa. Obserwując od dawna parkę jego tutejszych agentów, stwierdziliśmy niespełna dwa tygodnie temu, iż zajęli się żywo pewną willą przy Podchorążych. To z kolei zaciekało nas, a możesz wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdy zameldowano mi, że ta willa należy do ciebie, mojego brata, i że mieszkają w niej

twoi przyjaciele, którzy... to już zainteresowało mnie urzędowo... którzy podobno dokonali rewelacyjnych wynalazków wojennych...

— Antywojennych!!

— Ba, nawet zwyczajny kij może służyć do bójki albo do podparcia fasoli; wszystko zależy od tego, czy weźmie go do rąk awanturnik, czy spokojny człowiek. Nie sądzę zaś, by jakiegokolwiek państwo, posiadające tak potężną broń, jak wasz *bezgłośny piorun*, umieściło ją w muzeum, zamiast w arsenałach.

— Dlatego też żadne państwo nie będzie korzystało z owoców naszej pracy, tylko wyłącznie Liga Narodów.

— Liga Narodów, cha, cha, cha, cha — major Rodawski śmiał się teraz szczerze, bez szyderstwa — ten poroniony plód roztargnionego profesora...

— Znacznie mądrzejsi od ciebie uznali, że największym człowiekiem wszystkich czasów... powtarzam z naciskiem, człowiekiem, był właśnie twórca Ligi Narodów, prezydent Woodrow Wilson!

— Zgoda, lecz urodził się nieborak o kilkaset lat za wcześniej, a ty z nim. I w ogóle wszyscy pacyfiści.

— Jeszcze za wcześniej?! Jeszcze za mało było wojen w dziejach świata?! Jeszcze waszej krwiożerczości nie zaspokoilo piętnaście milionów ofiar niepotrzebnej wojny światowej?!

— Niepotrzebnej, jak niepotrzebnej, skoro jej zawdzięcza swoje zmartwychwstanie Polska, Czechosłowacja, Estonia, Finland...

— Ech — wtrącił Witold i wzruszył ramionami — mnie obchodzi tylko to, co dotyczy całej ludzkości.

— A mnie nie obchodzi nic, poza Polską!

— Skoro horyzont twoich myśli, marzeń, ideałów jest tak

ciasny, to nie zrozumiemy się nigdy, poniechajmy więc bezpłodnej dyskusji... Mówmy — dodał kpiąco — mówmy raczej o pogodzie.

— O pogodzie? Doskonale! — przystał major z dziwnie złowrogim uśmieszkiem. — Zima tego roku będzie podobno ostra... w Polsce. Toteż ucieszy cię zapewne, że twój włoski przyjaciel spędzi ją w swej słonecznej ojczyźnie. Mianowicie w więzieniu! O ile do zimy będzie jeszcze żył! Bo faszyci nie odraczają wykonania wyroków śmierci tak, jak Amerykanie, raczej wprost przeciwnie...

— Bolku, czyś ty się upił?! Riano miałby...

— Pardon, gdzie pewność, że on jest Cipriano Baldi? Może to jego morderca?! Może podszył się pod nazwisko swojej ofiary?! Tak przynajmniej utrzymuje włoska policja. Właśnie wczoraj zwróciła się do naszych władz z prośbą o wydanie zbiegłego przestępcy. Nie wierzysz? Oto dosłowny odpis tej noty...

Kiedy osłupiały Witold zapoznał się z treścią tego pisma, major Bolesław Rodawski wyjaśnił, w jaki sposób dowiedział się o nim.

— Znowu prosty przypadek sprawił, że dostał to do załatwienia facet, z którym kolegowałem w gimnazjum. Wiedząc, iż pracuję w sztabie, zatelefonował do mnie i rzekł plus minus tak: *Bolek, twój brat wsiąknie brzydko, gdyż ukrywa w swej willi poszukiwanego we Włoszech zbrodniarza...* Pojechałem do niego co prędzej, przeczytałem ten dokument i stwierdziłem naocznie, że eks-kolega powiedział mi prawdę.

— Ani słowa prawdy tam nie ma! Riano Baldi studiował razem ze mną w Niemczech, razem zdawaliśmy wszystkie egzaminy na politechnice, razem mieszkaliśmy przez dwa lata, a znamy się od dziesięciu lat. Riano Baldi ocalił mi

życie, potem ja pielęgnowałem jego, kiedy zapadł na płuca i zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Czy w tych warunkach jest możliwe, bym nie zdemaskował oszusta, który rzekomo podszył się pod nazwisko mojego Riana? Żebym dał wprowadzić się w błąd? Albo żebym ukrywał mordercę mojego przyjaciela? Nonsens! Absurd! Idiotyzm!

— Jednakże Włosi twierdzą, że ty...

— A ja twierdzę, że ci Włosi są pojętnymi uczniami swojego rodaka, Machiawela, propagatora łajdackiej zasady, iż cel uświęca środki. Dowiedziawszy się skądś, że Riano przebywa w Polsce i dobrze wiedząc, że nie wróciłby do Włoch dobrowolnie, choćby mu obiecywali złote góry, uknuli podłą intrygę, robią z niego mordercę, byle ściągnąć go tam na powrót.

— Dlaczego? Cóż im zależy na nim?

— O, zależy im bardzo! Riano był asystentem Marconiego!¹ Riano zna tajemnice jego laboratorium na jachcie *Elektra*! Riano tam właśnie skonstruował pierwszy model swego *bezgłośnego pioruna*, którego działanie wprowadziło w zachwyty dyktatora Włoch! Ale Riano przed ucieczką z *Elektry* zdążył ów model cisnąć w morze, a stary Marconi, zajęty własnymi wynalazkami, nie zapoznał się z *bezgłośnym piorunem* na tyle, by mógł go sam odtworzyć... Teraz chyba pojmujesz, dlaczego Włosi gotowi są na wszystko, byle Riana dostać znów w swoją moc...

— I dostaną go, to nie ulega wątpliwości. Na podstawie noty, której odpis czytałeś, Riano pojedzie do Włoch w kajdankach.

— Jak to! — krzyknął Witold. — Przecież on jest niewinny!

— My dwaj możemy sobie w to wierzyć, ale nasze władze muszą wierzyć władzom włoskim, a nie panu Riano.

W przeciwnym bowiem razie każdy zbrodniarz mógłby się czuć bezpiecznym po ucieczce za granicę... Tak, bracie. Riano zostanie odesłany do Włoch i obawiam się, że podobny los spotka niebawem Demmerów, tylko ci pojedą do Niemiec. Bo czy łudzisz się, iż rzekomego doktora Schmidta zniechęciła ta nieudana próba porwania Hansa?

— Ty wiesz o tym także?!

— Ja wiem wszystko, wszędzie mam swoich... jak ich brzydko nazwałeś, szpiclów. Nawet w twojej willi przy Podchorążych!

— Nawet tam — powtórzył Witold głucho. — I co teraz będzie?

— Co będzie? Ano, twój Baldi dostanie w ojczyźnie taki masaż moralny... o ile nie inny!... że w końcu odda swą wiedzę i wynalazek na usługi rządu faszystowskiego. Nie sądzę zaś, by hitlerowcy zamierzali postąpić łagodniej z Demmerami...

— Przecież do tego dopuścić nie wolno!

— Nie wolno, Wit, stanowczo nie wolno. — Po raz pierwszy dziś major Rodawski spojrział na Witolda z braterską serdecznością. — I właśnie dlatego tu przyszedłem, aby twoich przyjaciół uchronić przed...

— Bolek, niech cię uściskam...

— Czekał, moja pomoc bynajmniej nie będzie bezinteresowna!

— Och, gdyby ci chodziło o pieniądze, to ja...

— Gdybyś nie był moim bratem, to dałbym ci teraz po papie?

— Nie chciałem cię dotknąć, Bolku, lecz sam powiedziałeś, że...

— Że nie będę bezinteresownym. I nie będę, ale pieniędzmi częstuj swoich fagasów, nie mnie... A teraz, do

rzeczy. Mogę sprawić to, że Włosi nie wskórają nic, choćby postawili się na głowie. Mogę tak samo zabezpieczyć Demmerów i Lan-Cheng, na którą znów ostrzy sobie zęby wywiad innego mocarstwa. Mogę twoich przyjaciół otoczyć opieką, wyłączając możliwość wszelkich napadów na nich, a gwarantując im dużą swobodę ruchów. Mogę im oddać do dyspozycji laboratoria takie, na jakie nie mógłbyś sobie pozwolić nawet ty, prawie milioner... Lecz w zamian za to wszystko żądam, aby z owoców ich pracy korzystała przede wszystkim Polska!

— Nic więcej? — spytał Witold drwiąco.

— Nie. To mój jedyny warunek.

— Odrzucam go bez najmniejszego wahania!

Powiedział to tak pogardliwie, że major skoczył na równe nogi. Witold także wstał i przez chwilę dwaj bracia mierzyli się spojrzeniami bokserów, właśnie rozpoczynających ostatnią rundę. Wreszcie przemówił starszy Rodawski, który ochłonął snadź wcześniej:

— Tego, coś rzekł, nie przyjmuję do wiadomości, gdyż ty nie masz prawa decydować o losie swoich przyjaciół. Z całej waszej paczki tylko tobie nic nie grozi... na razie, dlategoś taki zuch! Ale, szanowny pacyfisto, ale cudzym życiem szafować ci nie wolno!

Cios był celny. Witold, który po słowach *dlategoś taki zuch* odruchowo pochwycił ciężki przycisk, teraz zwiesił głowę.

— Masz słuszność — przyznał — niech oni sami dadzą ci odpowiedź na to bezlitosne ultimatum. Ile czasu do namysłu im zostawiasz?

— Całą dobę — odparł major.

— Za mało, stanowczo za mało. Jakże można w ciągu doby przekreślić to, co od wielu lat stanowiło cel życia!

— Więc daję wam dwie doby. Przyjdę tu pojutrze, czyli w niedzielę w południe. Lecz jeśli odrzucicie moje żądania, Baldi zostanie aresztowany już w poniedziałek! A „dalszy ciąg” nastąpi...

— Dalszy ciąg, hm. Jakąż korzyść odniesie Polska z tego, że Riano będzie wydany władzom włoskim.

— Będzie wydany, lecz nie od razu. Pierw posiedzi parę lat w pace u nas, gdyż tutaj także wszedł w kolizję z ustawami.

Nie bez satysfakcji zaczął major wyliczać grzechy młodego Włocha. Oto przekroczył on granice Polski bez paszportu i wizy. Nie był nigdzie zameldowany. Po trzecie, omal nie zabił paru osób, kiedy na ulicę Podchorążych runęło ciężkie drzewo, ścięte jego „bezglósnym piorunem”.

Podobnego przestępstwa dopuścili się jakoby Demmerowie. W nocy z 7 na 8 września, rzucili kilka epruwetek z jakimś gazem duszącym do swego ogrodu, gdzie właśnie ludzie majora Rodawskiego starali się ująć żywcem agentów obcego wywiadu, zamierzających wdrzeć się do laboratorium w willi. Przez ten nieoczekiwany „atak gazowy” agenci zdołali zbiec, a swoim kaszel szarpał płuca do rana...

— Jak z tego widzisz — reasumował major — sporo mamy najlegalniejszych powodów do osadzenia twoich przyjaciół w więzieniu, o czym zechciej ich poinformować lojalnie, zanim powezmą ostateczną decyzję... A, do diabła, to już dwunasta?! — zdziwił się, spojrzawszy na zegarek. — Żegnam cię zatem, luby pacyfisto, i radzę ci wpłynąć na tych cudzoziemców, aby we własnym interesie przyjęli moją propozycję.

Chłodno, zdawkowo uścisnął dłoń bratu i skierował się ku drzwiom hallu, lecz na progu przypomniał sobie jeszcze coś ważnego.

— Wyprosiłeś dwie doby, zgoda — powiedział, ale ja ten rozejm zerwę bezzwłocznie, gdy dowiem się, że planujecie ucieczkę lub inny głupi kawał. A dowiem się w ciągu paru minut! Mój konfident nie jest takim flegmatykiem jak wasz groteskowy Kyo...

Kiedy za majorem Rodawskim zamknęły się drzwi, Witold powrócił z hallu do swego gabinetu i przede wszystkim zaklął siarczyście.

— Może te parszywe szpicle — rzekł potem głośno do siebie — grasują i tutaj, po moim mieszkaniu! Nnnno, chciałbym znaleźć takiego...

— Jessus-Maria, ratujcie! — westchnęła przerażona Krysia.

Bowiem przyszło jej teraz na myśl, że gdyby Witold odkrył jej obecność tutaj, uznałby właśnie ją za konfidenta swojego brata. I okazało się niebawem, iż ta jej obawa była uzasadniona.

¹ Guglielmo Marconi (1874-1937) – włoski fizyk i konstruktor. Jeden z pionierów radia i przemysłu elektronicznego.

ROZDZIAŁ XV

Krystyna Motyło najadła się tu dziś strachu co niemiara. Gdy idąc za radą Jana wsunęła się za portierę trzeciego okna, wyobrażała sobie, że Witold wpadł po coś do domu, lecz wyjdzie natychmiast, po czym ona będzie mogła opuścić swoją kryjówkę. Nie spełniły się te przewidywania, a rozmowa dwóch braci, pokrótce tu streszczona, trwała równe pięćdziesiąt minut. Razem więc przez godzinę Krysia stała nieruchomo jak posąg, zwrócona do okna plecami, które słońce grzało niemiłosiernie. Przez godzinę!

Nie skończyło się jednak na tym. Odprowadziwszy brata do drzwi, Witold zaraz powrócił z hallu do gabinetu, połączył się telefonicznie z willą przy ulicy Podchorążych i w dziesięć minut później Riano Baldi oraz Demmerowie przyjechali tu taksówką, aby odbyć walną naradę... w gabinecie! — Jak gdyby w tym mieszkaniu nie było innych pokojów! — irytowała się Krysia.

— Co się stało, Wit? — zapytał profesor Otto Demmer.

Wit powtórzył swą rozmowę z bratem, po czym ciągnął dalej:

— Jestem oburzony na niego, ale i wściekły na siebie. Boć ja was ściągnąłem do Polski, a dziś ta niby tolerancyjna, gościnna Polska chce was...

— Bądźmy sprawiedliwi — wtrącił profesor. — To samo spotkałoby nas wszędzie, a nie wszędzie pozostawiono by nas tak długo w spokoju, jak to było tutaj.

— Nie można się też dziwić — dorzucił Riano — że twój brat idzie w ślady wywiadów innych państw, że pragnie je uprzedzić. Z jego punktu widzenia Polska ma do naszych wynalazków większe prawo niż...

— Nie ma żadne prawo! — krzyknął Hans. — Ani Polska, ani żaden Staat!

— Niestety, mój synu, haniebna zasada *siła przed prawem* obowiązuje nadal i nie tylko w stosunkach międzynarodowych.

— Czy to znaczy, profesorze, iż chcesz skapitulować?!

— Nie, lecz widzę, że aby ustrzec swe wynalazki przed eksploatacją sprzeczną z naszą ideą, będziemy zmuszeni zniszczyć je sami.

— Zniszczyć swoje dzieło — jęknął Riano. — Już raz to musiałem uczynić, a teraz znowu? Znowu tyle miesięcy pracy, tyle nocy bezsennych, tyle prób, eksperymentów, tyle wysiłków mózgu, nerwów... i wszystko na nic?... I to wtedy, gdy nareszcie stanąłem o krok od wytyczonego celu?!

— Więc wolisz, aby twój aparat wpadł w ręce różnych militarystów?!

— Nie, Wit, nie, ale czy nie ma innego wyjścia?

— Jest! — odezwał się znów Hans Demmer. — Die Flucht.

— Owszem, lecz jak wyobrażasz sobie ucieczkę wobec tego, co mi przy końcu rozmowy oświadczył mój z piekła rodem braciszek?

Hans na oczekaniu wymienił kilkanaście tricków, mających na celu zmylenie pościgu i jeden z nich zyskał ogólne uznanie.

— Ja mam dwa samochody plus sześć ciężarówek w fabryce — zliczał Witold — plus dwanaście taksówek, jakie bym wynajął na całą noc i...

— I niech sobie szpicle zgadują, którym z tych dwudziestu aut myśmy zwiali. Zanim nazajutrz przesłuchają wszystkich szoferów, zanim dowiedzą się, który wiózł nas, my zmienimy już ze cztery pociągi i będziemy...

— Gdzie, miły Riano, gdzie? — wtrącił Otto. — Plan Hansa jest niezły, lecz ma okropną dziurę w swej fazie końcowej. Bo za granicę przecież nie uciekniemy, musimy na razie zostać w Polsce, musimy znaleźć tu jakiś zapadły kąt, aby nikt... — urwał w pół zdania i wlepił wzrok w portierę, która dziwnie zafalowała.

Zafalowała z winy osy. Krysia zawsze była za pan brat z pszczołami, za to bała się panicznie os. I jak na złość *jeden taki przekłęcie nachalny zwierzak* przyleciał skądś do jej kryjówki, co w końcu zmusiło dziewczynę do samoobronnych odruchów.

— Przecież to trzecie okno także jest zamknięte, prawda?

— Tak, profesorze.

— A pomimo to portiera... hm, czyżby mi się zdawało? Hans zaintrygowany zerwał się z fotela, pobiegł w stronę okna najdalszego od biurka, odsunął portierę i...

— Stało się — mruknęła Krysia z rezygnacją. — Panie, w ręce Twoje oddaję ducha mego, amen.

— Co to znaczy!! — wrzasnął Witold. — Kiedy pani tu weszła?!

— Oj, chyba parę godzin temu — westchnęła.

— Ach tak! Pani nas podsłuchiwała! Z czyjego polecenia?!

Nic nie odrzekła, zresztą pan domu już wołał dalej:

— Czy szpieguje nas pani na rachunek mego brata?!

Krysia zbladła, zachwiała się na nogach, w oczach zawirowało jej mnóstwo szkarłatnych plam. Krzywdzący

zarzut, jaki jej uczyniono zabolął ją tym bardziej, iż jego autorem był Witold Rodawski, w którym zakochała się na zabój. I właśnie on, przy świadkach, nazwał ją szpiegiem!

Całą siłą woli powstrzymując łzy, stała w milczeniu przed tym areopagiem, chociaż czuła, że powinna się bronić, mówić, dopóki nie przekona go o swojej niewinności. Lecz w takim razie trzeba by powiedzieć prawdę, trzeba by przyznać się do swego afektu *względem eks-wujcja*. Ów zaś w końcu przestał grzmieć i znowu ją wyniośle cedził słówka „po lordowsku”, co było dla niej jeszcze gorsze niż jawny gniew:

— Może pani nareszcie zechce mi łaskawie wyjaśnić, dlaczego zaszczyliła mnie dzisiaj wizytą podczas mojej nieobecności...

— Wyjasnię... ale nie panu — wyszeptała.

— Tylko komu?

Komu? Podniósłszy głowę, musnęła wzrokiem twarz Riana, potem Hansa i jego ojca; tego ostatniego po krótkim namyśle wybrała na swego powiernika.

— Panu to ja powiem całą prawdę, jak na świętej spowiedzi, kiedy będziemy sami...

Na ostatnich słowach położyła taki nacisk, że tamci trzej od razu skierowali się ku drzwiom. Na progu jednak Witold zatrzymał się, odwrócił głowę i przypomniał profesorowi po niemiecku:

— Mój brat wygadał się tutaj, że ma wśród nas jakiegoś szpicla, który donosi mu o wszystkim! Któż może nim być, jak nie ona?!

— Dobrze, dobrze, będę o tym pamiętał — odparł Otto Demmer, — tylko nie przeszkadzajcie mi, nie wchodźcie tu, póki was nie przywołam.

Czekali na to przeszło pół godziny, potem ojciec Hansa wyszedł do nich tak pogodnie uśmiechnięty, jak gdyby

zupelnie zapomnial o groznym ultimatum majora Boleslaw Rodawskiego.

— Podejrzenie bylo calkiem niesluszne — oswiadczył. — Ta dziewczyna, och, jak ona lkala, biedactwo... ta dziewczyna jest niewinna, za to ja ręcę!

— A po co tu przyszła?

— Miała interes do twojego sluzącego Jana.

— Jaki interes?

— Może Jan odpowie ci na to pytanie, drogi uczniu, mnie tego uczynić nic wolno. Wymogła na mnie slowo honoru — tu stary profesor usmiechnął się zagadkowo — że tej „przeogromnej” tajemnicy nie zdradzę.

— Niech i tak będzie — wtrącił Riano — skoro jednak ona przyszła tutaj z jakąś sprawą do Jana, to czemu skryła się za portierą, czemu podsłuchiwała cudze rozmowy przez tak długi czas?

— Słuszne pytanie, bardzo słuszne — potakiwał Witold.

— Twój nieoczekiwany powrót do domu zaskoczył ją tam, w gabinecie. Nie chciała dopuścić do tego, byś ją zastał w swoim mieszkaniu, nie miała też czasu na szukanie kryjówki w innym pokoju, więc wsunęła się za portierę przy oknie. W chwilę później nadszedł twój brat i zaraz na wstępie rozmowy tyś go najuroczyściej zapewnił, iż nikogo w mieszkaniu nie ma, prócz was dwóch. Dla ratowania zatem twojego honoru biedna dziewczyna nie mogła potem wyjść ze swojej kryjówki i, rada nie rada, musiała być świadkiem waszej rozmowy aż do końca... Wreszcie przyjechaliśmy tu my trzej, no a resztę znacie.

— Jednakże, kochany profesorze... — zaczął znów Witold, wciąż jeszcze nieprzekonany, lecz w tej samej chwili zaterczał dzwonek telefonu.

Dzwoniła Lan-Cheng.

— Mówię z apteki — zaznaczyła przede wszystkim — i chcę wam zakomunikować coś bardzo poważnego!

— Może więc przejdziemy na angielski? — zaproponował Witold.

— Nie, Wit; sprawa jest tego rodzaju, że bezpieczniej o niej mówić w moim ojczystym języku.

— Co tam znowu? — zaniepokoił się. — Hans! — zawołał. — Chodź tutaj, bo ja po chińsku ani w ząb. Dzwoni nasza Orchidea.

Wszyscy zebrali się przy telefonie, tylko zapłakaną Krysię wyprosił Witold z gabinetu. Hans zaś, wysłuchawszy raportu młodej Chinki, przełożył go przyjaciółom na język niemiecki, zniżając przy tym głos i zasłaniając dłonią tubkę mikrofonu. Ostrożność ta poniekąd była usprawiedliwiona, gdyż sprawa przedstawiała się bardzo poważnie. Mianowicie Kyo znalazł przypadkowo mikrofon świetnie ukryty w hallu ich willi przy ulicy Podchorążych! Nie usunął go dotychczas, ani żadnym okrzykiem nie zdradził swojego odkrycia, tylko powiedział o nim Lan-Cheng, która wobec tego wolała nie telefonować do swoich przyjaciół z domu, ale wybiegła do apteki.

Lan prosi nas o instrukcje, co ma począć z tym fantem.

— Nic — odrzekł pierwszy Riano. — Najlepiej zostawić mikrofon tam, gdzie jest i udawać, iż nadal nic nie wiemy o jego obecności w hallu, inaczej założą nam drugi w laboratorium albo w jadalni.

— Racja. W hallu będziemy rozmawiali tylko o pogodzie, czy o...

— Nie, Hans — wtrącił Witold — tam właśnie trzeba teraz rozmawiać o naszych zamiarach na najbliższą przyszłość, ale o zamiarach nieprawdziwych oczywiście. W ten sposób wprowadzimy w błąd mojego braciszka.

— Sądziysz, że to on kazał zainstalować aparaturę podsłuchową? Mógł to przecież uczynić wywiad bolszewicki lub niemiecki.

— Mógł, jednak ja upieram się przy swoim bracie. Czyż nie przechwalał się tutaj, że ma konfidenta w mojej willi przy Podchorążych?! Że może powtórzyć niejedną z najintymniejszych rozmów, jakie tam prowadzimy?! Że, gdybyśmy planowali ucieczkę, on będzie o tym powiadomiony w ciągu paru minut?! Tak, moi drodzy, ja dam sobie rękę za to uciąć, iż tym zdrajcą, tym szpiegiem mojego brata był znaleziony dziś mikrofon!

— A posądzałeś o to Krysię, czy jak jej tam, tej małej.

Pocciwy Otto Demmer nie dał spokoju Witoldowi, dopóki ten nie przeprosił Krystyny i nie pocałował jej w rękę.

— Teraz drugą łapkę ucałuj na podziękowanie...

— Niby za co mam dziękować? — zachnął się Rodawski, zirytowany tym, iż profesor przedłużał tę scenę i zatrzymywał tu dziewczynę obecnie, kiedy każda chwila była tak bardzo droga.

— Za to musimy dziękować jej wszyscy — odparł stary Demmer z naciskiem — że wskazała mi kryjówkę, w której będziemy zupełnie bezpieczni przed napaściami wywiadów i wszelkich wrogów!

ROZDZIAŁ XVI

Narada w mieszkaniu Witolda przeciągnęła się do wieczora, po czym Riano Baldi popędził do lecznicy. Dowiedziawszy się tu, że pani Aleksandra Thorne powróciła już do domu, odjechał na ulicę Grottgera taksówką i jak bomba wpadł do mieszkania swojej ukochanej.

— Wyzdrowiałaś? Dzięki Bogu! Bardzo by mi to skomplikowało sytuację, gdybyś jeszcze była chora. Bo ani nie przeczuwasz, z jaką propozycją do ciebie dziś przychodzę — mówił w wielkim podnieceniu, przechodząc z przedpokoju do buduaru. — Ale to, co powiem, to ścisła tajemnica!

— W takim razie — rzekła pani Thorne półszepem — muszę pod jakimś pretekstem wysłać na drugi koniec miasta moją służącą.

Uczyniła to zaraz, ku niemałemu zdziwieniu swojego gościa.

— Jak to, Olgo, już nie ufasz Jadzi, którą tak zawsze chwaliłaś?

— Nie ufam, lecz to jeszcze nie wszystko. Bo po tym, co przypadkowo zauważyłam dziś w kuchni, mam prawo uważać Jadzię za nieprzyjaciela, który gorąco życzy mi śmierci!

— Śmierci?! Czy ty nie przesadzasz, kochanie?

— Przesadzam, na pewno przesadzam — odparła szorstko. — Możesz więc być zupełnie spokojny o moje życie, dopóki nie dowiesz się pewnego dnia, że z Wisły wyłowiono podziurawionego kulami... mojego trupa!

— Jezus-Maria, co ty wygadujesz! — Riano wzdrygnął się cały. — Jesteś dzisiaj rozdrażniona, jak nigdy.

— Czy się to dziwi?

— Bynajmniej — powiedział dla świętej zgody — tu zdradziecka służąca, tam twój były mąż, a także ów Wasyl Kondratiew; jesteś rzeczywiście otoczona wrogami i dlatego ja...

— Najgorszego z nich nie znasz — wtrąciła ponuro. — Nie znasz na szczęście! — dodała w duchu. — I nie daj Boże, byś go kiedy spotkał...

Los zrządził inaczej, ale to stało się w kilka godzin później. Na razie zaś Riano namawiał ją gorąco, by nazajutrz uciekła z nim oraz z jego przyjaciółmi. Dokąd? Hm, on sam nie wie, jak się nazywa ta pono urocza miejscowość, ani gdzie leży, lecz czy to nie obojętne? Grunt, że w okolicy jest kościółek, w którym wezmą ślub, że zamieszkają wśród ludzi szczerze im życzliwych, że żadni wrogowie tam nie dotrą, nie będą mącić im szczęścia.

— Na brak komfortu również nie będziesz się skarżyć, sądzę, gdyż on jest świetnym organizatorem; ocli, Wit pamięta o wszystkim i...

— Kto?!

— Wit Rodawski. Nie mówiłem ci o nim nigdy?

— Owszem, mówiłeś nie raz o jakimś Rodawskim, tylko to imię...

— O jakimś? — oburzył się Riano. — Ależ ja nie miałem nigdy lepszego i bardziej szlachetnego przyjaciela niż Wit Rodawski!

— To imię — powtórzyła w zamyśleniu, po tym machnęła ręką — ech, mniejsza z tym... Riano! — rzekła błagalnie. — Czy ty masz w żyłach wodę? A jeśli krew, to dlaczego mnie nie całujesz, nie pieścisz?!

Zaskoczyła go ta wymówka, ten nagły odskok od poważnej rozmowy, która miała zadecydować o losach ich obojga.

— Łakniesz pieśczoł tylko dlatego — domyślił się — że chcesz sobie, jak to mówią, odprężyć nerwy.

— Tak — przyznała.

— Chcesz zapomnieć o wypadkach ostatnich dni.

— Tak, tak, tak!

Nie powiedziała jednak tego, iż przede wszystkim chce w sobie zagłuszyć wspomnienia z okresu pierwszej swojej miłości, której przedmiotem był ongiś w Berlinie młody student, cudzoziemiec imieniem *Wił*. I, wbrew najszczerzszym chęciom, o nim wyłącznie myślała, gdy Riano Baldi, dziś jakoś wolny od swoich zwykłych skrupułów, spełniał jej wszystkie życzenia.

— Dobrze ci było, małeńka?

Podniosła powieki, szczelnie zaciśnięte dotychczas, spojrzała na pytającego z urazą, że nie pozwolił jej łudzić się dalej i ukarała go za to dosyć dwuznacznym komplementem:

— Dobrze? Och, celująco zdałeś egzamin na przyszłego męża!

— Celująco — powtórzył rad z pochwały. — Byłem tego pewny i wierz mi, że zawsze będę wzorowym małżonkiem pod każdym względem. Ale na razie, ponieważ nie ustaliliśmy jeszcze wszystkich szczegółów naszej jutrzejszej eskapady, porozmawiajmy o tym.

— Rozmawiajmy — zgodziła się, ziewnąwszy dyskretnie.

I niebawem zasnęła. Riano miał niekłamaną ochotę pójść w jej ślady, lecz błogą ociężałość przewyciężyła myśl, że w willi przy Podchorążych czeka go dziś moc pracy, w związku z pospieszną likwidacją tamtejszego laboratorium i planowaną na jutro ucieczką z Warszawy.

— **Przyrzekłem wrócić jak najwcześniej, trzeba więc słowa dotrzymać, trzeba zrewanżować się im za to, że pozwolili mi zabrać tam Olgę.**

Ubierając się pospiesznie, powtarzał sobie to w kółko dla odpędzenia pokusy napastującej go zawzięcie, ilekroć spojrzął na pogrążoną we śnie kochankę, pardon! narzeczoną, gdyż wolał to drugie określenie. Wyślizgnąwszy się do przedpokoju, przez roztargnienie zabrał ze sobą klucz od drzwi do klatki schodowej, co zauważył dopiero wówczas, kiedy z ulicy Grottgera skręcał w Belwederską.

— **Odnieść go teraz, czy jutro? — zastanawiał się przez chwilę.**

Że wybrał to pierwsze, było w dużej mierze zasługą jakiegoś urwisa, który w czyimś ogrodzie nakradł róż i dążył z nimi do centrum miasta, by je sprzedawać przed bramami dancingów.

— **Dziedzicuuu — zaczepił Włocha, dumającego pod uliczną latarnią nad owym kluczem — kup dziedzic ode mnie choć ze dwie róże; herbaciane są pod gwarancją!**

— **Po co mi to...**

— **Jak to, po co! Nie ma dziedzic jakiej narzeczonej albo...**

— **Właśnie, że mam! — oświadczył Riano z radosną dumą. — Ile chcesz za wszystkie te kwiaty?**

Przeplacił je grubo, lecz cóż to znaczyło wobec radości, z jaką wracał teraz do mieszkania Aleksandry Thorne. Na okrywającej ją kołdrze zamierzał rozsypać kupione róże i pocałunkiem obudzić śpiącą, by zobaczyć jej miłe zdziwienie na widok tych kwiatów.

— **Potem zaraz odejdę — ślubował sobie — chyba, że ona każe mi pozostać jakieś pół godzinki... Ciekawym, czy jeszcze nie zmieniła pozy...**

Oczyrna duszy widział ukochaną wciąż w tej pozycji, w jakiej pozostawił ją, wychodząc z sypialni dziesięć czy piętnaście minut temu. Pani Oleńka leżała wtedy na wznak, z dłońmi splecionymi na karczku, z lekko rozchyłonymi ustami, które jak gdyby trochę nabrzmiały od jego pocałunków. Nigdy też dotychczas nie wydawała mu się tak nieziemsko piękna, jak właśnie dzisiaj wieczorem po *fait accompli*¹, nigdy nie był tak stuprocentowo pewny jej miłości, jak teraz. Przecież oddała mu się, przyrzekła uciec z nim jutro, poślubić go później i pozostać mu wierną towarzyszką życia na zawsze.

— Moja jest, wyłącznie moja! — powtarzał, rozkoszując się dźwiękiem tych słów, ale więcej ich treścią.

By przedwcześnie nie zbudzić śpiącej, odemknął drzwi z klatki schodowej cichuteńko, powoli przełożył klucz do wewnętrznej dziurki zamka, na palcach minął przedpokój, z podobną ostrożnością otworzył drzwi do sypialni, wszedł, odsunął portierę, spojrzał w stronę łóżka i... przetarł sobie oczy wolną ręką. Był gotów posądzić się o to, że przez zwykłe swe roztargnienie wszedł do innego mieszkania, bowiem tu na łóżku leżał w ubraniu jakiś mężczyzna! Rosły ten drab palił cygaro, puszczał w stronę sufitu misterne kółeczka dymu, a zagapiony na nie, czy zamyślony głęboko, nie zauważył dotąd obecności Riana, którego za to spostrzegł ktoś inny i...

— Uciekaj, nieszczęsny! — zabrzmiał krzyk Aleksandry Thorne.

Tak, to jej głos, to ona stała tam, w cieniu, wciśnięta w róg pokoju, podtrzymując dłońmi podarty na strzępy negliż. Riano w kilku susach znalazł się przy niej, zasłonił ją swoją osobą i zwrócił się frontem w stronę intruza, którego twarz wydała mu się teraz dobrze znajoma. Widział już gdzieś,

widział na pewno tę drapieżną gębę z wielkim, krogulczym nosem. Ach, prawda, tak wyglądał opryszek, który niegdyś w nocy przy ulicy Podchorążych napadł na Aleksandrę Thorne. I ten bandyta prześladowuje ją nadal, miał czelność wtargnąć do jej mieszkania?!

— Olgo, ja go tu przypilnuję — rzeki Riano po francusku — a ty natychmiast przez telefon wezwij policję.

— Nie mam nic przeciwko temu — przemówił w tym samym języku *zainteresowany* — bo ja w każdym razie zdążę drapnąć. Ale szanowniutki pan wsiąknie paskudnie za nielegalny pobyt w Polsce, po czym odjedzie do Włoch w kajdaneczkach, aby z kolei tam odpokutować za...

— Co będzie ze mną, to moja rzecz — wrzasnął Riano Baldi już po polsku. — Troszcz się o własną skórę, ty bandyto!

— Tylko bez tego rodzaju komplementów, albo dam po buzi tak, że mnóstwo kawy poleje się z rozbitego noska!

Chociaż stale używał zdrobnień, ton, jakim wypowiedział tę pogroźkę i pełne wściekłości spojrzenia zmusiły Riana do zaniechania dalszych wyzwisk; nie miało żadnego sensu narażać się na chamską bijatykę z silnym drabem, który mógł mieć w kieszeni kastet czy podobny „instrumencik”.

— Poznajesz go, Olgo? Czy to na pewno on napadł cię wówczas?

— Ja, panie Baldi — odparł szyderczo tamten, bijąc się w piersi, aż dudniło. — Przyznaję się sam, że to ja, Abdul Bagal. Lecz był to napadzik fikcyjny, przez nas oboje dokładnie pierw zaplanowany! A zmierzał do tego, by pewien naiwny facecik wpadł w sidelka tej oto zawodowej uwodzicielki i wyśpiewał w jej ramionach całą prawdę o wynalazeczkach, jakich dokonał z niejakimi Demmerami. Potem ja odniosłem tę porwaną torebkę i pierścioneczek,

jakie niby to dziewczynce porwałem, ona zaś, tarzając się ze śmiechu, opowiadała mi, jakim fajtłapą jest upolowany facecik, czyli pan, który...

— Łżesz! — krzyknęła pani Thorne; już od chwili chciała mu przerwać, ale głos uwiązał jej w gardle. — Riano, to wszystko łgarstwo!

— Czy także to, że jesteś moją kochanką? — spytał flegmatycznie dryblas leżący w jej łóżku. — Ano, to niech twoja pokojóweczka poświadczy, ile razy nocowałem tu z tobą. Wołaj Jadzię... Lecz przedtem podsuń jaki foteliczek miłemu makaroniarzowi, albowiem nóżki mu zwiotczały.

Istotnie Riano Baldi bliski był omdlenia. Za wszelką cenę pragnął uwierzyć w niewinność ukochanej, ale nazbyt wiele przemawiało za tym, że w strasznym oskarżeniu jest więcej prawdy niż fantazji czy przesady. Mniejsza o pierścionek, o torebkę, które na upartego mógł ktoś uczciwy znaleźć i odnieść, lecz skąd na przykład ten człowiek wiedział aż tyle o Demmerach, o wynalazkach, albo o nim?! Lub dlaczego wpuszczono go do tego mieszkania, jakim prawem wylegiwał się na tym łóżku, jak śmiał powoływać się na świadectwo służącej, iż jest kochankiem jej pani?! Więc chyba jest nim naprawdę?

To ostatnie przypuszczenie było, rozumie się, najboleśniejsze dla Riana, wierzącego święcie, że najcnotliwszą kobietą pod słońcem jest jego ukochana. To było ciosem dlań tym straszliwszym, iż właśnie od dzisiaj uważał się już formalnie za jej przyszłego męża i szedł tutaj pijany szczęściem. A teraz gmach jego szczęścia zadrzał w posadach i lada chwila mógł rozsypać się w gruzy; że jeszcze nie runął, było zasługą słów, które Aleksandra Thorne szeptała z gorączkowym pośpiechem:

— Riano, tylko ciebie kocham, klnę się na dusze

rodziców! Ten człowiek, to największy mój wróg, to z mora mojego życia! Gdy odejdzie, wyjaśnię ci wszystko, wtedy zrozumiesz, wtedy ulitujesz się nade mną...

Abdul Bagal dźwignął się z leżącej pozycji, usiadł, parsknął krótkim, szyderczym śmiechem.

— Oleńka usiłuje zdementować moje twierdzonek, że od wielu lat jestem jej kochankiem, co? — rzekł domyślnie, zwracając się do Riana. — Czy pamięta szanowniutki pan swą trzecią wizytkę w tym domu? Spożywaliście tu wtedy en deux² pyszną kolacyjkę, złożoną z następujących dań...

Wyliczał je sumiennie, dodając fachowe komentarze, jakich nie powstydzilby się pierwszorzędnny kucharz. Czy chciał przez to przekonać Włocha, że owego wieczoru był tu również, nie wiadomo, lecz znalazł w nim cierpliwego słuchacza. Za to pani Aleksandra zachowywała się teraz inaczej niż dotychczas; nie przerywała już oskarżycielowi, nie szeptała gorących zaklęć do ucha wynalazcy, tylko szybkim krokiem przemierzała pokój tam i na powrót, ściskając sobie głowę oburącz. Abdul Bagal początkowo nie spuszczał jej z oka, lękając się snadź jakiegoś odruchu rozpacz, ale wnet uznał Włocha za groźniejszego przeciwnika i patrzył wyłącznie na niego.

— Kolacyjkę miał uwieńczyć pikantny deser w sypialni — ciągnął dalej, mrużąc oko złośliwie. — Szanowniutki pan stchórzył przed tym, uciekł, a deserek zafasowałem ja.

Riano uczuł bolesny skurcz serca. Pamiętał doskonale tę wizytę, pamiętał wszystkie szczegóły swego spotkania z ukochaną nazajutrz; wyglądała jak po bezsennej nocy, była zdenerwowana do maksimum i robiła mu gorzkie wymówki, że wczoraj odszedł od niej tak wcześnie. Kiedy tłumaczył się, że ma swoje zasady, wybuchnęła: *Ja także, ale w pewnych sytuacjach żadne zasady nie uchronią kobiety przed*

upadkiem". Zaniepokoiły go te słowa, lecz dopiero teraz pojął ich przekłęty sens. Abdul zaś, zmierzający dziś konsekwentnie do tego, by rozdzielić tych dwoje na zawsze, przechwalał się znowu:

— I to wszystko, coś brateńku, mówił jej o swoich druhach, o wynalazkach, ona tutaj, na tym łóżeczku powtórzyła mi najdokładn...

— Ręce do góry!!! — zabrzmiał ostry krzyk pani Oleńki.

Wyjaśniło się nareszcie, po co tak krążyła po pokoju; chciała po prostu dotrzeć bez przeszkody do swojego rewolweru, który leżał w szafie. Wyjąwszy stamtąd błyskawicznie tę broń, skierowała ją w stronę Abdula Bagala, zmusiła go do podniesienia rąk w górę.

— Teraz będziesz odpowiadał zwięźle na moje pytania. Jeżeli zeznasz prawdę, pozwolę ci odejść, a wymiar kary za twoje łajdactwa pozostawię innym. Gdybyś jednak próbował dalej łąć, jak dotychczas, nie wyjdiesz stąd żywy, klnę się na wszystko, co mi święte i na mą nienawiść ku tobie!

— Uffff — odsapnął z ulgą Bagal. — Pytaj o co chcesz, byle to nie dotyczyło tajemnic naszego wywiadu.

— Nazwałeś mnie tu zawodową uwodzicielką. Powiedz teraz, ilu miałam w życiu kochanków?

— Co najmniej trzech. Pierwszym był jakiś student w Berlinie...

— Tak, mój narzeczony. Drugim?

— Nie chwałąc się, ja.

— Czy oddałam ci się kiedykolwiek dobrowolnie?

— Prawdę mówiąc, zawsze brałem cię siłą, lecz ja to bardzo lubię.

— Patrzy ci z oczu to bestialstwo... Kto był trzeci?

— Gustaw Thorne.

— Mój były mąż. Powiedz teraz, dlaczego musiałam go

poślubić?

— Żeby zyskać polskie obywatelstwo, gdyż Polaczki chciały cię stąd wylać. A chciały wylać, gdyż przeczuwały, kim jesteś, tylko żadnych dowodzików nie miały, inaczej dawno byś zadyndała na szubienicze.

— Nie pytam o to. Masz odpowiedzieć jasno, kto mnie zmusił do nagłego wyjazdu z Berlina, do szpiegowskiej roboty, do poślubienia Gustawa Thornego, do ucieczki od niego, do zawarcia znajomości z tu obecnym panem Baldi.

— Ano ja, to jest właściwie nasz wywiad.

— A dlaczego spełniałam posłusznie wszystkie wasze rozkazy?

— Bo najmniejsze nieposłuszeństwo przypłaciłby śmiercią twój braciszek, który siedzi u nas w więzieniu... Pamiętaj o tym, Oleńko! — dodał tonem życzliwej przestrogi. — Wiem, że zakochałaś się w tym małym, czarnym karaluchu — tu pełne wzgardy spojrzenie posłał Włochowi — że miałabyś ochotę drapnąć z nim w świat przede mną, lecz pomnij, iż równałoby się to dezercji z naszych szeregów, i za tę dezercję twój biedny braciszek zginąłby w straszliwych mękach!

— Słyszysz, Riano? Tym szantażowali mnie zawsze, ale dzisiaj nie wskórają już nic. — Znowu zwróciła się do Abdula. — Bowiem dowiedziałam się w tych dniach, że mój nieszczęsny brat od trzech lat nie żyje! Nabawiwszy się tyfusu, zmarł w szpitalu więziennym, coś ty, arcyłotrze, taił dotąd przede mną i nadal taić zamierzał dla własnej korzyści!

— Ależ... ależ... — Bagal był szalenie zaskoczony tym, że Aleksandra już wie o śmierci brata, że przez to pękła moralna smycz, na której wodził tę kobietę całymi latami. — Któż ci tę bajeczkę opowiedział, Oleńko?

— Spotkany tu, na dancingu, towarzysz niedoli mego

brata... Lecz ja byłam tak złośliwa, że w liście, jaki dziś wysłałam do twoich szefów, napisałam dosłownie: *Proszę nie winić Abdula Bagala, że zdradził mi tajemnicę śmierci bra...*

— Zwariowałaś?! — przerwał jej, mocno zaniepokojony.

— Och, to tylko mały fragmencik długiego listu, z którego oni muszą wyciągnąć wniosek, że pracowałeś na dwa fronty, zdradzając częściej swoich. Bardzo wątpię, byś po tym zdołał odzyskać ich zaufanie, bo załączyłam odpis pewnych notatek, jakie wyciągnęłam ci z kieszeni, gdyś tu spał... po raz ostatni w życiu... Wysłałam dziś również drugi elaborat, dla odmiany do polskiego kontrwywiadu, w którym wymieniałam wszystkie twoje kryjówki, pseudonimy, konta bankowe, co prawda zwykle puste, oraz...

— Łżesz, źmijo przekłeta!

— Jutro rano adresaci otrzymają te listy, a w pół godziny później przekonasz się na własnej skórze, czy zełgałam. Nie, Abdulu, to święta prawda. Przecież ja na tę godzinę swojej zemsty czekałam tyle, tyle lat! I doczekałam się wreszcie... A teraz wynoś się stąd, tylko ręk nie opuszczaj, gdyż musiałabym strzelić dla własnego bezpieczeństwa.

— Spotkamy się jeszcze! — warknął, powstając.

Puściła mimo uszu tę pogroźkę. Z bronią gotową do strzału eskortowała go aż do drzwi od klatki schodowej, zamknęła je dobrze, wróciła do sypialni, rzuciła rewolwer na łóżko i trochę niepewnie podeszła do Riana.

— Znasz już obecnie całą moją przeszłość — rzekła. — Czy nie zbrukala ci ona twojego... ideału? A jeśli tak, czy nie lepiej będzie dla ciebie, jeśli dzisiaj rozstaniemy się na zawsze?

Nic na to nie odrzekł i apatycznie spoglądał na róże, które niósł tu dla ukochanej z taką radością; potem wypadły mu z dłoni, a teraz leżały rozsypane, podeptane przez Abdula

Bagala.

— Jak moje marzenia — pomyślał z goryczą.

¹ **fait accompli (fr.) – fakt dokonany.**

² **en deux (fr.) – we dwoje.**

ROZDZIAŁ XVII

Major Bolesław Rodawski, wyrwany ze snu, przede wszystkim zerknął na zegarek, leżący na stoliczku pomiędzy łózkami obojga małżonków.

— Twój zegar w kuchni znowu się spieszy — rzekł do kucharki gniewnie, lecz cichuteńko, by nie zbudzić żony lub synka.

— Możliwe, panie majorze — przyznała — ale...

— U mnie jest za dziesięć siódma, czyli należy mi się jeszcze pełnych dziesięć minut snu.

— Tak, ale...

— Nie ma żadnych *ale* — przerwał jej znowu. — Nie dość, że człek haruje jak koń, że sypia zaledwie po sześć godzin na dobę, jeszcze mu z tego urywają dziesięć minut!... Proszę tu przyjść ponownie punkt siódma.

— Jednakże, panie majorze, ten...

— Co to za niesubordynacja! Wstecz zwrot! Kierunek: kuchnia! Biegiem marrrrsz!

Pracownica domowa wyszła z sypialni jak zmyta, lecz major nie zdołał już zasnąć ponownie i, przebiegając w myśli różne czynności służbowe wczorajszego dnia, zatrzymał się dłużej przy ostatnim raporcie agenta *E-44*. Agent ten, będący głównym „aniołem stróżem” przyjaciół Witolda Rodawskiego, słyszał każde słowo ich wczorajszej rozmowy dzięki mikrofonowi, jaki zainstalował w hallu ich willi.

— Minorowy nastrój panuje tam obecnie — mruknął

major ze zrozumiałą satysfakcją i uśmiechnął się zwycięsko.

Bowiem z owej rozmowy, stenograficznie zapisanej w całej rozciągłości, wynikało niezbicie, że śledzeni mieszkańcy willi przy Podchorążych są bezgranicznie przygnębieni, że nie marzą o jakiejś ucieczce, że byłoby im żal zniszczyć modele swoich wynalazków i że zgodzą się przyjąć warunki majora Bolesława Rodawskiego; chcą tylko w przyszłej umowie z nim zrobić zastrzeżenie, by rezultaty ich pracy nie służyły nigdy wojnie zaczepnej, ale wyłącznie obronie w razie obcego najazdu.

— Na to zgodzić się można — uznał major bez namysłu.
— Polska sąsiadom nic zabrać nie pragnie, a kolonie musi kiedyś dostać bez walki... W każdym razie szybko pacyfistom rura zmiękła, chociaż mój braciszek tak się odgrażał. Wyobrażam sobie jego minę, kiedy przyjdę po odpowiedź na moje ultimatum, którego termin upływa w niedzielę o dwunast... Tam, do diabła! Przecież to dzisiaj! I ten uprzykrzony garkotłuk ośmielił się zbudzić mnie tak wcześnie w niedzielę?! Nnnno, już ja ją przeczeszę pod włos!

Nie doszło do tego, gdyż kucharka, wchodząc powtórnie do sypialni swoich chlebobawców, z daleka już wymachiwała jakąś kopertą. Wewnątrz znajdowała się ćwiartka papieru z krótką notatką tej treści:

Przychodzę złożyć bardzo pilny meldunek...

E-44

— Ten dziobaty czeka tu już prawie całą godzinę.
— Teraz mi dopiero mówisz?! — huknął Bolesław Rodawski, wyskakując z łóżka jak podrzucony potężną

sprężyną.

— **Pan major nie dopuścił mnie do głosu, chociaż...**

Nie słuchał dalej. Narzuciwszy na nocną piżamę szlafrok, wybiegł do przedpokoju i pytającym spojrzeniem obrzucił czekającego tu mężczyznę, który miał minę skruszonego winowajcy.

— **Złe nowiny?**

— **Tttak, panie majorze.**

— **Riano Baldi uciekł?!**

— **Nnnie wiem, czy uciekł z Warszawy, lecz...**

— **Jak pan mógł do tego dopuścić, ty niedołęgo!**

Na ospowatej twarzy agenta pojawiły się rumieńce.

— **Jeśli pan major łaskawie zechce mnie wysłuchać, to przyzna, że...**

— **Proszę za mną — wtrącił Bolesław Rodawski, wchodząc pierwszy do swojego gabinetu. — Teraz opowiadaj pan za porządkiem.**

Według obszernej relacji E-44 wypadki ubiegłej nocy miały przebieg następujący: O godzinie dwudziestej pierwszej zajechały przed willę przy Podchorążych dwa samochody, jeden ciężarowy i jedna taksówka. Obydwa auta wpuścił Chińczyk Kyo na dziedziniec i stał przed przymkniętą bramą, co śledzenie ich utrudniało. Pięć minut później te auta wyjechały na ulicę pędem, a Kyo zawołał głośno: *Glückliche Reise, Herr Baldi!*^A Zelektryzowany tym, agent E-44 wysłał za owymi samochodami swą zieloną limuzynkę z dwoma ludźmi.

— **Pozostał mi więc już tylko jeden pomocnik...**

— **Mógł pan wezwać dalszych dwóch z naszych „koszar”.**

— **Tak też, panie majorze, zrobiłem... później, gdyż wtedy czasu zabrakło. Zaledwie bowiem tamci zniknęli za**

zakrętem, z drugiej strony nadjechała taka sama karawana: druga ciężarówka i druga taksówka.

Nastąpiło dokładne powtórzenie tamtej sceny, tylko za drugim razem Kyo życzył szczęśliwej podróży profesorowi Demmerowi. Zaskoczony *E-44* wysłał za tymi autami swego pomocnika, który pojechał za nimi na motocyklu, sam zaś pobiegł do telefonu, by przywołać posiłki. Kiedy kilka minut później wracał na opuszczony posterunek, z dziedzińca willi wyjeżdżała już trzecia „parka” samochodów, a Kyo głośno zęgnął Hansa Demmera.

— Na najbliższym postoju czekała tylko jedna taksówka. Wskoczyłem do niej i popędziłem za tymi autami...

— Na co tamci właśnie czekali, jak przypuszczam — dorzucił Bolesław Rodawski wcale domyślnie. — Trzy partie samochodów wysłali pusto, dla wprowadzenia was w błąd, a Riano Baldi uciekł czwartą taksówką... Co dalej?

Śledzone przez *E-44* samochody, przeciąwszy miasto, pomknęły w kierunku północno-wschodnim, jak gdyby zdążyły do Wyszkowa, lecz zanim dotarły do Bugu, zawróciły. Agent polecił swojemu taksjarszowi stanąć, zaświecić im „w ślepią” i przekonał się, ku swemu rozczarowaniu, że tamta taksówka była pusta.

— Nie mówiłem?! — mruknął major, bębniąc palcami po biurku.

W powrotnej drodze *E-44* stracił z oczu śledzone auta, gdyż zabrakło mu benzyny. Uregulował należność taksjarsza, po czym szedł pieszo sześć albo siedem kilometrów, zanim wreszcie spotkał wiozącego jarzyny kmiotka, z którym przyjechał do Warszawy. Najpierw oczywiście pospieszył na ulicę Podchorążych, gdzie zastał dwóch nowych pomocników, których przed tym wezwał telefonicznie. Powiedzieli mu, że w obserwowanej willi panował ożywiony

ruch aż do północy, że co kwadrans przyjeżdżały jakieś auta i odjeżdżały z dziedzińca w podejrzanym pośpiechu. Numery ich zanotowali skrzętnie, lecz kto wie, czy wszystkie, bowiem on odjechał stamtąd o dwudziestej pierwszej minut trzydzieści, oni zaś objęli posterunek dwadzieścia minut później. W ciągu tych dwudziestu minut mogło wydarzyć się wiele.

Nad ranem wróciła zielona limuzynka. Ci dwaj, którzy nią jechali, tropiąc pierwsze dwa samochody, byli aż w Radomiu; tam dopiero przekonali się, że wywiedziono ich w pole, bo w taksówce nikt nie siedział, a ciężarowe auto także miało pustą skrzynię. Motocyklista zaś także całkiem niepotrzebnie ścigał „swoją” parę próżnych wehikułów do Spały.

Zirytowany tym *E-44* zdecydował się na własne ryzyko wtargnąć do willi, by naocznie stwierdzić, czy Riano Baldi jest, czy uciekł. Był w jego pokoju, w laboratorium, w jadalni, ach, w ogóle wszędzie, lecz nie zastał tam... nikogo.

— Nikogo?! — wrzasnął major Rodawski. — Uciekli więc wszyscy?!

— Może... może tylko przeprowadzili się na... Szucha.

Bolesław Rodawski zagryzł wargi, zrozumiał aluzję do Witolda.

— Czy widział pan wczoraj przy Podchorążych... mojego brata?

— Nie, panie majorze, lecz były tam jego obydwie limuzyny. Również wszystkie ciężarowe samochody, za którymi uganiał się niepotrzebnie, są z firmy *Chemipol*.

— Czy ma mi pan jeszcze coś do zakomunikowania?

— Chyba to, panie majorze, iż w hallu willi znalazłem...

— No? No? Co pan znalazł?!

— Kartkę, na której nagryzmołono coś w nieznanym mi

języku. Musiała któremuś wypaść z kieszeni i będzie dla nas wskazówką, dokąd oni...

— Dawaj ją pan — wtrącił zniecierpliwiony zwierzchnik.

Agent E-44 znalazł ją wreszcie w portfelu, gdzie spoczywała w specjalnej przezroczystej kopercie, nie zacierającej żadnego odcisku palców. Z dumą wręczył swoją zdobycz szefowi, którego pierw uraczył samymi złymi nowinami, a którego teraz spodziewał się udobruchać. Bolesław Rodawski odgadł te intencje, uśmiechnął się pobłaźliwie, lecz uśmiech zastygł mu na ustach, gdy przeczytał pożegnalny liścik Hansa Demmera, bowiem jego to było konceptem.

— Tu jest po angielsku napisane dosłownie tak:

Bardzo dziękujemy idiotcie, który zainstalował u nas mikrofon i podsłuchiwał nasze rozmowy. Dzięki temu zdołaliśmy uspić waszą czujność. Piszcie do nas na Honolulu.

W miarę, jak major tłumaczył tekst na język polski, niefortunnemu agentowi wydłużała się twarz. Zaiste nie przypuszczał, iż taka jest treść tego listu i w duchu wściekał się na siebie, że oddał go zwierzchnikowi, ów zaś nie omieszkał skorzystać ze sposobności:

— Skoro pan uważa, że ta notatka daje nam ważne wskazówki, to dołączymy ją do akt sprawy — rzekł zjadliwie. — Proszę teraz poczekać kilka minut w przedpokoju, muszę się przebrać i...

Tym / była dramatyczna rozmowa przez telefon z bratem, który na wszelkie ostre wymówki nie reagował zupełnie, lecz oburzył się, kiedy rozsierzony major sięgnął do repertuaru pogróżek.

— Nic mi nic zrobicie — dodał tonem znowu spokojnym — i nie może być mowy o zastosowaniu tego artykułu kodeksu karnego, który zwraca się przeciwko współnikom ułatwiającym ucieczkę przestępcy, gdyż ja o rzekomych zbrodniach Riana Baldi nic nie wiedziałem.

— Jak to nie?! — odparł major. — Onegdaj sam ci mówiłem, iż...

— Czy masz, Bolku, na to świadków?! Byliśmy en deux, a ja się wyprę!

Krewkiego oficera „zaszpuntowało” święte oburzenie tak, że przez dłuższą chwilę tylko sapał jak miech kowalski. Potem zaś, gdy w słuchawce zachrobotał mu ironiczny śmiech Witolda, stracił panowanie nad sobą.

— Wdałeś się w swojego papę, który był takim samym krętaczem, jak ty! — ryknął. — Jeszcze uwiedź jakiemu przyjacielowi żonę, miej z nią dziecko, które tamten, oszukany będzie uważał za własne, a wtedy będziesz już zupełnie wiernym portretem mojego ojczyma!

— Bolesławie, co to znaczy?!

— To znaczy, że mieliśmy wspólną matkę, lecz różnych ojców, rozumiesz?! Dlatego ja jeden jestem z krwi i kości Rodawski, Polak, patriota zawsze gotowy zginąć w obronie ojczyzny! I dlatego ty, syn „naszego” ojczyma, pół-Moskala, geszefciarza, który stale zachwycał się tylko tym, co zagraniczne, choć milionów dorobił się tutaj, dlatego ty jesteś takim samym jak on kosmopolitą. Każdy z nas odziedziczył cechy charakteru swojego ojca i teraz nareszcie pojdziesz, czemu nasze upodobania tak się różniły od najmłodszych lat. A także to zrozumiesz, czemu „nasz” ojczym ciebie zawsze wołał i tobie fabrykę zapisał... To już wszystko, co miałem ci powiedzieć. O losie zaś swoich przyjaciół cudzoziemców dowiesz się z gazet, kiedy ich moi

ludzie wytropią!

Ukończywszy tak swój długi monolog, Bolesław Rodawski cisnął słuchawkę na widelki aparatu telefonicznego, odsapnął, jak gdyby mu bardzo ulżyło, lecz bezpośrednio potem oburącz złapał się za głowę.

— Boże, co ja zrobiłem! — zreflektował się poniewczasie. — Na to więc strzegłem tej smutnej tajemnicy rodzinnej przez dobrych piętnaście lat, by dzisiaj wszystko wypaplać jak stara plotkarka?!

Z całej siły palnął się dłonią w usta, potem długo krążył po gabinecie, czyniąc sobie w duchu wyrzuty z powodu swojego postępuku, lecz w końcu przyszedł mu na myśl agent czekający w przedpokoju. Wezwał go tutaj ponownie.

— Przypuszczam, że Aleksandra Thorne wie, gdzie ukrył się Riano Baldi i że pójdzie odwiedzić kochanka. Niechże zatem nasza *E-50* chodzi teraz za nią krok w krok — powiedział. — Czy może pan dyskretnie zakomunikować jej tę instrukcję jeszcze dzisiaj?

— Nawet zaraz, panie majorze — odparł z zapalem agent, uszczęśliwiony, że zwierzchnik spogląda nań nieco łaskawiej, niż przed tym. — Za dziesięć minut tam będę, bo przebiorę się w limuzynie.

— Za listonosza?

— Nie, za strażaka. Jestem niby fatygantem naszej *E-50*, która znów odstawia, przepraszam, odgrywa pokojówkę pani Thorne.

— To wiem. Proszę więc udać się do niej i potem wrócić do mnie natychmiast.

Lecz agent *E-44* wolał zaraz nie wracać, wolał pierw telefonicznie złożyć meldunek o ich nowym niepowodzeniu. Bowiem Aleksandra Thorne uciekła wraz z tamtymi, z Rianem i Demmerami. Przyjechali po nią wczoraj o dziesiątej

wieczór, związali rzekomą pokojówkę Jadzię, zakneblowali jej usta, zamknęli ją w łazience, gdzie *E-44* właśnie przed chwilą znalazł swoją koleżankę półprzytomną. Tym samym...

— Tym samym instrukcja pana majora stała się poniekąd nieaktualna i prosimy o inną — brzmiało mimo woli trochę komicznie zakończenie tego meldunku przyjętego przez zwierzchnika złowrogim milczeniem. Aż wreszcie:

— Za piętnaście minut oczekuję was u siebie, zrozumiano?!

— Rorozkaz, pppanie majorze.

— Aha, tremolando² — mruknął Bolesław Rodawski, odłożywszy słuchawkę na widełki. — Przypuszczają, że powiem im coś do słuchu i nie mylą się bynajmniej!... Ale co mi to pomoże?

Tak, nie miało sensu reprimendą ogłupiać i przygnębiać swoich pomocników, natomiast należało zastanowić się gruntownie nad tym, jakie miejsce pobytu najlepiej odpowiadało zbiegom. Warszawa chyba nie, tu musieliby się czuć bardzo niepewnie. Za granicę uciec nie mogą, bo przed tym major zabezpieczył się na wszelki wypadek zaraz po swej piątkowej rozmowie z bratem.

— Jakbym przeczuł; ha, moja intuicja jest niezawodna!
— pochlebił sobie raczej niesłusznie.

Za to słusznie uznał po namyśle, że stosunkowo najprostszym sposobem odszukania tropu zbiegów będzie dyskretna inwigilacja Witolda. Witold prędzej, czy później zechce odwiedzić swoich przyjaciół albo listy od nich będzie odbierał w domu lub w fabryce czy na poste restante. Trzeba więc śledzić każdy jego krok, badać jego prywatną korespondencję i tą drogą ustalić, gdzie przebywają Demmerowie, Riano Baldi oraz dwoje Chińczyków.

— To nie ulega wątpliwości — myślał głośno major — że

jedynym tu człowiekiem, który zna ich nowy adres, jest Witold.

A jednak był jeszcze ktoś, kto, dzięki przypadkowi, miał poznać tę tajemnicę. Ktoś bardzo niepowołany!

¹ ***Glückliche Reise...*** (niem.) – **Szczęśliwej podróży, panie Baldi!**

² **tremolando (wł.) – z drżeniem.**

ROZDZIAŁ XVIII

Po piątkowej awanturze w mieszkaniu Aleksandry Thorne, wyrzucony za drzwi Abdul Bagal najpierw przechadzał się długo po ulicy Grottgera, pragnąc pogadać z rywalem w cztery oczy. Czekał jednak na próżno przez półtorej godziny, ponieważ zaś równocześnie „diabli przynieśli” tam nader podejrzliwego policjanta, uznał za stosowne pójść dalej.

Idąc bez celu, starał się ogarnąć myślą wszelkie następstwa dzisiejszej przykrej dlań niespodzianki, jaką było to, że pani Aleksandra dowiedziała się skądś o śmierci brata, który po bardzo wczesnej śmierci rodziców zastępował jej ich i którego kochała miłością zdolną do największych poświęceń. Dlatego wyzyskiwano to bez skrupułów, dlatego zatajono przed nią wieść o jego zgonie, lecz obecnie wiedziała już całą prawdę.

— Czyli dla naszego wywiadu jest bezpowrotnie stracona — mruknął.

To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Pani Oleńka już choćby dlatego żywiła nieprzezwykły wstręt do szpiegowskiego rzemiosła, że ją do niego przez tyle lat zmuszano, że to jemu zawdzięczała zerwanie z pierwszym narzeczoną i swoje niefortunne małżeństwo, i ciągłe igranie ze śmiercią, i brutalne traktowanie przez bezpośredniego zwierzchnika.

— Żadne nagrody, ani żadne groźby nie skłonią jej teraz

do dalszej współpracy — przewidywał Abdul Bagal.

Ale to martwiło go znacznie mniej niż perspektywa osobistej rozłąki z Aleksandrą Thorne. Chociaż nienawidziła go śmiertelnie, o czym dobrze wiedział, choć za każdym razem musiał zdobywać ją siłą, był na swój sposób szczerze przywiązany do tej kochanki.

— Drugiej takiej już mieć nie będę — powtarzał przy każdym kieliszku, „zalewając robaka” w jakiejś zakazanej knajpie na Czerniakowie.

Kiedy tam wszedł ani z kim pił, nie potrafił sobie później przypomnieć, za to bez trudności dało się ustalić porę, o jakiej stamtąd wypchnięto go na ulicę; było to nazajutrz, czyli w sobotę, o czwartej po południu. Zataczając się, dotarł do przystanku tramwajowego, gdzie stwierdził, iż portmonetka ulotniła mu się z kieszeni, podobnie jak papierośnica i zegarek. Nie po raz pierwszy urządzono go tak po pijanemu, więc nie przejął się tym, podszedł do sprzedawcy gazet, aby mu zaproponować kupno scyzoryka, nieskradzonego z nieznanymi przyczyn przez nieznaną towarzyszących libacji. Uzyskawszy z owej transakcji czterdzieści groszy, przeznaczył połowę tej sumy na najtańsze papierosy, drugą połowę na bilet i niebawem już spał aż miło... w tramwaju zdążającym do centrum miasta.

Z górą półgodzinna drzemka rozkleiła go do reszty, jak to zwykle bywa po silniejszym zatruciu alkoholem. Wysadzony na niewłaściwym przystanku, błąkał się przez dłuższy czas po swojej dzielnicy, zanim w końcu poznał ulicę, przy której mieszkał. I zaledwie osiem albo dziewięć kamienic dzieliło go od celu wędrówki, gdy nagle ktoś zastąpił mu drogę.

— Nareszcie! Od rana czekam tu na ciebie.

— Na mnie? — Bagal spojrział na mówiącego zupełnie

mętnym wzrokiem. — A szann pan z jakim int-teresikiem?

— Od kiedy to twój druh Mikołaj jest dla ciebie *szanownym panem*? Nie poznajesz mnie, czy... och, ależ od ciebie wódzia zajężdża!

— Wiad-domo, że zaj-jeżdża — Abdul borykał się z czkawką. — Właśnie dlatego idę wyspać się do d-dooomeczku.

— Nie! Tam czekają na ciebie... — Mikołaj zniżył głos — polscy łapacze! Jeżeli ci życie miłe, wsiądź ze mną do taksówki, tylko ja mogę cię ocalić, rozumiesz?

Nic nie rozumiał na razie, lecz nie stawiał żadnego oporu nawet wówczas, gdy Mikołaj w swoim mieszkaniu rozebrał go i wpakował do wanny. Także w wodzie zasypiał raz po raz, zanurzając się niekiedy tak, że obecny przy tym inny *druh* musiał mu podtrzymywać bezwładną głowę.

— Gdyby go tu zostawić samego, utopiłby się w mig — orzekł.

— To co? Lżejsza taka śmierć od tej, jaka go czeka w więzieniu naszej Centrali — mruknął Mikołaj, patrząc współczująco na Abdula.

— Ja tam nie mam litości dla zdrajców... Nie kapuję tylko, dlaczego także i Polacy chcieli go dzisiaj przyskrzynić, skoro im służył.

— Może ich również ostrzeżono, że on pracuje na dwa fronty? Zresztą co nas obchodzą te sprawy. Mamy dziś odesłać go do Centrali, więc trzeba rozkaz wykonać, trzeba przede wszystkim Abdulka wytrzeźwić.

Prawdę mówiąc, to Abdul Bagal na dobre wytrzeźwiał dopiero wówczas, gdy nazajutrz jego pociąg zbliżał się do Pińska. Wkładając do ust papierosa, stwierdził ze zdziwieniem, iż ma... brodę nieomal do pasa! Potem, przeglądając się w szybie mogącej od biedy zastąpić lustro,

dostrzegł „swoje” pejsy, a na głowie aksamitną jarmułkę.

— Czemu ja właściwie odstawiam dziś palestyńskiego szlachcica?

Powoli zaczął sobie przypominać urywki ostatniej rozmowy z Mikołajem, który ucharakteryzował go tak i zaopatrzył w świetnie podrobiony paszport polski opiewający, jak sprawdził teraz, na nazwisko Izaaka Kluga, kupca z Łodzi. To było wczoraj wieczorem. Podczas gdy drugi kolega warszawski przyklejał na tym paszporcie zrobioną à la minute¹ fotografię rzekomego Kluga oraz przybijał fałszywą pieczęć, Mikołaj tłumaczył Abdulowi, dlaczego ma natychmiast wrócić do Rosji.

— Będziesz wysłany na inny teren pracy, bo polski kontrwywiad postanowił cię zlikwidować; gdyby nie my, już byś siedział pod kluczem.

To zdanie utknęło w pamięci najlepiej, ale także drugie brzęczało mu w uszach, łącząc się stale ze wspomnieniem jakiejś wyjątkowo niemilej kąpieli: — Lżejsza taka śmierć od tej, jaka go czeka w więzieniu naszej Centrali. — Aha, jeszcze jedno: — Może ich również ostrzeżono, że on pracuje na dwa fronty? — Wszystko to mówił na pewno Mikołaj.

Abdul Bagal odemknął okno, gdyż zrobiło mu się nagle bardzo gorąco. Już pojął sens tych słów, a także znaczenie litościwych spojrzeń, jakimi Mikołaj zegnał go wczoraj na dworcu w Warszawie. Tak, Mikołaj, wykonując otrzymany rozkaz, musiał wiedzieć, iż wysyła kolegę na śmierć. Nie wiedział natomiast, komu ten zawdzięcza, że uznano go za pracującego na dwa fronty i nawet Bagal nie rozwiązałyby nigdy tej zagadki, gdyby nie starcie, jakie miało miejsce onegdaj u Aleksandry Thorne. Przecież ona pochwaliła się sama, że wysłała do jego szefów list przytaczający fakty wystarczające do zbudowania aktu oskarżenia o zdradę i

szpiegostwo na rzecz ościennego państwa oraz że podobnym anonimem poczęstowała polski kontrwywiad.

— Nnno, już ja jej za to zapłacę! — warknął Abdul Bagal.

Przez chwilę poił wyobraźnię wizjami mąk, jakie by zaaplikował mściwej kochance, lecz zreflektował się wnet, iż na razie powinien myśleć jedynie o własnym ocaleniu. Należało więc przerwać podróż do Rosji, gdzie zapewne już na stacji granicznej czekała eskorta na „Izaaka Kluga”, należało też opuścić Polskę, przede wszystkim zaś...

— ...trzeba stwierdzić, gdzie znajduję się w tej chwili.

— Dojeżdżamy do Pińska — odparł zapytany o to konduktor.

Odpowiedź ta zdziwiła Bagala, gdyż zwykle jeździł przez Stołpce. Znacznie bardziej dziwił się konduktor, że ten „starozakonny” pasażer zamierza wysiąść już w Pińsku, chociaż bilet ma aż do Moskwy!

— Chcę tu załatwić parę interesików, a jutro pojedę dalej — łgał Abdul, pragnąc nie wzbudzić podejrzeń u nikogo. — Oczywiście zgłoszę tę przerwę w podróży tutaj, na stacji.

Uspokoiwszy tak konduktora, zaczął przeliczać pieniądze, jakie Mikołaj dał mu na drogę. Niewiele tego było, lecz poza tym posiadał swoją *żelazną rezerwę* ukrytą w wydrążonym obcasie trzewika.

— Czym ja tylko nie przepił tego wczoraj? — przeraził się niepotrzebnie, gdyż wielokrotnie złożony banknot studolarowy tkwił nadal w obcasie, jak Abdul zaraz stwierdził w toalecie wagonu. — Na szczęście, zapomniałem snadź o tej forsicdze, bywszy pod gazem, inaczej byłbym ją przehuśtał... Nnno, za sto dolarów można zajechać daleko i jeszcze żyć przez jakiś czas, zanim człek nie złapie nowej synekurki.

Jego położenie byłoby znacznie gorsze, gdyby kazano

mu wracać do Rosji bez paszportu, przez zieloną granicę. Tymczasem zaopatrzone go w paszport, co niezmiernie upraszczało sprawę zamierzonego wyjazdu z Polski.

— Wezmę pobytową wizę francuską i wyfrunę sobie do Biarritz, gdzie wielki sezon nie skończył się jeszcze — marzył. — Nietrudno tam o zarobeczek dla ludzi bez miękkiego sumienia i nietrudno, w razie wsypy, drapnąć stamtąd do Hiszpanii; granica jest tuż-tuż, pamiętam.

Abdul Bagal był więc w szampańskim humorze, kiedy pociąg dotarł do Pińska. Wysiadało z jego wagonu co najmniej piętnaście osób, więc czekał w otwartych drzwiach przedziału aż przejdą, gdyż „zawodowo” nie lubił mieć kogoś za plecami. Minęło go kilku oficerów, jakiś ksiądz, potem dwóch Żydów z których jeden nawet coś doń zagadał w żargonie, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wreszcie ukazała się ostatnia para jadących do Pińska pasażerów, młoda, urocza dziewczyna i garbus w dużym, *malarskim* kapeluszu nisko zsuniętym na czoło. Dziewczyna, zaciągając po kresowemu, mówiła właśnie do swego towarzysza dość głośno:

— ...a jeśli jej Aleksandra, to zdrobnjałość od tego imienia brzmi po polsku Oleńka, nie Olga, jak pan cjągle mówisz.

— Lecz ona nie chce, bym ją zwał Oleńką, woli: Olga.
Abdul Bagal, zelektryzowany już trochę, kiedy padło imię *Aleksandra*, na dźwięk głosu garbusa, drgnął, spojrzął bystro na przechodzących. Nie, tej dziewczyny na pewno nie widział dotąd nigdy, a idący za nią mężczyzna miał twarz od góry zasłoniętą dużym rondem kapelusza. Pragnąc zerknąć pod ten kapelusz, Abdul szybko usiadł na ławce i omal nie krzyknął, poznawszy rywala, który, zbiegiem okoliczności, jechał w tym samym wagonie!

Nic dziwnego więc, iż po tak nieoczekiwanym spotkaniu Riano Baldi, chociaż w Warszawie zdołał wprowadzić błąd wszystkich prześladowców, dostał się w Pińsku znowu pod obserwację, a z nim Krysia Motyło. Gdyby nie to, że Riano był jakiś bardzo apatyczny, Krysia zaś przejęta rolą przewodniczki oprowadzającej cudzoziemca po nieoficjalnej stolicy jej ukochanego *Polesja*, byliby może zwrócili uwagę na chodzącego za nimi wciąż „Żyda“ z sępiim nosem i z okazałą brodą; bo znacznie trudniej śledzić kogoś w małym miasteczku, niż w milionowej metropolii, gdzie śledzący może każdej chwili ukryć się w tłumie.

— Mogliby już skończyć ten spacer — zżymał się Bagal. — Nie uwierzę przecież w to, że przyjechali tutaj dla obejrzenia osobliwości pocziwego Pińska.

Miał rację, całkiem inny był cel ich przyjazdu, lecz Abdul nie znał kolosalnych rozmiarów lokalnego patriotyzmu panny Krysi. Ona to z jednego końca miejsciny na drugi wlokła zmęczonego Włocha, każąc mu podziwiać ubogi folklor, żalostną architekturę oraz snujące się ospale po wodach Piny nędzne, wąskie łódki, najczęściej przewożące siano.

— Tak zapewne wyglądają wasze gondole, prawda? — dopytywała się na przykład. — A czy Pińsk w ogóle nie przypomina panu Wenecji?

Riano Baldi przez uprzejmość potakiwał, co dobroduszna dziewczyna przyjmowała za dobrą monetę i duma jej rosła jak na drożdżach.

— Albo ten kościół! — ciągnęła dalej, przyprowadziwszy gościa do stóp potężnych murów klasztoru Jezuitów. — Widział pan gdzie większy?!

— No, „troszkę” większa jest Bazylika świętego Piotra w Rzymie.

Ubodło to ambitną córę Polesia i, chcąc koniecznie

przeprowadzić jakąś paralelę pomiędzy Rzymem a Pińskiem, zaznaczyła z naciskiem, że ten ostatni także raz spłonął niemal doszczętnie.

— Czyżby miał również swojego Nerona? — zakpił sobie Włoch.

— Ech, lepiej nic mówmy o polityce, to zawsze prowadzi do kłótni, teraz pokażę panu gmach sądowy; tak wspaniałego nie ma nawet w Brześciu!

Koło owego gmachu zniecierpliwiony Abdul Bagal dosłyszał nareszcie coś, co go zainteresowało bardzo.

— Smucji sje pan i smucji bezpotrzebnie — mówiła właśnie Krysia do swojego towarzysza, klepiąc go przyjaźnie po sztucznym garbie. — Oni także dojadą szczęśliwie, tylko ich droga dłuższa. Za kilka dni będzie pan miał przy sobie swoją narzeczoną i Demmerów, i tych Chińczyków, a w moim dworku pomjeścicje sje łatwo. I nikt wam nie będzie przeszkadzał w pracy, zaręczam!

— Dobrze wiedzieć! — mruknął Abdul, zacierając dłonie. — Teraz tylko muszę wyniuchać, gdzie znajduje się ów dworek, ale chyba oni zaprowadzą mnie tam sami, oczywiście bezwiednie.

Tak się też stało, lecz kiedy znał już położenie nowej siedziby zbiegów oraz najlepszą do niej drogę przez nieprawdopodobne wertepy, po raz pierwszy zadał sobie pytanie, dla kogo trudził się właściwie, kto mu zapłaci za te cenne informacje. Dawni zwierzchnicy? Tak, oni by mu teraz przebaczyli wszystko, lecz na tym koniec; potem wyślą go do innego kraju, gdzie za nieświatłą pensję będzie musiał znowu narażać swoje życie co krok. Może więc zwrócić się z tym do Polaków i zaproponować im jakąś ryczałtową sumę? Nie, to jeszcze gorzej, gdyż...

— ...oni mają ze mną stare, niezalutowane porachunki;

tych pacyfistów wsadziliby do paki z rozkoszą, ale mnie także!

Przez całą powrotną drogę do Pińska rozmyślał nad problemem, któremu wywiadowi mógłby sprzedać najkorzystniej swoje wiadomości i nic nie wymyślił. Postanowił więc odjechać do Warszawy, by tam „pokonferować” z Włochami, z Anglikami, czy choćby nawet z Niemcami. Czekaając na pociąg, przeglądał czasopisma i niebawem wpadła mu w oko notatka, której treść zelektryzowała go do maksimum. Byłby ją może uznał za zwykłą kaczkę dziennikarską, gdyby nie to, że zamieściły ją wszystkie gazety, dodając własne komentarze. Tak, to jednak musiało być prawdą i równocześnie stało się bezcenną wskazówką dla pozbawionego wszelkich skrupułów Abdula Bagala.

— Nareszcie wiem — rzekł do siebie, zachwycony natchnieniem, które spłynęło nań tak niespodziewanie — nareszcie wiem, jak należy postąpić, z kim ubić ten cudowny interesik...

Nad głowami przyjaciół Witolda miało zawisnąć nowe niebezpieczeństwo i kto wie, czy nie najgroźniejsze!

¹ à la minute (fr.) – szybko; na poczekaniu.

ROZDZIAŁ XIX

Po dowcipnym wprowadzeniu w błąd ludzi majora Bolesława Rodawskiego oraz ich niemieckich konkurentów, dla utrudnienia im pościgu, zbiegowie podzielili się na cztery partie. Wszystkie cztery opuściły Warszawę samochodami, by wsiąść do odpowiedniego pociągu z dala od stolicy, której dworce mogły być obsadzone agentami, wszystkie cztery miały spotkać się w Dawidgródku nad Horyniem, ale każda z nich podążała tam inną drogą.

Krysi Motyło przyznano drogę najkrótszą, by mogła przybyć pierwsza do rodzinnych Motylicz i przygotować w swoim domu kwaterę dla tylu gości, a stary salon przerobić dla nich na pracownię. Właściwie to ostatnie wziął na swoje barki Riano Baldi, który z tego powodu otrzymał od Hansa żartobliwy przydomek „fachowego doradcy generalnej kwatermistrzyni” i towarzyszył Krysi w podróży, na wszelki wypadek ucharakteryzowany na garbusa.

Chińska para, to jest Lan-Cheng i jej wierny służący Kyo, wyruszyła do Motylicz przez Lwów, Równe, Sarny, udając wędrownych sprzedawców pseudo-japońskiej czy pseudo-chińskiej tandety. Hans jechał sam, na Lublin, Kowel, Sarny, Dąbrowice, wioząc w jednym kufrze model *bezgłośnego pioruna*, w drugim wynalazki własne i swojego ojca. Całe zaś laboratorium z ulicy Podchorążych odbyło przeprowadzkę pociągiem towarowym, w solidnych skrzyniach, zawierających rzekomo narzędzia rolnicze, jak Witold

zadeklarował w liście przewozowym, kiedy osobiście wysłał ten duży transport z Siedlec.

Czwartą, czyli ostatnią, partię zbiegów tworzyli profesor Otto Demmer i Aleksandra Thorne. Ponieważ w związku z matrymonialnymi zamiarami Riana Baldiego potrzebny był pani Oleńce dokument stwierdzający, że jej pierwsze małżeństwo, niegdyś zawarte w Wilnie, zostało tam unieważnione przed rokiem, jechali na Wilno, gdzie musieli zatrzymać się przez dwa dni, lecz pomimo to przybyli w umówionym terminie do Dawidgródka. Tutaj na przystani rzecznych statków czekali już na nich Krysia i Riano, powiewając radośnie chustkami.

— A mój syn gdzie? I orchidea? I Kyo?

— Są, profesorze; wszyscy przyjechawszy szczęśliwie, tylko musiałam ich co prędzej poodsyłać do Motylicz.

— Dlaczego co prędzej?!

— Bo gapiono się tu na nich, jakby na jakie dziwadło. No cóż, Dawidgródek, choć śliczności miasteczko, ale trochę prowincja.

„Trochę”! Pani Oleńka, która prawie przez całe swe życie mieszkała w takich miastach, jak Londyn, Paryż, Berlin, która z przekąsem nazywała Warszawę dużą wsią, teraz zagryzła wargi, by nie parsknąć śmiechem. A potem zrobiło się jej bardzo smutno, gdyż widok bladoniebieskiej cerkwi panującej nad chaosem drewnianych bud, chałup, domków, przypomniał jej rosyjską miejscinę, z którą łączyły ją bolesne wspomnienia; tam bowiem ongiś zmarli jej rodzice, tam uwięziono jej brata, estońskiego patriotę, spiskowca...

Riano Baldi zauważywszy, że narzeczona straciła humor, zaczął ją pocieszać, jak umiał najlepiej:

— Pokochasz to miasteczko, zobaczysz — twierdził — i

zawsze mile wspominać je będziesz już choćby dlatego, że tutaj weźmiemy ślub.

— Lecz zaraz potem stąd wyjedziemy?

— Oczywiście, kochanie!

Poweselała od razu, przytuliła się do niego, dopytywała się dalej, przybierając ton rozpieszczonego dziecka:

— I co, Riano? I gdzie zamieszkamy?

Była pewna, że odrzeknie jej: w *Paryżu*, gdyż o tym marzyli oboje, tymczasem odpowiedź wypadła zgoła inaczej.

— Gdzie? Na wsi. Pojęcia nie masz, dzieciно, jak ładne są te Motylicze, jak tam przyjemnie, jak cicho...

Nic nie odrzekła, zasępiąca milczała, kiedy on z łatwym entuzjazmem włoskim, a przy tym z właściwą sobie dokładnością wyliczał zalety owych Motylicz i zachwycał się wszystkim. Podczas tego bryczki, minąwszy ostatnie rudery „miasta”, wydostały się na drogę hojnie upstrzoną dużymi kałużami po wczorajszym deszczu. Bajorka te po większej części były płytkie, lecz trafiały się również zalane wodą doły głębokie nawet na pół metra. Wówczas wehikuły pochylały się gwałtownie, przy akompaniamencie głośnego śmiechu Krysi jadącej z profesorem Demmerem w *pierwsza parę*.

Krysia, która powoziła sama, jechała coraz szybciej, pani Oleńka zdenerwowana taką jazdą, poleciła stangretowi zwalniać przed każdą szerszą kałużą. Skutkiem tego minimalna początkowo odległość pomiędzy obydwoma bryczkami jęła zwiększać się szybko, na co Riano nie narzekał bynajmniej.

— Kochanie — rzekł, zniżając głos ze względu na woźnicę — czy nie sądzisz, że po tak długiej rozłące należy mi się chociażby jeden pocałunek?

Nie skończyło się na jednym, to jasne, zresztą droga była teraz lepsza, równiejsza, co zabezpieczało przed

„karambolami” pochylające się ku sobie głowy, nad którymi całowały się także liście pierwszych drzew lasu, tworzącego dalej uroczy zielony tunel. Przyjemne te misteria narzeczeńskie odbywały się za plecami poleszuckiego automedona¹, którego wzorowa dyskrecja miała źródło w jego własnych troskach. Oto na przykład gniady strychuje się² znowu, trzeba mu będzie nogę obwiązać, a potem zmienić podkowy. Lewe przednie koło rozsypie się lada chwila; daj Boże, by to nastąpiło jak najbliżej dworu, bo zmęczyłby się człek przy dłuższym dźwiganiu kufrów tych gości. A tam, na zakręcie, diabli nadali jakieś czarne straszdyło mogące przerazić płochliwe szkapy, przewrócić brykę i tym samym skompromitować najlepszego w Motyliczach woźnicę...

Po namyśle przeżegnał się trzy razy, dał koniom po bacie i ruszył ostro do ataku na czarnego. Puszysty mech porastał tu leśną drożynę, więc bezszelestnie posuwała się bryczka i „straszydło” tyłem do niej zwrócone, dostrzegło ją w ostatniej chwili, uskoczyło na bok tuż przed końskimi łbami.

— Nie czort, a Jewrej?!³ — zdziwił się woźnica.

Aleksandra Thorne korzystając z małej przerwy w czułościach, także spojrzała na rosnącego piechura, którego omal nie przejechali i... drgnęła. Ten nieznamy Żyd wydał się jej trochę podobnym do Abdula Bagala.

— Nonsens — pomyślała — on siedzi dawno w więzieniu, jeżeli nie zdążył uciec za granicę.

Myliła się, to był właśnie Bagal już powracający do Pińska po stwierdzeniu, że nową kryjówką zbiegów jest dwór w Motyliczach. Kiedy przejechała obok niego pierwsza bryczka, wioząca Krysię i starego Demmera, wyszedł z krzaków na drogę, gdyż nie przypuszczał, iż za chwilę

nadjedzie drugi wehikuł. Jeszcze większą niespodzianką był dlań widok utraconej kochanki podążającej również do Motylicz.

— Tym lepiej — mruknął, ścigając ją wzrokiem — tym lepiej, że postanowiłaś zadekować się tutaj, że nie będę potrzebował szukać cię po świecie. Bo ja bynajmniej nie zrezygnowałem z ciebie!... Obyś tylko do mojego powrotu wytrzymała w tym pustkowiu...

Pustkowie to było naprawdę. W ciągu kilkugodzinnej jazdy bryczką spotkali zaledwie czterech ludzi, w czym trzech żołnierzy KOP-u⁴ i przebranego za Żyda Abdula Bagala. Niewiele lepiej pod tym względem przedstawiała się najbliższa okolica Krysinego majątku, który wprawdzie z jednej strony sąsiadował z wioską Motylicze, liczącą nieco ponad sto dusz, za to z trzech stron otoczony był puszczą ciągnącą się milami. Większość gości Krystyny Motyło zachwycała się takim właśnie położeniem nowej swej siedziby.

— Tu nie tylko można pracować w idealnym spokoju — sądził Otto Demmer — ale także mieć pewność, że nikt interesować się nami nie będzie.

A jednak okazało się wnet, że przyjazd tylu osób do dworu wywołał pewnego rodzaju zainteresowanie w okolicy. Wyszło to na jaw podczas nieobecności Krysi, która z całą karawaną wozów wyjechała do Dawidgródka po skrzynie z „narzędziami rolniczymi” i nie zgodziła się na to, by ktoś z gości towarzyszył jej w drodze.

— My chcemy pani pomóc.

— Pomożecie tutaj, gdy cały ten kram sje przywiezie. Tam zaś tylko gapić się na was będą i kombinować, kto wy, po co, dlaczego... Dawidgródek uroczą mjescjina, ale trochę prowincja.

Pojechała więc sama ze swoją drużyną, a obowiązki pani domu we dworze pełniła tego dnia panna Balbina Chorska. Siostry Motyło mówiły jej *ciociu* (ściśle biorąc: *cjocju*), chociaż powinowactwo między nimi było bardzo dalekie. — Ot dzjesjąta woda po kisjelu — określiła to sama Balbina, lecz nawet pani Oleńka i Riano, którzy spośród tych cudzoziemców najlepiej władali polskim językiem, nie mogli zrozumieć tego wyjaśnienia i doszli do przekonania, że jakiś wspólny przodek Balbiny i Krysi nazywał się Kisjel. Jeżeli idzie o podział pracy, to panna Balbina była tu „szefem kuchni”, zajmowała się także całym gospodarstwem domowym, podczas gdy Krysia pełniła funkcje generalnego administratora, rządcy, pisarza, kasjera i... ekonoma.

Panna Balbina dotychczas wykręcała się, jak mogła, od spożywania posiłków wspólnie z Krysinyimi gośćmi; krępowało ją to, że poruszają w rozmowie zbyt mądre dla niej tematy, że, zaperzywszy się, szwargocą po niemiecku, przy czym ona siedzi jak na tureckim kazaniu, i że pani Thorne wygląda jeszcze bardziej elegancko niż owe wymuskane laleczki w żurnalach mód.

— Strojnisja jest, owszem, nie nam sje mierzyć z nią na balach, ale czy potrafi ugotować choć szczawiową zupę? Nie! A cjocja umiesz wszystko ugotować, usmażyć, wypichcić. Więc przy jedzeniu niech ona żenuje sję raczej, nie ty! I, jako sje rzekło, sjadziesz z nimi dzisiaj do...

— Może od jutra, Krysieńko. Bo dziś wyjeżdżasz, a ja...

— Cjocju, już ani mru-mru! Jeśli nie chcesz, możesz nie spełnić mojej prośby, lecz słów nie traćmy.

Krysi życzenie było tu zawsze rozkazem, toteż po tej rozmowie, odbytej jeszcze o świcie, panna Balbina wystroiła się do obiadu niebywale i zasiadła na „prezydialnym” krześle pani domu z samopoczuciem skazańca, którego właśnie

posadzono na fotelu elektrycznym. Na domiar *nieszczęścia* profesor Demmer zaczął ją bawić rozmową o składzie chemicznym różnych nawozów sztucznych, gdyż na ten temat gawędził sobie już kilka razy z Krysią, wielką w tej dziedzinie specjalistką. Lecz jej „cjocja” nie odróżniająca kainitu od saletry chilijskiej teraz modliła się w duchu o trzęsienie ziemi lub choćby i średnich rozmiarów trąbę powietrzną, która by przerwała tę męczącą rozmowę. Żaden z projektowanych kataklizmów wprawdzie nie nastąpił, ale dziewczyna wnosząca na tacy salaterki z kompotem zameldowała pani gospodyni półgłosem, że przyszedł Dmytro. Na to Krysią powiedziałyby na pewno: *Niech zaczeka* — lecz panna Balbina od razu uznała tę wizytę za deskę ratunku i, przeprosiwszy gości, wybiegła z jadalni radosnym kłusem.

Powróciła przezornie dopiero wówczas, gdy już wstawali od stołu.

— On czeka — oznajmiła z tajemniczą miną.

— Kto?

— Dmytro.

— Któż to jest?

— Czy tutejszy sołtys?

— Może w sprawie meldunkowej? — padały pytania.

— Przewodnik? Nie zamierzamy na razie zwiedzać okolicy.

— Zwiedzać nie, to wiem. Zresztą jego specjalnością jest co innego i pod tym względem polecam go szczerze; zaledwie sześciu klientów mu złapano, a dwa razy tyle ustrzelono na przynajmniej stu, których przeprowadził bez żadnego szwanku. To nadzwyczajny szczęścjarz.

— Nic nie rozumiem — rzekł Riano Baldi. — Kogo ten Dmytro przeprowadzał, po co, którędy, dokąd?

Pani Balbina odpowiedziała wyczerpująco na wszystkie te pytania:

— Dmytro nigdy nie zapytuje, kogo prowadzi lub po co... Którędy, to jego tajemnica, której nie zna nikt... A dokąd, wiadomo! Do Rosji albo stamtąd do Polski; przecież granica biegnie o półtorej mili od nas...

— Tak blisko?! — zabrzmiał okrzyk zdziwienia.

Lecz Ottona Demmera zainteresowało coś innego:

— Skąd temu przewodnikowi przyszło do głowy, że my może zamierzamy przedostać się do Sowietów?

— Jak to, państwo nie mówiliście mu o tym? — zdziwiła się Balbina Chorska. — Nie posyłałiscje po niego?!

— Oczywiście, że nie!

— W ogóle nie słyszeliśmy o nim...

— I nie mamy najmniejszej ochoty — dodał Hans — uciekać do Rosji, dopóki tam nie nastaną prawdziwie demokratyczne rządy, na co trzeba będzie jeszcze dłuższy czas poczekać.

— Ładnaż historia! — Panna Balbina aż w dłonie klasnęła. — Więc skąd Dmytro wpadł na to, że...

— Może najprościej będzie zadać to pytanie wprost jemu.

Tak też uczyniono, lecz indagowany z ognia „krzyżowych pytań” wyszedł obronną ręką... Jeżeli w te strony przyjeżdżają obcy, to najczęściej w tym celu, by przedostać się do Rosji cichcem, przez zieloną granicę, dowodził. Głupszy próbują tej sztuki o własnych siłach i toną w poleskich bagnach bez dna lub giną od kul sowieckich strażników, a w najlepszym razie wpadają w ręce żołnierzy KOP-u. Mądrzejsi wynajmują sobie tubylców znających każdą ścieżkę, bród, topiel, słowem doświadczonych przewodników. Jednym z nich jest właśnie on, Dmytro

Zahaszczuk. On, dowiedziawszy się, że panienka ma sześcioro gości, w czym dwoje *Kitajców*⁵, pomyślał sobie od razu, iż będzie miał dobry zarobek i przybiegł natychmiast do dworu, by uprzedzić konkurentów.

— Od kogo dowiedzieliście się o gościach? — spytał Riano.

— To nie mogu skazaty, panoczku.

— Po prostu od służby — odgadła pani Oleńka.

Dmytro Zahaszczuk znowu zabrał głos, tłumaczył się, dlaczego nie może zdradzić swojego informatora; gdyby go zdradził, obecni tu państwo mieliby prawo nie ufać przewodnikowi, który nie umie dochować tajemnicy.

Słuchając z uśmiechem tej naiwnie chytrej argumentacji, przyglądali się Dmytrze ciekawie. Był to chłop wysoki, lecz bardzo chudy, z rękami długimi jak u małpy. Skromny, czerwony haft trochę ożywiał szarzynę grubego samodziału, z którego miał uszytą odzież, a rekordowo zabłocone nogi tkwiły w poleskich łapciach. Obracając w zreumatyzowanych dłoniach coś, co niegdyś było kapeluszem i zerkając łakomie w stronę odstawionych na kredens półmisek, mówił powoluteńku, mówił niby po polsku, lecz nawet Riano Baldi nie wszystko mógł zrozumieć. Gdy skończył, zaczęli mu tłumaczyć, że przyjechali tu jedynie na wypoczynek, że bynajmniej nie wybierają się do Rosji i tak dalej.

— Zrozumieliście? — spytał Otto Demmer.

Poleszuk zrozumiał, ale po swojemu: *Panoczek* nie ufa mu, ot co! Powiedział im to oględnie, z melancholijnym uśmiechem, po czym zwrócił się do panny Balbiny z gorącym apelem, aby poświadczyła, że on jest uczciwym przewodnikiem, nie takim, co to w gęstwinie klienta zniecka grzotnie czym w łeb, ogłuszy, ograbi, zepchnie w

trzęsawisko; on, Dmytro, nawet samotne kobiety nieraz przez granicę szmuglował, a żadnej nigdy nie skrzywdził...

— To prawda - wtrąciła panna Balbina.

— Skąd pani wie? — spytał Riano. — Czy któraś z tych kobiet wróciła stamtąd, czy ją pani widziała?

— Nie. Jeśli rzekłam *to prawda*, znaczy sje prawda, że Dmytro to człowiek uczciwy.

— Ale dla nas niepotrzebny! — stwierdził Otto Demmer z naciskiem i zaczął szukać po kieszeniach drobnych dla osłodzenia Zahaszczukowi stanowczej odmowy. — Teraz idźcie z Bogiem; my z waszych usług nie skorzystamy nigdy.

— Nie wiadomo, panoczku, nie wiadomo — mruzczał Dmytro, cofając się w ukłonach ku drzwiom.

Zanim je zamknął za sobą, bardzo głośno wymienił swój *adres* i dodał, iż każde dziecko we wsi wskaże drogę do jego chałupy stojącej pod lasem.

Nieoczekiwana ta pointa rozbawiła wszystkich. Nawet panna Balbina, zapomniawszy o swym dotychczasowym onieśmieleniu, zaczęła opowiadać anegdotki o przysłowiowej nieufności tubylców, która jednak często tryumfowała.

— W anegdocie tak, lecz tutaj nie zatryumfuje na pewno!

Omylił się profesor Otto Demmer. Nie upłynął ani tydzień od tej rozmowy, kiedy ktoś ze dworu odwiedził Dmytrę Zahaszczuka i zaczął z nim konferować w sprawie będącej jego specjalnością. Pertraktacje ciągnęły się przez kilka dni, podczas niby przypadkowych spotkań w lesie. Potem nastąpiła przerwa, gdyż należało poczekać na stosowną noc. Dmytro dowodził, że taka noc nie może być ani zbyt czarna, ani tym bardziej za jasna. Musi być w sam raz, inaczej na nic trudy; przejście zielonej granicy to nie fraszka, zbłąkana kula może wybrać sobie zarówno przewodnika jak i jego klientów, on zaś, Dmytro Zahaszczuk, ma dzieci, które bez niego

pomarłyby z głodu!... O swoich dzieciach wspominał jak najczęściej, pociągając przy tym rzewnie nosem.

Przemówienia takie, wygłaszane już po otrzymaniu zadatku, zawsze wywoływały objawy hojności u klientów. Niektórzy z nich dorzucali kilka złotych *na cukierki dla dzieci*, inni wręczali przewodnikowi *na pamiątkę* zegarek czy papierośnicę, byli i tacy szcudrzy, co dobrowolnie podwajali ustalone już honorarium. Tym razem jednak Dmytro trafił na kontrahenta, który postanowił trzymać się ściśle umowy i o napiwkach ani słyszeć nie chciał, twierdząc, iż nie ma więcej pieniędzy. Jak to, nie ma? Z pustą kabzą wybiera się do Rosji, gdzie człowiek kryjący się przed okiem władz musi słono płacić za noclegi, za ryzyko, za każdy posiłek?! Głupiemu to mówić, nie jemu, Zahaszczukowi, mędrcowi wsiowemu...

— A utop się, ty skąpiradło!

W rozżaleniu to powiedział, ale nagle zastanowił go sens własnych słów wyrzeczonych właściwie bezmyślnie. Gdyby klient utopił się w bagnie, to można by... Nie, nie można! Przecież pieniądze czy kosztowności, jakie by miał ukryte przy sobie, poszłyby wraz z nim na dno. W konkretnym wypadku klient był płci żeńskiej, co jednak nie poprawiało sytuacji, boć w torebce kobieta skarbów nie poniesie, udając się na tak niebezpieczną wyprawę, tylko schowa je czort wie gdzie.

Po dłuższych rozważaniach Dmytro doszedł do wniosku, że przypadkowe czy nieprzypadkowe utopienie się klientki nie przyniosłoby mu żadnych korzyści. Upadła więc ta koncepcja, lecz obudzona pokusa gnała myśli ku innym koncepcjom, jeszcze bardziej grzesznym...

Wreszcie nadszedł wieczór, jakiego niecierpliwie wyglądali oboje. Zwłaszcza ona! Dla niej, od chwili, gdy

zrobiła to smutne odkrycie, każda godzina zwłoki była nową męczarnią. Toteż z wielką radością powitała przewodnika, ponurego dziś niezwykle, i zaczęła go przynaglać do pośpiechu.

— Przed świtem muszę być po tamtej stronie — rzekła.

Dmytro Zahaszczuk wzdrygnął się cały, bo kiedyś na pogrzebie zabitego przez kłusowników gajowego słyszał, jak pan leśniczy powiedział o zmarłym, że *odszedł na tamtą stronę*, że stamtąd patrzy na swoich morderców, że oni zawsze będą czuli na sobie jego wzrok i nigdy nie zaznają spokoju.

— Może by... lepiej... nie iść?

— Dlaczego, Dmytro? Noc jest taka, jakiej czekałeś.

Jednym tchem wyliczył kilka niebezpieczeństw czyhających na tych, co przechodzą przez zieloną granicę, lecz przerwała mu krótkim zdaniem:

— Jestem przygotowana nawet na śmierć.

Ha, skoro tak... Dmytro splunął przez ramię, mocniej ścisnął grubą, okutą lagę i ruszył naprzód tak żwawo, że z trudem mogła za nim nadążyć.

¹ **automedon – woźnica. (W mitologii greckiej rycerz Automedon był woźnicą rydwana Achillesa.)**

² **strychować – ocierać jedną o drugą wewnętrznych części nóg konia w ruchu.**

³ **Jewrej (ros.) – Żyd.**

⁴ **KOP – Korpus Ochrony Pogranicza – formacja wojskowa utworzona w 1924 do ochrony wschodniej granicy II Rzeczypospolitej przed penetracją agentów, terrorystów i zwartych uzbrojonych oddziałów dywersyjnych**

przerzucanych z ZSRR.

⁵ Kitajec (ros.) – Chińczyk.

ROZDZIAŁ XX

Notatka dziennikarska, która w Pińsku zelektryzowała Abdula Bagala, była treści następującej:

100.000 dolarów za wynalazek!

Jak donosi nasz korespondent z Paryża, przebywający tam obecnie amerykański „król armat” Samuel Forban zakupił od pewnego francuskiego inżyniera rewelacyjny wynalazek.

Jego praktyczne zastosowanie zapewni podobno stu procentową celność bombom rzucanym ze samolotów szybujących nawet na wysokościach spoza zasięgu dotychczas używanych dział zenitowych.

Za prawo wyłącznej eksploatacji tego nowego narzędzia śmierci otrzyma wynalazca, oprócz świetnej posady w jednej z fabryk S. Forbana, ryczałtem sto tysięcy dolarów.

Jest to honorarium olbrzymie, nie wątpimy jednak, że amerykański multimilioner powetuje sobie tę „inwestycję” już w pierwszym tygodniu najbliższej wojny. A wybuch wojny włosko abisyńskiej wisi na włosku!

Przeczytawszy tę notatkę, Abdul Bagal przestał się wahać.

— Mam gdzieś wszystkie wywiady, jadę do Forbana — postanowił. Wyjął kieszonkowy kalendarzyk, obliczał: —

Jutro będę w Warszawie. Tam na bieganinę po konsulatach za wizami stracę dzień albo dwa. Drugi etapik podróży pochłonie mi trzydzieści godzin, czyli stanę u celu o...

Pociąg warszawski przybył do Paryża o szóstej z minutami. Pomimo tak wczesnej pory Abdul od razu z Dworca Północnego zatelefonował do Ambasady Amerykańskiej z prośbą o podanie mu adresu Samuela Forbana.

— Omyłka! Tu nie biuro adresowe — warknął ktoś z wściekłością i trzasnął słuchawką.

Abdul zadzwonił ponownie, przemówił już po angielsku, by choćby tym udobruchać jankesa, którego wyciągnął z łóżka.

— Wiem, iż to nie biuro adresowe, tylko Ambasada. Lecz Ambasada musi chyba znać adres obywatela amerykańskiego tej miary, co pan Forban!

— Może zna go któryś z urzędników, ale nikt z nich nie urzęduje w tej porze. Proszę zgłosić się do nas w południe.

— Pół dnia mam tracić bezproduktywnie?!

— Więc niech pan dzwoni po hotelach...

Niecierpliwy Abdul Bagal usłuchał tej rady, właściwie głupiej, bowiem Paryż ma ponad tysiąc hoteli, w czym luksusowych dwadzieścia trzy. Właściwie tylko te ostatnie wchodziły tu w grę i Bagal na chybił trafił zaczął od *Hotel de Crillon* na Placu Zgody.

— Czy mieszka u was pan Samuel Forban?

— Tak.

Więc jednak mieszka tam, hurra!

— Kiedy przyjmuje?

— Jego sekretarz osobisty przyjmuje interesantów od jedenastej do dwunastej! To już wszystko, co mogę panu powiedzieć.

— Wystarczy, bardzo dziękuję.

Abdul Bagal nie posiadał się z radości. Mógł był telefonować bez skutku do dwudziestu dwóch innych najwytworniejszych hoteli, tymczasem i odpoczął to „bombardowanie” od starego *Crillonu* i od razu trafił.

— To dobry znak — powtarzał — dobra dla mnie wróżba.

Aliści z wróżbami różnie bywa. Kiedy punktualnie o jedenastej Abdul wkroczył do hallu hotelowego i polecił zameldować się sekretarzowi Samuela Forbana, otrzymał odpowiedź bardzo niepomyślną:

— Obydwaj panowie zaraz po śniadaniu wyjechali.

— A kiedy wrócą?

— W ogóle nie wiadomo, czy wrócą, gdyż równocześnie odesłaliśmy cały ich spory bagaż.

— Ale dokąd, dokąd?!

— Do Cherbourga.

Skoro do Cherbourga, to znaczyło, że Samuel Forban chciał tam wsiąść na jakiś statek odpływający do Ameryki. Zaklął więc Abdul i najbliższym pociągiem odjechał do Cherbourga, gdzie zaraz jął rozpytywać o statki pasażerskie mające opuścić port tegoż dnia.

— Dzisiaj już żaden w morze nie wyjdzie, dopiero jutro.

Przyjął to do wiadomości z pewną ulgą, chociaż liczył się z tym, że miliarder tuż przed swoim odjazdem może nie przyjąć nieznanomego petenta

— Nie będę go o to pytał, wtargnę do jego kabiny choćby siłą!

Tak odgrażał się, jadąc taksówką do tego basenu, w którym stał potężny transatlantycki parowiec odpływający stąd jutro. Lecz tam spotkała go nowa niespodzianka; stewardzi nawet po sutych napiwkach twierdzili nadal z uporem, że Samuela Forbana na statku nie ma, że kabin nie

zamawiał, a zresztą wszystkie są zajęte. Dopiero jeden z marynarzy wyjaśnił tę pozorną zagadkę; oto Forban posiada wspaniały parowy jacht imieniem *Power*, który ktoś z załogi widział tu wczoraj, więc przede wszystkim na jachcie trzeba szukać jego właściciela.

— Słusznie, tylko powiedzcie mi jeszcze, gdzie tkwi ten jachcik?

Miał „tkwić” w drugim końcu portu, przy takim a takim magazynie, kiedy jednak Abdul odnalazł opisane mu miejsce, zastał je puste. Sądząc, że poinformowano go mylnie, zwrócił się do spotkanych tu wędkarzy z zapytaniem, czy nie wiedzą, gdzie jest jacht *Power*.

— Tam — odparł jeden z rybołówców, wskazując dymek na horyzoncie. — Odplynął półtorej godziny temu.

Odpowiedź ta zbiła z nóg Abdula, przygnębiła go niewypowiedzianie tym bardziej, że mógł tutaj dopędzić miliardera, gdyby nie był stracił tyle czasu na bezpłodne rozmowy ze stewardami tamtego statku. Teraz wszystko przepadło, gdyż ani nie dostanie wizy amerykańskiej we Francji, skoro paszport wystawiono w Warszawie, ani nie ma na opłacenie szyfkarty do New Yorku. Pozostało tylko upić się za resztę pieniędzy, jaka pozostała z jego żelaznej rezerwy i to wykonał sumiennie. Ten desperacki odruch przyniósł mu jednak pewną korzyść, mianowicie wskrzesił w nim optymizm.

— Gdy nie można dostać się do Ameryczki legalną drogą, trzeba popробować inaczej, na przykład jako pasażercio na gapę.

Pomysł był niezły, lecz jego wykonanie nastroczało tyle poważnych trudności, że po kilku nieudanych próbach Abdul znowu zwątpił w możliwość zrealizowania swoich planów. Uprzykrzyła mu się też żebranina w ciągłym strachu przed

policją francuską, więc pewnej nocy wyrwał torebkę jednej z damulek polujących na nietrzeźwych wilków morskich, ale zbytnio nie obłowił się przy tym; ten haniebny rabunek przyniósł mu zaledwie sto franków. Wydawał je bardzo oszczędnie, kupując sobie tylko chleb i nadal siedział w Cherbourgu, nadal żył nadzieją, że przecież w końcu nadarzy się jakaś okazja do gratisowej podróży przez Atlantyk.

Nadarzyła się rzeczywiście. Do Cherbourga wstąpił celem naprawienia uszkodzeń doznanych podczas sztormu fiński statek towarowy płynący z Helsinek do portów Ameryki Środkowej. Co prawda Bagal wybierał się do Północnej, ale też wiedział, iż znacznie łatwiej wślizgnąć się bez wizy do Stanów Zjednoczonych od strony Meksyku niż na przykład w New Yorku.

— Jadę z Finami — postanowił.

Chcąc wprowadzić w czyn te zamysły, śledził wychodzących na ląd majtków upatrzonego statku i z największym pośród nich pijakiem zaprzyjaźnił się skwapliwie. Po kilku wspólnych libacjach Abdul Bagal wiedział już wszystko, co mu było potrzebne, poznał *na niewidzianego* cały statek tak, jak gdyby służył na nim od lat. Kiedy awarię naprawiono, zaprosił fińskiego „przyjaciela” do pewnej spelunki na pożegnalną kolację, podczas której spoił go do nieprzytomności, związał, okradł z gotówki, po czym w jego płaszczu popędził na statek. Dyżurny wpuścił go bez trudności na pokład, sądząc, iż ma przed sobą kolegę, gdyż cała załoga posiadała tu takie ceratowe płaszcze z kapturami, a deszcz właśnie lał, jak gdyby na zamówienie.

— Za pół godziny odjazd, znowu byłbyś się spóźnił.

Abdul nie odrzekł nic, bojąc się, by głos go nie zdradził, ale w duchu szalał z radości; skoro odjazd już za pół godziny, to tamten nie zdąży, chociażby go ktoś uwolnił z więzów. I

nie zdążył rzeczywiście, nazajutrz zaś, kiedy stwierdzono jego nieobecność na statku, Bagal opuścił swoją kryjówkę, by „wyjaśnić” co zaszło:

— Zamieniliśmy się na posady; on zajął moją, pomocnika magazyniera, ja mam tu dostać jego stanowisko, bosmana.

— Bosmana? On był zwykłym palaczem — rzekł pierwszy mechanik.

— A to oszust! — oburzył się Abdul. — Zapewniał mnie uroczyście, że jest bosmanem, kazał mi do tego interesu dopłacić dziewięćset franków, ponieważ jednak nie miał wydać reszty z tysiączki, podarował mi ten płaszcz. I co ja teraz pocznę?

— Możecie wracać do Cherbourga... wpływ; oddaliliśmy się od niego zaledwie o sto czterdzieści mil... Ale chodźmy teraz do kapitana.

Kapitan statku wysłuchawszy zełganego od a do z tłumaczenia się Bagala, wyraził swoje oburzenie z powodu takiej zamiany posad bez jego wiedzy, lecz w końcu musiał się pogodzić z faktem dokonanym.

— Za burtę was wyrzucić nie mogę, za darmo wam tu wyżerać się nie pozwolę, więc będziecie pracowali w kotłowni, jako jeden z palaczy.

Ciężka to była robota, zwłaszcza gdy zaczęły się podzwrotnikowe upały, lecz przez pięć tygodni nic nadarzyła się żadna sposobność do ucieczki. Dopiero w Vera Cruz zdołał Abdul zdezerterować ze statku, który go przewiózł na drugą stronę Atlantyku. To, co zarobił jako palacz, postanowił zachować na Stany Zjednoczone, gdzie brak pieniędzy budzi jak najgorsze podejrzenia, za to w Meksyku stale podróżował na gapę lub o żebraczym kiju. Granicę przekroczył koło Laredo, skąd już wygodnie dojechał do New Yorku, lecz Samuela Forbana tam nie zastał. Było to bowiem

w okresie świąt Bożego Narodzenia, które miliarder spędzał tego roku w słonecznej Kalifornii.

— Trudno, poczekam na niego. Za to musi mnie przyjąć zaraz pierwszego dnia po swym powrocie.

Życzenie to nie spełniło się oczywiście; z byle kim amerykański *król armat* w ogóle nie raczył rozmawiać, a cała sfera detektywów prywatnych strzegła go przed zuchwalcami, którzy by próbowali siłą lub podstępem dotrzeć doń gdziekolwiek. Bagal, występujący tu znowu jako Izaak Klug, mógł jeszcze uważać się za wybrańca losu, że uzyskał audiencję u jednego z sekretarzy Forbana. Młodzieniec ten zainteresował się żywo bezgłośnym piorunem, którego działalność Abdul opisał mu kwiecicie, lecz zmarszczył brwi, gdy dowiedział się w końcu, iż plany i model wynalazku znajdują się aż w Polsce.

— Więc z czym pan właściwie przychodzi? — spytał słusznie.

— Z informacją, za którą wywiad wojskowy każdego państwa zapłaciłby mi gotóweczką sto tysięcy dolarów!

— A dlaczego nie zwrócił się pan do któregoś z wywiadów?

— Ponieważ od pańskiego szefa spodziewam się dostać honorarium dziesięć razy wyższe — odparł Abdul. — Jeśli zaś nie od niego, to od innych fabrykantów broni, od waszej konkurencji!

Tupet tego petenta zaimponował sekretarzowi, gdyż był on Amerykaninem z krwi i kości. Znowu więc akcje Bagala poszły w górę, lecz nie na długo.

— Ile czasu potrzebowałby pan na zbudowanie tutaj choćby miniatURY swojej maszyny, gdybyśmy panu oddali do dyspozycji wszelki potrzebny materiał i świetnie wyekwipowane laboratorium?

— **Wieczność** — brawurował dalej Abdul. — **Wieczność**, z tej prostej racji, że wynalazcą bezgłośnego pioruna nie jestem ja, tylko... mój znajomy, pewien młody Włoch, który pozostał w Polsce.

Sekretarz wstał, spojrzął wymownie na zegarek.

— **Sądzę wobec tego, iż naszą rozmowę możemy uważać za definitywnie skończoną** — rzekł oschle. — **Niepotrzebnie straciłem dwanaście minut!**

— **Niech pan straci dalszych dwanaście lub wasz najpoważniejszy konkurent zyska światowy monopol na wyrób bezgłośnych piorunów!**

Abdul nie miał pojęcia, kto jest najpoważniejszym konkurentem Samuela Forbana, wiedział to jednak jego sekretarz i groźba zrobiła swoje.

— **Co mi pan chce jeszcze powiedzieć? Mów pan.**

Abdul Bagal nie dał się prosić, gadał, jak najęty. Przemilczając tylko te szczegóły, które mogłyby zniechęcić kapitalistę, więc na przykład pacyfistyczne przekonania wynalazców, przedstawił słuchaczowi dzieje zawziętej walki wywiadów trzech mocarstw o bezgłośny piorun.

— **To chyba najlepiej dowodzi jego wartości** — twierdził.

— **A gdzie dowód** — spytał sekretarz Forbana — **że cała ta historia nie jest pańskim wymysłem?**

Bagal przedstawił mu plik gazet, w których znajdowały się opisy *niezwykłego fenomenu przyrody*, jaki wydarzył się we wrześniu, kiedy to wysoki jesion rosnący w parku Łazienkowskim nagle stanął w ogniu i, jak skoszony pociskiem armatnim, runął na ulicę Podchorążych, chociaż żadna burza tego dnia nie przeszła nad Warszawą.

— **Dziennikarzom ani przez myśl nie przeszło, że ścięcie owego drzewa jest dziełem naszego Włocha, który wówczas właśnie robił pierwszą próbę z nowym modelem bezgłośnego**

pioruna, lecz my z wywiadów wiedzieliśmy, co o tym sądzić; wiedzieliśmy też, że on był uczniem Marconiego!

To wywarło duże wrażenie na sekretarzu Samuela Forbana. Zatrzymał przedłożone mu dzienniki, by sprawdzić, czy angielski przekład odnośnych notatek jest dosłowny i polecił Abdulowi zgłosić się nazajutrz.

Nazajutrz rozmowa rozpoczęła się już całkiem inaczej:

— Mój szef gotów jest zapłacić pół miliona dolarów za prawa wyłączności eksploatacji bezgłośnego pioruna, lecz sęk w tym, że pan wynalazcą nie jest, tylko jakiś Włoch, przebywający nie wiadomo gdzie.

— Owszem, mnie wiadomo! — wtrącił Abdul z wielką pewnością siebie, chociaż od dawna żywił obawę, czy ścigani przez tylu prześladowców wynalazcy znowu nie zmienili kryjówek lub nie wpadli już w ręce którego wywiadu.

— Ja jeden znam dokładny adres tych czworga genialnych ludzi, o których tyle opowiadałem panu wczoraj.

— Za wyjawienie nam ich adresu możemy panu dać tysiąc dolarów.

— Tysiąc?! To kpiny!

— Jeszcze nie skończyłem... Tysiąc za adres, a dalszych pięćdziesiąt tysięcy dolarów za pośrednictwo.

— To znaczy?

— To znaczy, za nakłonienie Włocha, by nam swój wynalazek sprzedał i by objął odpowiednie stanowisko w przyszłej fabryce bezgłośnych piorunów. Zrozumiałe jest chyba, że musimy mieć wynalazcę tutaj i wykonywać nad nim pewien nadzór, inaczej tak drogo kupiony monopol, mógłby się stać bardzo problematycznym. Czy odpowiadają panu te warunki?

Abdul Bagal potrząsnął głową poziomo, wstał, zerknął na zegarek zupełnie tak samo, jak to wczoraj zrobił sekretarz

miliardera.

— **Podobną propozycję słyszałem z ust sekretarki waszego konkurenta, który jednak jest znacznie hojniejszy — zełgał gładko.**

— **Ile panu oferował? Tylko proszę mówić prawdę!**

— **Dziewięćdziesiąt tysięcy.**

Sekretarz popędził do swojego szefa i wrócił za minutę.

— **Pan Forban gotów jest dać panu sto tysięcy pod warunkiem, że umowę spisujemy natychmiast, gdyż mój szef jutro znowu wyjeżdża.**

Abdul nie chciał przeciągać struny, lecz scenę wahania się odegrał mistrzowsko. Dopilnował też, aby w tekście umowy słowa: *za nakłonienie wynalazcy* zastąpiono określeniem daleko bardziej elastycznym, mianowicie: *Za doprowadzenie transakcji do skutku obojętnie jakimi sposobami.*

— **Widzę, że nie wyłącza pan możliwości użycia przemocy — uśmiechnął się sekretarz — proszę jednak nie sądzić, iż mnie to gorszy.**

— **Wierzę. Jestem przecież w ojczyźnie gangsterów. Ale jak będzie z przewiezieniem mojego makaroniarza do New Yorku? Czy możecie mi dać do dyspozycji samolot, najchętniej hydroplan i jakiś niewielki stateczek, który by czekał na tak cenny transport gdzieś koło Gdańska?**

— **Oczywiście, lecz wszystkie szczegóły waszej eskapady omówi pan już z Erdsonem, z którym możecie odплыć do Europy choćby jutro.**

— **Któż to jest ów Erdson?**

— **Jeden z najzdolniejszych detektywów prywatnych, jakich zatrudniamy u siebie. Dawniej należał do straży przybocznej pana Forbana, który pierwszy poznał się na jego zdolnościach i używa go do specjalnych poruczeń. Teraz zaś**

Erdson został wybrany na pańskiego towarzysza podróży, gdyż zna język polski, ma żydowską cierpliwość, umie gadać z uczonymi maniakami...

Sekretarz amerykańskiego „króla armat” długo wyliczał zalety przyszłego zwierzchnika Abdula, zapomniał tylko dodać, iż pan Erdson w pewnych sytuacjach nie cofa się nawet przed morderstwem, któremu świetnie potrafi nadać cechy nieszczęśliwego wypadku.

ROZDZIAŁ XXI

Wicher wył posepnie, niósł tumany śniegu, które chwilami całkowicie przysłaniały las, odległy od tej ściany Krysinego dworku zaledwie o sto metrów. Nie martwiło to bynajmniej pani Oleńki, siedzącej przy oknie w swoim pokoju; przeciwnie, była wdzięczna dzisiejszej zadymce, że raz po raz zakrywała *najobrzydliwszą w świecie panoramę*, którą prócz *tubylców* zachwycał się jedynie profesor Otto Demmer.

— Nawet te Mongoły nie mogły tu wytrzymać — mówiła do Riana w chwilach swych rozgoryczeń coraz częstszych obecnie.

Rzecz miała się zupełnie inaczej. Po pierwsze, tamte wypadki nastąpiły dawno temu, bo w początkach października, wówczas zaś Motylicze w złotej oprawie polskiej jesieni wyglądały tak uroczo, że bez wyjątku wszyscy goście Krystyny Motyło byli nimi oczarowani. Po drugie, Lan Cheng opuściła te progi z całkiem innych powodów, pozostawiając list tej treści:

Moi Najlepsi Przyjaciele!

Po długich rozważaniach doszłam do wniosku, że w naszej szlachetnej kalkulacji tkwi gruby błąd. Postanowiliśmy bowiem oddać swe wynalazki do wyłącznej eksploatacji Lidze Narodów. ale zapomnieliśmy, że ona nie ma, niestety, żadnej egzekutywy!

Czyż to, co zaszło w tych dniach nie dowodzi słuszności mego twierdzenia?! Oto półmilionowa armia spragnionych łupu żołdaków wyruszyła na podbój kraju, odległego od ich ojczyzny o tysiące mil! Bez wypowiedzenia wojny, bez ultimatum, bez ostrzeżenia napadła nocą na trzy spokojne miasta i ludność ich wycięła w pień! Pięćset samolotów krąży nad osadami w głębi kraju, dzień w dzień rzuca bomby kruszące, zapalające i gazowe, mordując niewinne kobiety, dzieci, starców, księży! A przecież nieszczęsna Abisynia jest członkiem Ligi Narodów! Jest państwem chrześcijańskim, nie tak jak moje biedne Chiny, żywcem pożerane przez Japonię.

Wiem, co mi Hans odpowie: iż z Japonią nie można porównywać Włoch, których chciwość jest groźna tylko dla bardzo słabiutkich przeciwników. Tak, to prawda, że Włochy zrabowały Trypolis dopiero wówczas, gdy Turcja była rozgromiona przez państwa bałkańskie. Tak, to prawda, że Włochy sprzymierzone z Austrią i Niemcami zdradziły tych sojuszników w bardzo krytycznym momencie i wbiły im nóż w plecy. Lecz skoro nawet z takim specjalistą od dobijania rannych Liga Narodów nie potrafi zrobić porządku i ukarać go za zbrodnie popełniane w Abisynii, to jakże zdoła ujarzmić potężną Japonię i Niemcy?!

Wiem, co mi odpowiecie chórem: że właśnie dzięki naszym wynalazkom Liga Narodów zdoła poskromić każdego imperialistę. Tak by było, gdyby Liga posiadała chociażby tysiąc niesprzedajnych, ślepo jej oddanych gwardzistów; oni wyposażeni w nasze maszyny mogliby rzeczywiście zasłonić każde słabsze państwo przed bandycką napaścią silniejszego sąsiada.

Lecz Liga Narodów nie ma takich bojowników. Ma za to przekupnych fagasów, którzy plany naszych wynalazków od

razu sprzedadzą szpiegom tych państw, które najwięcej zapłacą, którym najbardziej zależy na posiadaniu niezwalczonej broni. A w rezultacie nasza długoletnia praca zamiast służyć sprawie wieczystego pokoju, będzie służyła wojnie!

Moi bardzo kochani! Jeżeli nad tą sprawą będziecie rozmyślali przez tyle bezsennych nocy, co ja, dojdziecie na pewno do takiej samej konkluzji. Co po tym postanowicie, to Wasza rzecz. Ja zaś postanowiłam wrócić do Chin i Chinom służyć tak długo, dopóki ostatni Japończyk nie zostanie wypędzony na swoje wyspy.

Nie nazywajcie mnie dezercerem albo zdrajcą naszej idei dlatego, że teraz idę bronić Chin; gdy moja ojczyzna będzie znów naprawdę wolna, wrócę do Was, by służyć ludzkości.

Długi ten list kończył się serdecznymi pozdrowieniami dla wszystkich i krótkim post scriptum, wyjaśniającym, którędy Lan Cheng zamierzała dostać się do swoich dalekich Chin.

PS

Wybieram najkrótszą drogę, tj. przez Rosję; do jej granicy ma mnie zaprowadzić Dmytro. Jeżeli dotrę do naszej ambasady w Moskwie, reszta pójdzie gładko.

O ile jednak nie otrzymacie ode mnie znaku życia w ciągu dwóch miesięcy, to uważajcie mnie za zmarłą.

Nagły wyjazd Lan Cheng wywołał niebywałą konsternację wśród jej przyjaciół. Potępiali ją przede wszystkim dlatego, że postawiła ich wobec faktu dokonanego, zamiast otwarcie wyjawić im swoje zamiary, których wykonaniu i tak przecież nie mogliby przeszkodzić.

— Bała się rzeczowej dyskusji — sądził Riano Baldi — bała się, że jej wybijemy z głowy te głupie pomysły.

Hans Demmer oceniał to znacznie surowiej; jego zdaniem, Lan dopuściła się wobec nich haniebnej zdrady. Kyo powtarzał w kółko:

— Babie nigdy nie można ufać, mówiłem, mówiłem.

Tylko profesor Otto Demmer milczał zawzięcie, tylko on znał wszystkie powody ucieczki Lan Cheng, która przez szparę pod drzwiami wsunęła mu do sypialni liścik, przeznaczony wyłącznie dla niego:

Czcigodny Mistrzu!

To, co napisałam w tamtym liście, zaprzętało moje myśli od dawna, od dawna też ciągnęło mnie do Chin. Pomimo to byłam z Wami, gdyż miłość trzymała mnie na uwięzi.

Pan wie, Drogi Mistrzu, iż kocham Pańskiego syna, lecz nie wie Pan, że byłam kochanką Hansa i że to będzie miało swoje naturalne skutki. Tymczasem po przyjeździe do Motylicz przekonałam się, że Hans kocha p. Krystynę, z której gościnności musimy korzystać.

Czy dziwi się Pan teraz mojej ucieczce z tego domu?! Ale zaklinam Pana na wszystko, co Panu święte, by o mej tajemnicy nie dowiedział się nikt, zwłaszcza oni oboje. To by im może zatruło chwile szczęścia, którego los mnie tak poskąpił.

Po przeczytaniu tego profesor Demmer, który od swoich tegorocznych urodzin żywił pewną niechęć do syna, teraz zaczął go wręcz unikać. Pod pretekstem, że do jakichś obliczeń potrzebuje zupełnej ciszy, a w salonie przerobionym na laboratorium panuje hałas, pracował w pokoju, który przed tym zamieszkiwała Lan Cheng, śniadanie jadał wraz z

Krysią bardzo wcześnie, kiedy inni jeszcze spali, na obiady spóźniał się umyślnie, wiedząc, iż za dnia Hans nie usiedzi długo w jadalni, więc tylko podczas kolacji dochodziło do spotkań, przykrych dlań niesłychanie.

Uraza, jaką czuł do syna, rozprzestrzeniła się niekiedy także na inne osoby, które, jego zdaniem, zbyt szybko przeboleły stratę Lan Cheng, zbyt rzadko o niej mówiły, za to nazbyt często wybuchały niefrasobliwym śmiechem. Nie mógł tego pojąć, iż Balbina i Hans śmieją się z byle głupstwa właśnie w tym celu, by jego rozweselić nareszcie. Nie umiał również zdobyć się na trochę wyrozumiałości dla młodej pary, nie mającej na razie żadnych powodów do smutku i chcącej nacieszyć się swoim szczęściem.

Ślub Aleksandry Thorne z Rianem Baldim odbył się w dwa dni po ucieczce Chinki, gdyż termin był wyznaczony uprzednio i nie dało się go przesunąć. Tego samego dnia Kyo wyruszył ku granicy, pragnąc w Sowietach dopędzić swoją panią i znowu czuwać nad nią, jak ongiś przysiągł jej ojcu. Nikt nie próbował odwozić go od wykonania tego zamiaru, byłby to zresztą daremny trud. Natomiast dano mu do zrozumienia, że naraża na wielkie niebezpieczeństwo nie tylko siebie.

— Bądźcie spokojni — odrzekł — gdyby mnie nawet torturowano po naszymu, po chińsku, nie zdradzę waszych tajemnic, ani waszej kryjówki.

Krysią Motyło, wierna tradycjom staropolskiej gościnności, nie mogła patrzeć obojętnie na wielkie przygnębienie profesora Demmera i pocieszała go jak umiała; ponieważ zaś on obłudnie podkreślał stale, że w osobie Lan Cheng stracił tylko asystentkę, zapytała pewnego razu, czy nie mogłaby jej zastąpić. Otto Demmer omal nie parsknął szyderczym śmiechem, ale Hans powitał Krysinę ofertą z

entuzjazmem. Zaraz też ją dowodzić, iż miesiąc praktyki więcej jest wart, niż rok teoretycznych studiów i zaproponował w końcu, by Krysia na próbę popracowała przez kilka tygodni razem z nim.

— Zgadza się pani?

Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, zabrał głos profesor; czy chciał synowi zrobić na złość, czy ustrzec Krysię przed losem uwiedzionej Chinki, nie wiadomo, lecz mniejsza z tym, skoro i tak podał inny powód swej decyzji:

— Ponieważ Lan była moją asystentką, więc przede wszystkim mnie potrzebna jest jakaś pomoc, nie tobie.

— Czy nie sądzisz, mistrzu — zapytał go Riano Baldi, gdy panie wyszły przed dom — że ta dziewczyna będzie ci w pracy raczej przeszkadzała?

Otto Demmer na razie był tego samego zdania, ale rzeczywistość zgotowała mu najmiłą niespodziankę. Krystyna, tak hałaśliwie energiczna na folwarku, tak wojownicza w kuchni, tak irytująco naiwna podczas rozmów, w których poruszali tematy społeczne czy polityczne, stawała się zupełnie innym człowiekiem, kiedy wchodziła do pokoju, gdzie pracował profesor. Nie zadręczała go pytaniami, nie przerywała mu obliczeń wymagających absolutnej ciszy, nie objawiała głośno zdumienia, przestachu lub zachwytu na widok eksperymentów, które przedstawiały się jej początkowo jako czarodziejskie sztuczki.

Początkowo musiała ograniczyć się do roli zupełnie biernego widza, lecz trwało to zaledwie kilka dni, potem okazało się nagle, że nawet taki laik jak ona może tu być bardzo pomocny. Tego dnia Otto Demmer zajęty był montowaniem małego elektromotoru i w pewnej chwili zaczął czegoś szukać po całym pokoju. Ponieważ milczał

przy tym zawzięcie, Krystyna nie odważyła się przemówić, ale po dobrych piętnastu minutach on sam upoważnił ją do tego.

— Czy pani przypadkowo nie widziała śrubki, która...

— Zdaje się — wtrąciła — że pan profesor włożył ją przed tym do lewej dolnej kieszonki swojej kamizelki.

Tak było rzeczywiście, a podobne sytuacje zdarzały się często, gdyż Otto Demmer w tym roku stał się roztargniony niczym ów profesor z tysiąca anegdot. Gubił coś ustawicznie i byłby w ogólnej sumie zmarnował moc czasu na szukanie, gdyby nie Krysia, której spostrzegawczość rozwijała się z dnia na dzień. Niebawem doszło do tego, że jeżeli zamyślony Demmer niewłaściwie połączył ze sobą jakieś druty, Krysia poprawiała go momentalnie, chociaż o elektrotechnice ani o elektrokinetyce nie miała zielonego pojęcia.

— Pani posiada przedziwny instynkt czy talent...

— Gdzież tam, profesorze — przeczyła skromnie, — ja po prostu widziałam, jak pan kiedyś powiązał te druciska właśnie tak i maszynka funkcjonowała, więc tak musi być dobrze.

Otto Demmer wyrobił sobie jednak inne zdanie o zdolnościach młodzietkiej Polki i zaczął ją kształcić z zapalem. Ponieważ zaś uczennica była wyjątkowo pojętna i ponieważ każdemu wykładowi towarzyszyły odpowiednie doświadczenia, nie mówiąc już o siedmiogodzinnej pracy przy boku profesora, sprawdziły się słowa, jakie Hans wyrzekł w parę dni po odjeździe Chińczyka Kyo, że miesiąc dobrej praktyki więcej jest wart, niż rok czysto teoretycznych studiów. Kiedy przed Bożym Narodzeniem pisano tu wspólny list, który okrężną drogą miał dotrzeć do Witolda Rodawskiego, profesor Demmer nadmienił w nim, iż w osobie *uroczej pani domu* pozyskał sobie

współpracowniczkę, która za rok, albo nawet wcześniej zupełnie mu zastąpi dawną asystentkę.

— Najpiękniejszy prezent gwiazdkowy nie sprawiłby mi więcej przyjemności — wyznała Krysia na ucho staremu Demmerowi.

— Takaś to łasa na pochwały? — spytał z uśmiechem; zgodnie z jej życzeniem, mówił jej na *ty* od kilku tygodni.

— Ależ nie idzie mi o pochwały.

— Tylko o co?

— Znaczący się, pan profesor już zapomniawszy, com mu wyjawiała w przeddzień naszej ucieczki z Warszawy.

— Istotnie zapomniałem... Cóż to było?

— To było, że ja na śmierć zakochałam się w wujcu... pardon, w panu Witoldzie. Tylko, najdroższy mistrzuniu, to scjista tajemnica!

— W takim razie trzeba by w tym liście do Wita poświęcić ci obszerniejszą wzmiankę. Na przykład, że jesteś śliczna i...

— Broń Boże! Śliczna, to dla Witolda nie znaczy nic, on zaraz powie: *ot gęsjina* lub *malowana lala*. Jeśli pan łaskawie chce dopisać coś, co mnie doda szacunku w jego oczach, to proszę nadmienić, iż ja potrafię już rozłożyć na drobne kawałki i na powrót zmontować bezgłośny piorun. To mu zaimponuje na pewno więcej, niż gdybym została wybrana Miss Europą.

Pierwszy model bezgłośnego pioruna, wypróbowany jeszcze w Warszawie i stamtąd przywieziony do Motylisz, mógł wywołać pożar lub eksplozję w promieniu zaledwie dwustu metrów. Ten krótki zasięg Riano postanowił zwiększyć na razie do trzech kilometrów, biorąc pod uwagę, że samoloty szybujące powyżej trzech tysięcy metrów nie mogą celnie bombardować upatrzonych obiektów na ziemi.

Przystąpił więc do budowy drugiego modelu o odpowiednich rozmiarach, zużywając w tym celu gotową aparaturę pierwszego, której pewne części zamierzał stosownie wzmocnić, ale z początkiem listopada rozchorował się obłożnie. Ponieważ zaś bardzo zależało mu na pośpiechu, rozpoczętą przezeń pracę kontynuował Otto Demmer ze swoją nową pomocnicą; dzięki temu Krysia zapoznała się z genialnym wynalazkiem Riana Baldiego znacznie dokładniej niż na przykład Hans, Witold, Lan Cheng czy Kyo, którzy tylko widzieli działanie bezgłośnego pioruna i wiedzieli, na czym ono polega, lecz nie potrafiliby naprawić żadnej usterki w aparacie. Za to Krysia...

— Ona rozbiera i składa najbardziej skomplikowane części tego aparatu z taką łatwością, jak gdyby to był głupi rower — chwalił ją Otto Demmer podczas jednej ze swoich wizyt w pokoju chorego Włocha. — Ta dziewczyna ma albo fenomenalną pamięć, albo talent rasowego wynalazcy.

— Czy to jednak jest dobrze — powątpiewała pani Oleńka — że wtajemniczacie ją we wszystko?!

— Czy pani sądzi — spytał Hans szyderczo — że Krysia także jest szpiclem któregoś z wywiadów?!

Pani Aleksandra zmieszała się ogromnie; prócz Riana nikt tutaj nie znał jej smutnej przeszłości, młody Demmer miał na myśli agentów, którzy zatruwali im życie w Warszawie, lecz przecież ona do nich dawniej należała, była wówczas członkinią szpiegowskiej bandy Abdula Bagala.

Riano Baldi widząc, iż żona zaczerwieniła się kompromitująco, chciał bronić jej niesłusznej tezy i ściągnąć uwagę przyjaciół na siebie.

— Byłoby nikczemnością żywić jakiegokolwiek brzydkie podejrzenia wobec panny Krystyny — przyznał — ale z drugiej strony pamiętajmy, że żadnej kobiecie ufać nie należy, jak

mawiał nasz...

— Ach, tak — wtrąciła pani Oleńka z goryczą. — Zatem ty mi również nie ufasz, skoro hołdujesz takiej zasadzie.

Riano, wpadłszy z deszczu pod rynnę, zaczął żarliwie dowodzić, że miał na myśli Lan Cheng i ewentualnie Krysię, tylko nie własną żonę, zaczął powoływać się na świadectwo Demmerów, iż niepochlebną opinię o kobietach wypowiadał w ich gronie Kyo, za którym on ją dzisiaj powtórzył bezmyślnie.

— Czy wierzysz mi, kochanie?

— *Qui s'excuse, s'accuse!* — odparła twardo.

Nie dlatego nie uwierzyła, że *kto się uniewinnia, ten się sam oskarża*, jak powiada francuskie przysłowie, tylko dlatego, że myśli, iż Riano nie ma do niej zaufania, dręczyła ją często. W kilka dni po ślubie zapytała go, jak długo pozostaną w Motyliczach. — Nie wiem — odparł — gdyby to jednak zależało wyłącznie ode mnie, mieszkalibyśmy tu przez całe życie. — Wyraźnie lękał się teraz powrotu do wielkiego miasta, czyli sądził, iż tam ich pożycie małżeńskie nie trwałoby długo; tak przynajmniej wnioskowała pani Oleńka, dopatrująca się we wszystkim potwierdzenia swoich obaw.

Drugim potwierdzeniem rzekomej słuszności tych podejrzeń była dla niej wielka pracowitość męża. Dopóki nie zachorował, tkwił w laboratorium od rana do późnego wieczora, z dwiema krótkimi przerwami na obiad i na kolację, podczas których więcej rozmawiał z Demmerami niż z żoną. Nawet w miodowym miesiącu zdarzało się często, że jeszcze spała, gdy zaczynał pracę i już spała, kiedy wracał do sypialni, a niedziel ani świąt nie uznawał. — Stroni ode mnie — przypuszczała, lecz zносиła to bez szemrania jako karę za dawne swe grzechy.

W pierwszych dniach listopada Riano zaziębił się trochę,

zlekceważył to sobie, zapominając o różnicy pomiędzy polskim klimatem a włoskim i w tydzień później omal nie przejechał się na tamten świat. Uratowano go, lecz został skazany na leżenie w łóżku, dopóki temperatura nie spadnie; nie chciała jednak spaść, gorączkował codziennie tak, że wyglądało to na gruźlicę. Wobec tego miodowe miesiące musiały ulec odroczeniu na czas nieokreślony, którą to decyzję lekarza przyjął pacjent pomrukiem niezadowolenia, za to jego żona westchnieniem ulgi; właśnie dlatego, że szczerze kochała męża, nie chciała oddawać mu się teraz, kiedy leżał spocony lub rozpalony gorączką, by nie nabrać do niego fizycznej odrazy.

Tak więc bardzo niewesoło układało się pani Oleńce życie w Motyliczach, które również straciły dawny urok i stały się jakby błotnistą wyspą wśród morza kałuż, stawków, mokradeł. Pierwszy śnieg poprawił nieco tę brzydką panoramę, lecz stopniał po kilku dniach, a na drugi, trwalszy, długo czekała. Bo doszło już do tego, że czekała na śnieg, jak gdyby na wielką atrakcję, chociaż nie liczyła na to, by mogła tu uprawiać sporty zimowe. Wyglądała śniegu po prostu jako pewnego urozmaicenia monotonii swego tutejszego bytowania, kiedy zaś wreszcie nastął okres wielkich śnieżyc, zaczęła wzdychać do wiosny, od której dzieliło ją jeszcze kilka długich miesięcy.

Natomiast rzeczywistym urozmaiceniem jednostajnego życia w Motyliczach stały się święta Bożego Narodzenia. Było to zasługą dwojga osób, ale cała suta wieczera wigilijna, którą panna Balbina chciała olśnić cudzoziemskich gości zesła na dalszy plan wobec darów, jakie okrężną drogą przysłał Witold Rodawski z Warszawy. Witold pamiętał o wszystkich, nawet o żonie Riana, której *jeszcze nie miał szczęścia poznać*, jak pisał w liście i przysłał dla niej

komplet oprawionych w srebro przyborów toaletowych i do manicure'u. Krysia otrzymała wspaniałą sześciolampowy radioodbiornik z wmontowanym w niego patefonem automatycznie zmieniającym płyty. Riano Baldi i Demmerowie dostali ciepłe płaszcze futrzane, dla wszystkich zaś razem była przeznaczona zawartość osobnej skrzyni, zawierającej książki, czasopisma, pomiędzy które *przez omyłkę zaplątało się* trzykilowe pudło czekoladek.

We wspomnianym już liście Witold donosił, że niestety nie otrzymał dotychczas żadnego znaku rycia od Lan Cheng; pośród radosnego nastroju ta jedyna przykra wiadomość uszła ogólnej uwagi, tylko profesor Otto Demmer nagle posmutniał i, zabrawszy kilka książek, odszedł do swojego pokoju. Za to młodzież „szalała” przy dźwiękach patefonu i przy szampanie, o którym przewidujący Witold także nie zapomniał. Nawet chory Riano puścił się w tany, potem kazał żonie wypić duszkiem zdrowie swego najlepszego przyjaciela, a zarazem sprawcy dzisiejszej uciechy.

— Czemuż jednak ten wasz najlepszy druh sam tutaj nie przyjechał na święta? — spytała z przekąsem.

— Gdyż nic mógł. Gdyż agenci z różnych wywiadów depcą mu wciąż po piętach, licząc snadź na to, że w ten sposób kiedyś w końcu wpadną na nasz trop... tak przecież Wit pisze w liście.

— Papier jest cierpliwy, zniesie każde kłamstwo — mruknęła. — A ja nadal podejrzewam, iż niezwykła hojność waszego przyjaciela ma jakiś ukryty, brzydki cel.

— Olgo, bo pogniewam się bardzo! — rzekł Riano Baldi, marszcząc brwi. — Gdybyś znała Wita, musiałabyś go tak samo jak my wszyscy szanować i najgoręcej pokochać!

Krysia potakiwała z zapalem. Potem, na widok ironicznego uśmiešku pani Oleńki, ogarnęła ją chęć, by

przynieść ze swojego pokoju jedyną w tym domu fotografię *eks-wujcja* i w ten sposób przekonać tę kobietę, że Witold jest *chodzącą szlachetnością*, jest mężczyzną zasługującym pod każdym względem na uwielbienie. Aliści zamiar ten zrodzony tak nagle, upadł jeszcze prędzej pod wpływem obawy, że pani Oleńka mogłaby także zakochać się w Witoldzie i dopiero byłby kłopot z tak urodziwą rywalką. — Lepiej, znaczy sję, licha nie kusić w wigilijną noc — pomyślała sobie.

Tak więc pani Oleńka nadal nie wiedziała, jak wygląda przyjaciel tych ludzi, o którym nasłuchiwała się od nich już tyle. Jego gwiazdkowe prezenty bawiły ją ze dwa tygodnie, lecz potem znudziły się jej, a znajome melodie, wygrywane na patefonie budziły wspomnienia, które w obecnych warunkach musiały potęgować jej niechęć do Motylicz.

— Nawet te Mongoły nie mogły tu wytrzymać!

Często powtarzała to zdanie, chociaż czytała ów dłuższy list zaginionej Lan Cheng; było to więc perfidne, lecz właśnie dlatego wywoływało żywe protesty Riana i otwierało nową dyskusję na stary temat. Jedna z takich dyskusji małżeńskich wywiązała się również dnia 16 stycznia, gdy za oknami szalała burza. Wicher wył posępnie, niósł tumany śniegu, które chwilami całkowicie przysłaniały las odległy od tej ściany Krysinego dworku zaledwie o sto metrów. Nie martwiło to bynajmniej pani Oleńki siedzącej przy oknie w swoim pokoju; przeciwnie, była wdzięczna dzisiejszej zadymce, że raz po raz zakrywała *najobrzydliwszą w świecie panoramę*, którą prócz *tubylców* zachwycał się jedynie profesor Demmer.

— Niepotrzebnie to powtarzasz — odezwał się Riano, wciąż jeszcze chorobą przykuły do łóżka. — Ja, który pół życia spędziłem w Neapolu, nie mogę żadnego z północnych

krajobrazów nazwać chociażby średnio ładnym, a cóż dopiero tutejszego pustkowie!

— Szkoda, że z łóżka nie widzisz, jak ono dzisiaj wygląda. Koszmar, drogi Riano, prawdziwy koszmar! I my musimy tu mieszkać...

Przytknęła czoło do szyby, pełen nienawiści wzrok wpiła w kontury lasu, jak gdyby to on był owym Chińskim Murem, odgradzającym ją od wszelkich przyjemności dawnego życia; że w tym dawnym życiu zaznała ich stokroć mniej niż zniewag, upokorzeń i cierpień, zapominała w takich momentach z łatwością, bo taka jest już ludzka natura.

Wicher przycichł na chwilę, kłęby śniegu opadły, poprawiła się widzialność i pani Oleńka dostrzegła jakiś ciemny przedmiot, który oderwał się od ściany lasu. Czyżby wilk? Nie, na wilka to było zbyt duże, zbyt ociężale. Zresztą stawało często na tylnych odnóżach jak tresowane niedźwiedzie.

— Ależ to człowiek! — stwierdziła wreszcie.

Człowiek ów musiał być ogromnie osłabiony, gdyż zataczał się i przewracał ustawicznie. Po każdym upadku trochę leżał, jak gdyby odpoczywał, potem długo, mozolnie dźwigał się na nogi, robił kilka kroków naprzód, aby na najbliższej nierówności gruntu znowu runąć na ziemię. Z daleka wyglądało to zabawnie, tak że pani Oleńka pomimo swego złego humoru roześmiała się w końcu. Wymieniła też mężowi powód swej nagłej wesołości, wyrażając przypuszczenie, iż osobnik ten musi być kompletnie pijany.

— A może ranny? — sądził Riano. — Może wlecze się tutaj ostatkiem sił? Nie spuszcza go z oka, kochanie.

Zaledwie to powiedział, nastąpił krytyczny moment; samotny wędrowiec, podążający wyraźnie w stronę Krysinego dworku, napotkał na swej drodze większą zaspę

śnieżną i ugrzązł w niej już na dobre. Na próżno szamotał się tam, na próżno wymachiwał rękami, nie ruszył z miejsca. Lecz jeszcze nie dał za wygraną; podniósłszy w górę strzelbę, wypalił dwa razy.

— Wzywa pomocy — domyśliła się pani Oleńka. Wstała z krzesła, skierowała się ku drzwiom. — Powiem Krysi, niech ona zarządzi, co trzeba.

Ponieważ jednak Krysia kąpała się właśnie, na czele „ekspedycji ratunkowej” stanęła panna Balbina Chorska. Idąc za wskazówkami pani Oleńki, bez trudu odnalazła wędrowca, już na pół zasypanego śniegiem i stwierdziła od razu, że to nie jest żaden z gajowych, ale jakiś *pan całą gębą*, bo na tak kosztowny ekwipunek myśliwski nie mógłby sobie byle kto pozwolić.

— Byle gdzie takiego jegomoścja dać nie sposób — rzekła do towarzyszących jej fernali — więc przenieście wy go do jadalni.

W jadalni nieznajomy odzyskał przytomność już po drugim kieliszku koniaku, który panna Balbina wlała mu do gardła.

— Thank you — wykrztusił z trudem.

— Pan, znaczy się, Angliczanin?

— No — potrząsnął głową, przecząco — ja... rodak z Ameryka.

— Z Ameryki — poprawiła go. — To swjetnie składa się, bo ja mam w Ameryce stryja, także nazwiskiem Chorski. Nie zna go pan przypadkiem?

— No. Ameryka, kraj bardzo duży, nie moszno znać cały people... Zatem you are miss Chorski?

— Chorska! Balbina Chorska... A pan, jeśli wolno spytać?

— My name is: Erdson. To brzmi z amerykańska, lecz

mój matka być Polka a ja wasz rodak!

ROZDZIAŁ XXII

Krysia właściwie nigdy nie zgrzeszyła tu lekkomyślnością; wiedząc, ile niebezpieczeństw czyhało w Warszawie na jej obecnych gości, strzegła ich przed wszelkim kontaktem ze światem, nie przyjmowała w Motyliczach nikogo, nawet dawnych przyjaciół jej zmarłego ojca, i lekarz, ongiś wezwany do chorego Riana, był pierwszym obcym człowiekiem, który przestąpił te progi w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

A drugim był pan Francis Erdson. Nikt go tu nie znał ani nie zapraszał, ale byłoby wieczystą hańbą dla polskiego domu odmówić posiłku i noclegu wędrowcowi, błakającemu się podczas śnieżnej nawałnicy, której ofiarą mógł paść lada chwila. Tak rozumując, Krysia poleciła przygotować „uczciwą” ciepłą kolację, do której w jadalni miała zasiąść także pani Oleńka, ponieważ ją Erdson widział, kiedy go tutaj wnoszono; Demmerów zaś, nie mówiąc już o chorym Włochu, skazała na „areszt domowy” do jutra.

Przezorne te zarządzenia wyszły na dobre właśnie Erdsonowi, który też nie marnował czasu. Rozumiejąc to, że by zdobyć sobie tutaj choćby minimum zaufania, musi przede wszystkim wyjaśnić, jakim cudem on, Amerykanin, znalazł się nagle w Polsce, blisko granicy rosyjskiej i w dodatku podczas najsroźszej zimy, poczęstował swoje słuchaczki najpierw taką opowieścią:

W grudniu przyjechał ze Stanów Zjednoczonych do

Francji, by z tamtejszym konkurentem amerykańskich zakładów fabrycznych, w których pracuje, zawrzeć „traktat wzajemnej nieagresji”, jak to nazwał żartobliwie. Na ten cel dyrekcja przedsiębiorstwa udzieliła mu trzymiesięcznego urlopu, lecz losy łaskawe sprawiły, że francuski przemysłowiec od razu przyjął tę propozycję i Erdson wywiązał się ze swojej misji pomyślnie w ciągu zaledwie dwóch tygodni. Cóż miał wówczas począć? Wracać do Ameryki, do swego kieratu? Zrobi to, owszem, ale dopiero 20 marca, gdyż wtedy skończy się przyznany mu płatny urlop. Wcześniej nie miałoby najmniejszego sensu zwłaszcza, że lekarz zalecił mu dłuższy odpoczynek po tylu latach wytężonej pracy.

Uzgodniwszy telegraficznie te swoje „poglądy” na urlop z dyrekcją przedsiębiorstwa, zaczął się zastanawiać, gdzie spędzić wolny czas. Biuro turystyczne, w którym zasięgał rady, namawiało go na Majorkę, mającą najłagodniejszy klimat w zimie, lub na Szwajcarię, ze względu na sporty zimowe. Lecz Erdson, jako zapalony myśliwy, rokrocznie polujący w Kanadzie, reflektował przede wszystkim na swoją ulubioną rozrywkę. — W takim razie jedź pan do Polski — powiedziano mu i, chociaż jechał tu nie bez sceptycyzmu, nie żałuje teraz, iż dał się namówić na wyjazd w te okolice.

— To prawdziwy raj dla myśliwych!

Zauważywszy, że Krysia rośnie jak na drożdżach, gdy chwałą jej ukochane *Polesje*, zaczął łgać, że polował już we Wschodniej Afryce, w Brazylii, ba, nawet w Indiach, ale równie bogatych w zwierzynę terenów, jak tutejsze, nigdzie nie znalazł. Nie znalazł też poza Brazylią, podobnie uroczej „dżungli”, pełnej zdradliwych trzęsawisk i niezrównanie malowniczych rzeczulek, wijących się wśród leśnej gęstwiny. Kanada ani nie umyła się do Polesia.

— A co, nie mówiłam?! — tryumfowała Krysia. — Pani zaś wciąż...

— Ja nie jestem myśliwym — wtrąciła pani Oleńka — i moim ideałem są kamienne, tętniące wielkomięjskim ruchem dżungle takich metropolii jak Paryż, Londyn czy New York, którego jeszcze nie znam, niestety.

— Nie zna pani mojego rodzinnego miasta? — Erdson w zapale zapomniał wtrącać angielskie wyrazy i mówił po polsku coraz lepiej. — O, skoro tak, to muszę pani przysłać z New Yorku kilka albumów przeznaczonych dla propagandy turystyki. Na razie zaś mogę służyć tylko ustnymi informacjami. Co panią interesuje najbardziej?

Panią Oleńkę interesowało tyle różnych tematów, że niezmordowany Erdson w końcu trochę zachrypnął od ciągłego mówienia i jeszcze nie zaspokoił jej ciekawości. Był jednak całkiem zadowolony z wyników pierwszego spotkania, poznał bowiem achillesową piętę zarówno pani Baldi jak i Krysi. Bawiąc je zajmującym opowiadaniem, zastanawiał się równocześnie nad tym, jak pozyskać sobie sympatię trzeciej kobiety, uparcie milczącej panny Balbiny.

Jej właśnie wypadło odprowadzić go do drzwi pokoju, który wyznaczono mu na kwatery do jutra. Nie wiedząc, o czym mówić z takim mrukiem, powiedział pod jej adresem jakiś tuzinowy komplement i omal nie parsknął śmiechem na widok wrażenia, jakie to wywołało. Panna Balbina zarumieniła się po uszy, przystanęła, spuściła głowę, a jej zgrabny biuścik zafalował tak, jak gdyby była zdyszana długim biegiem. Oczywiście lunął na nią zaraz deszcz dalszych komplementów, a dobił ją długi pocałunek, jaki Erdson złożył na jej dłoni z czcią należną co najmniej księżniczce. Podobnego przeżycia nie miała panna Balbina Chorska od lat, ani podobnie rozkosznych snów, jak tej nocy,

a chytry łajdak pozyskał sobie w niej najwierniejszego sprzymierzeńca.

Nazajutrz przy śniadaniu Krysia zapytała, czy Erdson poluje w lasach państwowych, czy w książęcych. Odparł, że wszędzie, że uzyskał wszelkie potrzebne zezwolenia bardzo szybko, dzięki interwencji jakiegoś amerykańskiego dyplomaty. Oczywiście zarząd ordynacji kazał sobie słono zapłacić za swoje pozwolenie, osobno zaś za prawo używania szałasu, który dotychczas stał pusty.

— Zatem pan nie mieszka w pałacu księcia, jak inni myśliwi, zjeżdżający do niego tak licznie?

— No, miss Motyło. Hałas mam pod dostatkiem w New Yorku, dlatego gwarny pałac książęcy mnie nie nęcił. Gdy poluję lubię mieć kwaterę w lesie, choćby nawet w namiocie, więc i tutaj wolałem zamieszkać w skromnej drewnianej budzie nad uroczą Zatoką Żbików.

— Nad Zatoką Żbików? To niespełna godzina drogi stąd. Teraz rozumiem, dlaczego pan, zabłądziwszy podczas wczorajszej śnieżycy, wynurzył się z lasu naprzeciw dworku... Lecz pańska kwatery nie jest bynajmniej skromnym szałasem; w tym solidnym budyńeczku mieszczyła się lesnjiczówka dawniej, gdy tamta część puszczy jeszcze nie była wykarczowana.

— Skąd pochodzi nazwa zatoki? Czy rzeczywiście spotyka się tam często żbiki ?

— Ogiś spotykało się je naprawdę dość często, później jednak lesnjiczy na spółkę z moim swiętej pamięci ojczulkiem wytępiłi tutaj prawie doszczętnie tego drapieźnika.

— Czyli dla mnie nie zostało nic — westchnął Erdson.

Krysia, dbała o dobrą reputację tutejszej kniei, zaczęła go pocieszać, zaczęła opowiadać o swoich czterech

pechowych spotkaniach z tymi *leśnymi kociskami*, które ukazywały się jej stale wówczas, gdy nie była przygotowana do strzału. Zgrywający się Erdson przerywał jej raz po raz stosownymi okrzykami mającymi świadczyć o jego myśliwskiej pasji, odgrażał się, że ta cenna zwierzyna jego nigdy nie zaskoczy nieprzygotowanego i obiecywał, iż pierwszy upolowany „egzemplarz” po wypchaniu go ofiaruje Krysi. Pani Oleńka przysłuchiwała się tej rozmowie z oznakami znudzenia.

— Czy pan zamierza poświęcić cały swój urlop czatowaniu na głupiego żbika? — spytała z przekąsem.

— Nic pogardzę także inną zwierzyną — odparł dwuznacznie i dodał w myśli z humorem: — ale przede wszystkim chcę upolować włoskiego osła, czyli twojego, ponętna szelmo, małżonka. I ty mi w tym pomożesz!

Zgodnie z tak ułożonym planem, którego autorem był zresztą Abdul Bagal, także już rezydujący nad Zatoką Żbików, Erdson przybył do Motylicz ponownie w dwa dni później, by *podziękować za ocalenie życia* i udzielenie mu gościny. Krysi ofiarował rogacza upolowanego rzekomo przez siebie a bukiet kwiatów kupionych w księżęcej oranżerii wręczył panie Balbinie, którą ten gest oszołomił. Demmerowie znowu nie zeszli do jadalni, lecz właśnie tutaj przyłapał ich Erdson następnym razem. Skonsternowało to ich trochę, Krysia zaś, która sądziła, że znajomość z Amerykaninem skończy się na poprzedniej, oficjalnej wizycie, zapytała go zimno, czemu ma przypisać „zaszczyt” jego dzisiejszych odwiedzin.

— Jestem człowiekiem poważnym — odparł uroczystym tonem — i pragnę bywać pod tym dachem w najbardziej poważnych zamiarach. Och, yes!

Tu spojrzął tak ogniście na pannę Balbinę, że nawet

służąca, która w tym momencie weszła do jadalni, domyśliła się, co to są *najpoważniejsze zamiary* i popędziła do kuchni plotkować. Równocześnie Krysia porozumiała się wzrokiem z dobrodusznym profesorem i z *cjocją*, czerwoną obecnie jak dojrzały pomidor.

— Ha, skoro tak — rzekła wreszcie z miłym uśmiechem — to niechże pan, drogi rodaku, odwiedza nas jak najczęściej!

Erdson skorzystał skwapliwie z tego zaproszenia, stał się odtąd niemal codziennym gościem w Motyliczach. Ponieważ jednak we dworze byli zajęci wszyscy oprócz pani Oleńki, więc ona „matkowała” starszej od niej o kilka lat, a bardzo nieśmiałej Balbinie, ona stale asystowała „gruchającej” parce, na wyraźne życzenie Balbiny.

Gruchanie to polegało na tym, że Erdson trzymał za rękę biedną pannicę, uszczęśliwioną tym wystarczająco, rozmawiał zaś wyłącznie z jej towarzyszką. Całymi godzinami opowiadał jej o cudownie uproszczonym życiu w Stanach Zjednoczonych, o zbytku tam panującym, o fantastycznych karierach pięknych kobiet, o tysiącach rozrywkowych lokali New Yorku, o rewiach mód na Florydzie, o świetnym, klimacie Kalifornii, o łatwych wycieczkach do Kanady, Meksyku i na piękne jak baśń Wyspy Hawajskie. Słowem, wybierał tematy, jakie zawsze najbardziej interesowały panią Oleńkę, której pragnienie wielkoświatowego życia stało się szczególnie piekące teraz, po kilku miesiącach pobytu na tym odludziu.

Pewnego razu, gdy na pół godziny odwołano do spichlerza Balbinę i Erdson został sam na sam z jej „przyzwoitką”, zaproponował jej dość obcesowo wspólny wyjazd do Ameryki.

— Pan zapomina — odparła — że mam męża, którego

kocham!

— **Ależ, z mężem, razem z mężem, tylko to miałem na myśli.**

— **Czy sądzi pan, że dla niego znalazło by się tam jakieś zajęcie, chociażby średnio rentowne? Mój mąż jest inżynierem.**

— **Dyplomy, uniwersyteckie nie znaczą w Ameryce nic; mędrzy z trzema doktoratami zamiatają u nas chodniki, natomiast analfabeci, jeżeli tylko są sprytni, dorabiają się milionów. Wszystko więc zależałoby od tego, co mąż: pani potrafiłby praktycznie zmajstrować jako inżynier.**

— **Sądzę, że potrafiłby wiele; jest wynalazcą — odparła szeptem.**

— **Czy dokonał już jakiego wynalazku, czy ma tylko dobre chęci?**

— **Owszem, dokonał, lecz o tym wołałabym z panem pomówić w lesie, gdzie moglibyśmy się kiedyś spotkać niby przypadkowo, dobrze?**

Schadzka ta doszła do skutku dopiero w tydzień później, kiedy pogoda ustaliła się tak, że dłuższy spacer pani Oleńki nie mógł tutaj wywołać żadnych podejrzeń. W umówionym miejscu Erdson już czekał na nią, ale jej powierzchowny opis bezgłośnego pioruna uznał za niewystarczający.

— **Według pani relacji jest to jak gdyby reflektor, który zamiast światła przenosi na odległość energię cieplną, czy tak?**

— **Tak przynajmniej mąż mi to objaśniał, biorąc snadź pod uwagę, że mówi do stuprocentowego laika. Dodał jeszcze, iż może z pomocą swego aparatu w upatrzonym, a dość dalekim punkcie wytworzyć żar, który stopi wszelkie metale.**

— **Gdyby to było prawdą, to za taki aparacik nasza**

fabryka zapłaciłaby gotóweczką dwieście tysięcy dolarów, a prócz tego mężowi pani dałaby posadę z rocznymi poborami w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów. Sęk jednak w tym, że ów cichy piorun, czy jak go tam nazywacie, to humbug!

— Czy także blagą nazwie pan radio lub telewizję? Nie! Dlaczego by więc nie można było w eterze przenosić ciepła, skoro przenosi się już głos, dźwięk, światło, fotografię i tak dalej?

— Lecz świat uwierzył w te cuda techniki dopiero wtedy, gdy wyszły z laboratoriów uczonych, gdy je sam zobaczył. Ja zaś znam bezgłośny piorun tylko z gołosłownej relacji pani, dlatego też... proszę mi wybaczyć szczerłość, dlatego muszę pozostać sceptykiem... na razie.

— Wyleczy się pan ze sceptycyzmu może już niebawem, bo montaż nowego, większego modelu bezgłośnego pioruna jest na ukończeniu, po czym będzie wypróbowany. O terminie pierwszych doświadczeń zawiadomię pana.

Czekał na to znowu przez tydzień, aż podczas jednej z jego częstych wizyt pani Oleńka zdołała wykorzystać nieuwagę Balbiny i pokazać mu z daleka przedmiot zamierzonego eksperymentu; była to sędziwa lipa wysoko wystrzelająca ponad wierzchołki otaczających ją drzew.

— Kiedy? — spytał szeptem.

— Pojutrze, o dziewiątej rano.

Na dobrą godzinę przed tym terminem dotarł wraz z Abdulem Bagalem do owej starej lipy, której obwód u podstawy wynosił przeszło pięć metrów. Potężne to drzewo zaczęło przed rokiem usychać, dlatego zapewne Krysia wybrała je na żer promieniom. Ponieważ zaś otoczone było innymi, niższymi drzewami i kępami krzaków, mógł Erdson kręcić się tutaj bez obawy, że spostrzeże go ktoś z dworu, zresztą odległego stąd prawie o kilometr. Poruszał się więc

swobodnie, szukając cudzych odcisków stóp na śniegu, lecz szukał ich na próżno. Bagal domyślił się rychło powodu tych poszukiwań.

— Gdyby ktoś — rzekł — założył tu minę, mającą imitować bezgłośny piorun, w którego istnienie pan nie chce uwierzyć, to ślady tej roboty byłyby całkiem widoczne. Bowiem śnieg nie padał od dziesięciu dni! Zamiast więc tracić czas na dreptanie dokoła lipy, niech mi pan pomoże obandażować ją grubym drutem, którego z pięćdziesiąt metrów przyniosłem.

— Po co? — spytał nieufnie Erdson.

— Po to, by przekonać się dzisiaj, czy bezgłośny piorun spala tylko drewno, czy też potrafi także przegryźć metal.

Rzekłszy to, cisnął kamień uwiązany na długim sznurku z taką siłą, że ten przeleciał ponad najwyższym konarem lipy. Gdy spadł po jej drugiej stronie, Bagal odczepił kamień, a na jego miejsce przywiązał do sznurka jeden koniec owego drutu. Wywindowawszy jak najwyżej ów koniec, ujął w ręce resztę drutu i zaczął z nią okręzać drzewo, „bandażując” je w ten sposób spiralnie, zwłaszcza w górnej części.

— Za pięć minut dziewiąta!

Pospieszyli do ośnieżonej kępy krzaków, skąd najlepiej widać było dwór. Z sześciu jego okien na piętrze otworzono właśnie dwa, po czym w pierwszym z nich ukazały się głowy kilku osób, do drugiego zaś przysunięto jakiś okrągły przedmiot lśniący w słońcu jak świeżo wypolerowana tarcza.

To jest prawdopodobnie reflektor tej maszyny — rzekł Abdul Bagal, oddając towarzyszowi jego lornetkę. W kilka sekund później szarpnął go mocno za ramię. — Tu patrzeć, tutaj! — krzyknął.

Wyciągniętą ręką wskazywał lipę, więc Erdson w jej stronę skierował lornetkę, chcąc widzieć jak najlepiej

przebieg działania tajemniczych promieni. Pod ich wpływem śnieg oblepiający drzewo już zaczął koło jego szczytu topnieć błyskawicznie; wśród kłębow syczącej pary wodnej, coraz brudniejszej od dymu, tryskały snopy iskier, ale wnet strzeliły płomienie i prawie równocześnie wierzchołek lipy runął na dół, łamiąc po drodze suche gałęzie. Trwało to wszystko razem niespełna pół minuty, tak przynajmniej twierdził Abdul Bagal, który stał z zegarkiem w ręku i spoglądał zwycięsko na swojego towarzysza oniemiałego ze zdumienia.

— Dokładnie biorąc, dwadzieścia pięć sekund! Może jednak zechce pan obejrzeć z bliska ten odcięty patyczek?

To, co lubujący się w zdrobnieniach Abdul nazwał patyczkiem, miało pół metra średnicy, ze trzy metry długości, odcięte było równo niczym belka w tartaku, tylko paliło się jeszcze w tych miejscach swego przekroju, które przy upadku na ziemię nie zaryły się w śnieg. I jak śnieg łatwo stopił się gruby drut w punkcie krótkotrwałego zetknięcia z niewidzialnym, a groźnym promieniem maszyny, wynalezionej przez Riana Baldiego.

— Czy wierzy pan teraz nareszcie, że bezgłośnym piorunem będzie można krajać jak masło pancerze wszelkich okrętów wojennych?! I również na odległość wysadzać w powietrze nieprzyjacielskie prochownie, magazyny amunicji, jaszczce, ba, nabite armaty, ich własnymi pociskami?!

— Wierzę, wierzę. Do diabła, to spowoduje zupełny przewrót w technice wojny! — przyznał Erdson. — To jest wynalazek wręcz genialny!

— No, skoro pan przekonał się o tym dzisiaj, to nareszcie usłucha pan mojej rady i najbliższej nocy porwiemy ten aparacik, co?

— Nie! Oni są na pewno stale na jakiś napad

przygotowani, więc również stale aparat stoi rozmontowany lub przynajmniej bez jakiejś zasadniczej części składowej, którą chowają osobno. W tych warunkach kradzież zdekompletowanego modelu nie przyniosłaby mojemu szefowi żadnej korzyści... Zresztą ja otrzymałem wyraźną instrukcję, by przywieźć do Ameryki raczej wynalazcę niż jeden z jego wynalazków.

— Ha, wobec tego porwiemy również Riana Baldiego.

— Pan chyba nie zdaje sobie sprawy z technicznych trudności tak wariackiego przedsięwzięcia!... Przypuśćmy jednak, że uda się nam porwać go i przeschmuglować stąd aż do Stanów Zjednoczonych. Przypuśćmy, że mój szef odważy się więzić tego Włocha w jakimś ustronnym miejscu, że zignoruje niebezpieczeństwo szantażu ze strony ludzi, którzy musieliby być w to wtajemniczeni. Lecz gdzie pewność, iż Baldi potraktowany jak średniowieczny niewolnik zechce pracować dla swoich prześladowców i bogacić ich swoimi wynalazkami? Nawet dzisiejszy amerykański Murzyn nie zgodziłby się na to, zażądałby przede wszystkim wypuszczenia na wolność, cóż więc dopiero Europejczyk, zwłaszcza taki fanatyk jak Baldi!

— Więc jak pan wyobraża sobie dalszy ciąg swojej akcji?

— Tylko tak, że Baldi musi wyjechać ze mną do Ameryki dobrowolnie i dobrowolnie podpisać kontrakt, który nań czeka.

— Baldi? — wybuchnął Abdul. — Ależ tej sztuki nie dokáže z nim nie tylko pan, lecz nawet diabeł!

— Wiem o tym — odparł Erdson z uśmiechem — niech pan jednak nie zapomina o przysłowiu: *Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle*. Rolę tej przysłowiowej baby powierzyłem uroczej pani Baldi, na którą liczę w tej aferze

najbardziej!

Kalkulacja Erdsona była dobra. Pani Oleńka, podjudzana przez niego dyskretnie, lecz stale, zamęczała męża od rana do późnego wieczora swym narzekaniem na Motylicze lub na Witolda, którego nienawidziła coraz silniej, jako domniemanego sprawcy ich wygnania na to odludzie. Nawet kosztowne prezenty, jakie przysłał tu na Gwiazdkę, nie rozproszyły jej podejrzeń.

— Przysłał je w tym celu, by was moralnie zobowiązać do wdzięczności i do dalszego pobytu w tej zakazanej dziurze — powiedziała wręcz mężowi starającemu się na próżno wybić jej z głowy takie myśli. — On wie, że tutaj z konieczności pracujecie bardziej intensywnie, że w Warszawie nieraz wyciągnęłabym cię do teatru czy do kina.

— Zapomniałaś już, widzę, że w Warszawie dostalibyśmy się oboje do więzienia, co byłoby zaledwie początkiem czekających nas przykrości!

Riano omylił się sądząc, iż to trzeźwe przypomnienie wyperswaduje żonie chęć opuszczenia ich obecnej, niby bezpiecznej siedziby.

— Nie upieram się bynajmniej przy Warszawie — odparła. — Jedźmy do Paryża, Madrytu, Londynu, jedźmy dokądkolwiek za granicę, tylko zróbmy już raz koniec z tutejszym koszmarem!

Atakowała Motylicze z najrozmaitszych stron. Na przykład, że są bardzo wilgotne, malaryczne, że klimat Polesia w ogóle jest zabójczy dla Riana, że stan jego zdrowia pogorszy się jeszcze na wiosnę, jak to bywa z chorymi na płuca, że zatem trzeba by stąd wyjechać co prędzej, jeżeli nie na stałe, to przynajmniej do maja i potem znowu w październiku.

Znacznie częściej służyły jej za pretekst do wygłoszenia

nowej filipiki komunikaty wojenne z Abisynii, gdzie po tylu miesiącach orężnych niepowodzeń Włosi nareszcie wygrali kilka bitew dzięki gazom bojowym¹. Niestawne zdobycie wzgórza Aladzi, zatrucie iperytem wód Jeziora Asziangi, co przyprawiło tysiące rezerwistów abisyńskich o długie konanie w mękach, zbrodniczy podstęp Włochów, którzy rzucającymi z samolotów ulotkami zapewnili uciekającą ludność, że wojna już skończona, że można bezpiecznie wracać krótszą drogą przez pustynię i w dwa dni później wycięli w pień 20.000 łatwowiernych tubylców, głównie kobiet i dzieci, słowem każde z tych smutnych wydarzeń, nad którymi znikczemniały świat tak szybko przeszedł do porządku dziennego, było tutaj omawiane długo, szczegółowo, z najserdeczniejszym współczuciem dla bohaterskich górali, broniących swej ojczyzny przed najeźdźcą. Lecz również było wyzyskiwane przez panią Oleńkę dla jej celów.

— Niby litujecie się nad losem nieszczęsnych Abisyńczyków tępionych jak wściekłe psy przez napastnika — powiedziała kiedyś — niby chcecie im dopomóc, a siedzicie tutaj!

— Och, gdyby nie moja choroba — westchnął Riano — dawno już model bezgłośnego pioruna byłby w Genewie.

— W Genewie?! Czyś spadł z księżycy? Czyż nie czytałeś w gazetach o tragicznej bezsilności Ligi Narodów wobec czynu Włoch i o zignorowaniu przez nią rozpaczliwych telegramów negusa?!²

— Na razie Liga jest bezsilna, lecz kiedy dostanie model i plany mojego wynalazku, to...

— To któryś z jej urzędników sprzeda je natychmiast Włochom, Niemcom albo Japonii — wtrąciła. — Tak napisała wam ongiś Lan Cheng, bardziej ode mnie miarodajna w tych

sprawach. A gdyby nawet do tego nie doszło, to cóż Liga wskóra z jednym modelem? Nic! Będzie musiała dopiero rozpocząć budowę fabryki, zanim ją zaś ukończy, zanim wyprodukuje pierwszą setkę twoich machin, Włosi zajmą całą Abisynię!

Riano zasępił się ogromnie. Jak większość uczonych, nie potrafił myśleć praktycznie, nigdy też nie przyszło mu do głowy to, co żona wypowiedziała teraz o długim przeciągu czasu potrzebnego do budowy fabryki, która by wyrabiała aparaty jego pomysłu. Pani Oleńka zaś kuła żelazo, póki gorące:

— Jeżeli chcesz przyjść ze skuteczną pomocą biednym Abisyńczykom, musisz szukać sprzymierzeńca albo w jakimś mocarstwie...

— Nigdy! — zawołał. — Nawet najslabsze państewko z pomocą bezgłośnych piorunów łatwo poskromiłoby zaborczość Włoch, ale potem samo stałoby się potęgą imperialistyczną, groźną dla całego świata.

— Albo też — ciągnęła dalej — musisz zawrzeć spółkę z jakimś przemysłowcem mającym już gotowe odpowiednie zakłady fabryczne, znajdujące się w państwie na wskroś demokratycznym, takim jak Stany Zjednoczone.

— Ba, lecz jak dostać się stąd do Stanów w naszych warunkach?

Pani Oleńka omal nie krzyknęła z radości, gdyż to, że Riano wysunął tylko tę błąhą trudność, było już wielkim krokiem naprzód w jej akcji, podobnej do cierpliwego drążenia skały przez krople wody. Niezwłocznie zawiadomiła o tym Erdsona, który pierw odczekał kilka dni, by nie wzbudzić jakich podejrzeń, potem oficjalnie oświadczył się Balbinie Chorskiej i podczas zaimprovizowanej ad hoc ucztę zaręczynowej wystąpił z tego rodzaju „ekscentryczną”

propozycją:

— Zapraszam was wszystkich na swój ślub do New Yorku!

Wywołało to zdumienie u jednych, u drugich smętne uśmiechy.

— Pan, zdaje się, grubo przeceniwszy nasze finansowe możebności, że tak się wyrażę — rzekła Krysia.

— Ależ moi drodzy, skoro ja zapraszam, to nie na wasz koszt.

— Tym ci gorzej. Nie dość, że cjoja Balbina nic panu w posagu nie może wnieść, jeszcze pan chciałbyś wyłożyć tysiące złotych na...

— Nie wyłożę na to ani grosza — wtrącił żywo — daję słowo honoru! Cały dowcip polega na tym, że jeden z moich przyjaciół, którego zawiadomilem listem o przyszłym ślubie, wysłał do Gdańska swój jacht, który oddaje mi do dyspozycji na trzy miesiące — łągał jak z nut. — Będziecie więc mogli gratis przebyć Atlantyk w obydwie strony i jeszcze dla mnie zostanie sporo czasu na podróż poślubną tym jachtem.

— A co z paszportami? — spytał Hans.

— Z nimi byłoby dużo kłopotu, gdybyście mieli podróżować pasażerskim statkiem, lecz prywatny jacht może przybić do brzegu w takim zacisznym miejscu, gdzie nie ma żadnych łapaczów. Skoro zaś ktoś już przekroczy granicę mej ojczyzny, może nie lękać się żadnych tarapatów z władzami. U nas w hotelach nikt nie ośmiela się badać, sprawdzać, czy gość podał prawdziwe nazwisko, czy raczej zmyślane, co praktykuje się powszechnie.

— Ha, skoro tak, to ja zaproszenie przyjmuję!

— Ja także — zawtórowała Hansowi pani Oleńka — jadę z wami, choćby mój pan wolał tu pozostać — dorzuciła z naciskiem, patrząc prosto w oczy mężowi, który dziś

wyjatkowo zwlókt się z łóżka, by wziąć udział w „rodzinnej” uroczystości — bo wątpię, by podobna sposobność nadarzyła mi się w życiu ponownie... A ty, Riano?

— Hm. Po wyzdrowieniu powinienem przede wszystkim odrobić długi okres swej przymusowej bezczynności, co podróż...

— W podróży — wpadł mu w słowo Erdson — będzie pan mógł pracować, ile dusza zapagnie, przecież jacht mamy do swej dyspozycji.. Zatem?

— Uważam — odezwał się Otto Demmer — iż przed powzięciem decyzji powinniśmy koniecznie skomunikować się z Witoldem.

Gdy w pięć godzin później Erdson powtórzył te słowa Bagalowi, ten zaklął soczyście pod adresem profesora i Rodawskiego.

— Wymiana liścików między nimi oznacza dla nas nowych dziesięć dni zwłoki — rzekł zirytowany.

— Dziesięć dni, to fraszka wobec zwłoki, jakiej ja lękać się będę od dzisiaj — odparł Erdson z westchnieniem. — Bowiem dwie godziny temu Riano Baldi dostał krwotoku, podobno pierwszego w życiu.

¹ Intrygi różnych szpiegów w Etiopii opisał autor w powieści pt. *Tajemnice władców Abisynii*, a wszystkie epizody wojny włosko-abisyńskiej oraz wybuch powstania przeciw najeźdźcom w powieści pt. *Iperyt zwycięzca*. (Przyp. aut.)

² *negus* – tytuł władców Abisynii.

ROZDZIAŁ XXIII

Dmytro Zahaszczuk doprawdy nie wiedział, co ma sądzić o dwóch cudzoziemcach, którzy zamieszkali nad Zatoką Żbików, w dawnej leśniczówce. Najpierw przypuszczał, iż chcą przeszmyglować się do Rosji przez zieloną granicę i pobiegł ofiarować im swoje usługi jako przewodnik.

— Do Sowietów?! — zawołał wówczas ów wyższy, mówiący po rosyjsku biegle, lecz ze złym akcentem. — Wolałbym trafić do piekła niż tam!

Zahaszczuk uśmiechnął się wyrozumiale; na tuziny miał już takich klientów, którzy wygadywali na bolszewików najgorsze rzeczy, zaklinali się, że ich nienawidzą śmiertelnie, lecz po jakimś czasie przychodzili do niego z propozycją, by ich przeprowadził na drugą stronę granicy, diabli wiedzą w jakim celu. Nie zmartwił się więc tą odmową, tylko pośpieszył do gajowych z tego rewiru, by ich prosić o udzielenie cudzoziemcom dobrych referencji o nim, jako najlepszym w okolicy przewodniku.

Lecz gajowi orzekli zgodnie, że tym razem Dmytro jest w błędzie. Ci dwaj nie mają zamiaru przedostać się do Rosji, przyjechali tu polować i wszelkie słone taksy sumiennie zapłacili zarządowi ordynacji książęcej. Ściśle biorąc, polować ma tylko ten niższy mężczyzna, *Amerykaniec*, myśliwy pono sławny na cały świat, a wyższy jest jego służącym. W to ostatnie Zahaszczuk absolutnie nie chciał

uwierzyć, gdyż raz był przypadkowym świadkiem okropnej kłótni między tymi dwoma jegomościami i widział, jak ów wysoki dryblas rwał się do bitki ze swoim rzekomym chlebobdawcą.

Abdul Bagal stanowczo nie umiał udawać lokaja i równie kiepsko Erdson grał rolę zapalonego łowcy; bowiem albo siedział w Motyliczach, albo w leśniczówce, jeżeli zaś jakaś zwierzyna sama pchała mu się pod strzał, to *sławny na cały świat myśliwy* pudłował, aż miło! Pewnego zaś razu, kiedy nieomal wleźli na rogacza, Erdson szybko wcisnął swoją wspaniałą strzelbę do rąk Zahaszczukowi, który też bez namysłu wypalił, oczywiście celnie. Dostał za to pięć złotych, ale musiał przysiąc, że będzie we wsi opowiadał, jak to mistrzowsko pan Erdson ustrzelił rogacza na jakąś nieprawdopodobną odległość.

Od tego dnia dobrze działo się Dmytrze. Niby to tylko nosił strzelbę za *Amerykańcem*, w rzeczywistości zaś wyręczał go także w polowaniu, którego trofea szły zawsze na rachunek tamtego. Zahaszczuk wolał od sławy honoraria, pobierane od każdej ubitej sztuki i martwił się jedynie tym, iż dotychczas nie spotkał żbika, za którego miał obiecane aż pięćdziesiąt złotych.

Okres tych „żniw” skończył się jednak niebawem, nastał ochronny czas dla zwierzyny, lecz ci dwaj znad Zatoki Żbików ani myśleli wyjeżdżać. Wnet gruchnęło po wsi, że *Amerykaniec* został tutaj, gdyż chce się żenić z dworską gospodynią. Potwierdzały tę pogłoskę jego częste wizyty we dworze, aliści włóczący się wciąż po lesie Zahaszczuk ujrzał raz Erdsona rozmawiającego konspiracyjnie w gąszczu bynajmniej nie z panną Balbiną, tylko ze śliczną żoną tego czarnego Żyda-nie-Żyda, który wciąż leżał chory. Nie całowali się co prawda, nie było między nimi żadnych

czułości, na których oglądanie już cieszył się w duchu, jednak przechadzali się długo *pod pachę* a potem rozeszli się w różne strony, zerkając podejrzliwie dokoła.

Wszystko to podsycalo ciekawość Dmytra, który w końcu powrócił do swej pierwotnej hipotezy, że jednak ci dwaj chcą przekraść się do Rosji, tylko czekają aż śnieg staje, by ślady ich przeprawy nic były widoczne. Czekał więc także, czekał nawet przez cały marzec, aby ziemia trochę obeschła i codziennie zjawiał się przed dawną leśniczówką, by pomagać tu w sprzątanii. *Amerykaniec* płacił mu za to tytoniem, lecz nigdy nie zapytał o nic z tego, co stanowiło specjalność Zahaszczuka. Zainteresował się za to nader żywo tym, jaka jest średnia głębokość tej części rzeki, wynajął sobie łódź i we trzech przez pół dnia kręcili się w kółko po Zatoce Żbików, sondując wodę raz po raz żerdkami.

— All right — rzekł w końcu Erdson — choćby nawet woda z roztopów opadła jeszcze z półtora jarda, nasze hydro będzie mogło spokojnie tu wodować i na rozbieg przy starcie także miejsca jest dosyć.

— Że co, panoczku? — spytał Dmytro, nie pojmując, o czym mowa.

Wreszcie wykombinował, iż oni chcą do Rosji dostać się wplaw i zaczął im to gorąco odradzać, polecać znowu swoje usługi. Wyśmiali go, zwymyślali, skrzyczeli tak, że po raz nie wiadomo który przyczepiła się doń myśl, iż ta historia z Chinką przyniosła mu pecha. Pół roku minęło od owej przeprawy i od pół roku nie miał ani jednego klienta, choć dawniej szmuglował przez granicę przeciętnie dwie osoby na kwartał, a przed pierwszymi śniegami jeszcze więcej.

Uważał to za wielką niesprawiedliwość losu, bo przecież nie z jego ręki padł ów fatalny strzał. Chciał ją zabić, to prawda. W tym celu zaprowadził ją i posadził... niby to dla

odpoczynku... na brzegu trzęsawiska, do którego po zbrodni zamierzał zepchnąć jej zwłoki. Tremę miał szaloną, jak to bywa przed każdym debiutem. Głos mu dygotał i chrypiał, kiedy zaczął mówić ni przypiął, ni przyłatał, że nikt by nie posłyszał jej wołania o pomoc, gdyby on ją mordował tutaj.

— Zabij, byle szybko — odparła spokojnie — pamiętaj tylko, że będziesz miał na sumieniu dwa życia ludzkie, nie jedno!

Nie zrozumiał tego w pierwszej chwili, musiała więc powiedzieć wyraźnie, iż jest w odmiennym stanie. Kiedy przysięgła mu, że mówi prawdę, Dmytro ją całował ją po rękach i błagał o przebaczenie za swoje zbrodnicze zamiary; chciał ją sprzątnąć, obrabować, nie przeczył, ale nie miałby sumienia zabić brzemiennej kobiety. Boże, Boże, jakie to szczęście, że ona mu wyznała, iż będzie matką!

Trudno dociec, ile w tych słowach było skruchy, a ile zabobonnego lęku przed odwetem losu, który według jego pojęć wywarłby zemstę głównie na jego dzieciach. Tak, czy owak, Dmytro Zahaszczuk z podobną troskliwością, jak Lan Cheng, nie prowadził dotychczas żadnego spośród swoich klientów ku granicy. Zaledwie jednak przekroczył ją i pożegnał się z Chinką, wskazawszy jej dalszą drogę, padł strzał. Ze swej kryjówki w gąszczu krzaków Dmytro widział strażników sowieckich, którzy niebawem odnaleźli zabitą czy ranną dziewczynę i ponieśli ją ku swej wartowni.

Przez kilka tygodni po tym wydarzeniu Dmytro nie mógł się uspokoić. Jakiś głos wewnętrzny szeptał mu wciąż, że to z jego winy stało się nieszczęście, bowiem gdyby nie ów półgodzinny postój nad trzęsawiskiem, Chinka byłaby minęła granicę przed nadejściem patrolu. Dlatego to ze dworu na próżno posyłano tyle razy po Zahaszczuka, który wówczas był rzadkim gościem nawet we własnej chałupie i wałęsał

się wciąż po lasach. Aż raz natknął się na Krysię, która zaczęła go indagować o Chinę. Odparł, iż doprowadził ją szczęśliwie do granicy, lecz jak tej *Kitajce* poszło dalej, tego on nie wie, za to ponosić odpowiedzialności nie może.

Krysia uznała tę odpowiedź za wystarczającą, z jej strony nie groziło mu żadne doniesienie do władz, ale los zawział się na niego wyraźnie; już ów drugi *Kitajec*, Kyo, poszedł ku granicy z innym przewodnikiem, potem upłynęła reszta października, listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec i nikt nie skorzystał z wiadomych usług Zahaszczuka. Nawet ci dwaj znad Zatoki Żbików, pomimo tak dawnej znajomości, nie darzyli go zaufaniem i rozmawiali przy nim w jakimś cudackim języku. Nadstawiając dobrze ucha, zdołał wreszcie wyłować z tej rozmowy nazwisko, które powtarzali często, a które brzmiało na wskroś z polska: Rodawski...

Witold Rodawski co miesiąc otrzymywał od swoich przyjaciół sprawozdanie, wysyłane przez nich na poste restante za każdym razem do innego urzędu pocztowego w Warszawie, na nazwisko magistra Twardzika. List, jaki od nich dostał 5 marca był wyjątkowo krótki, gdyż:

...o wszystkim pomówimy obszernie tutaj, skoro przyjedziesz. A ponieważ są między innymi sprawy nie cierpiące zwłoki, liczymy na pewno, że zjawisz się w Motyliczach tak, jak obiecałeś w poprzednim liście, najpóźniej z końcem marca...

— Na pewno — mruknął, sięgając po kalendarz. — Wyjadę stąd dwudziestego siódmego, czyli w piątek, przybędę tam w niedzielę i zabawię z tydzień.

Tymczasem na dwa dni przed terminem zamierzonego wyjazdu do Motylicz wkroczyło do biur *Chemipolu* kilku

urzędników skarbowych, których uroczyście miny nie wróżyły nic dobrego. Podobno do Izby Skarbowej wpłynęło doniesienie jakiegoś „życzliwego” bliźniego, że firma *Chemipol* od szeregu lat składa fałszywe zeznania o swoich obrotach i dochodach, wobec czego muszą być przeprowadzone dochodzenia, po czym albo sprawa będzie umorzona, albo skierowana do właściwego sądu.

Tej ostatniej ewentualności Witold nie brał pod uwagę, gdyż miał sumienie czyste, podatki płacił uczciwie, niemniej jednak postanowił zostać w Warszawie aż do ukończenia dochodzeń, aby jego wyjazd nie wyglądał na ucieczkę; a wyglądałby tak już choćby z tego powodu, że Witold nie mógłby powiedzieć nikomu, dokąd wyjeżdża, nie wątpił bowiem, iż agenci brata śledzą go nadal i podstępnie indagują jego najbliższe otoczenie. Ponieważ zaś urzędnicy skarbowi wydelegowani do *Chemipolu* powiedzieli mu, że rewizja ksiąg handlowych potrwa tutaj co najmniej dwa tygodnie, odłożył wyjazd do Motylicz na czas nieograniczony.

Należało jednak zawiadomić o tym przyjaciół i w tym celu Witold napisał do nich sążnisty list, z którego wysłaniem miał, jak zawsze, trochę kłopotu. Był przekonany, że gdyby wrzucił go do pierwszej lepszej skrzynki pocztowej, przejrzano by jej zawartość dokładnie na rozkaz agenta, chodzącego za nim krok w krok i tego samego dnia major Bolesław Rodawski wiedziałby, gdzie zaszyli się Demmerowie oraz Riano Baldi. Do tego oczywiście nie mógł dopuścić, dlatego też przy tak prostej czynności jak wysłanie listu zastosował następującą skomplikowaną procedurę:

Po południu wyjechał autem na spacer bez szofera, za to z magistrem Twardzikiem, którego usadowił w tylnej klatce swej limuzyny i któremu polecił obserwować przez okienko nad oparciem samochodu, jakie będą jechały za nimi. W

centrum Warszawy było takich wehikułów oporo, lecz pozostało ich zaledwie cztery, gdy minęli Belweder.

— Jakie? — spytał Witold, siedzący przy kierownicy.

— Dwie teksówki, jeden prywatny wóz i jeden ciężarowy — odparł Twardzik, który w wymowie zastępował każde *a* literą *e*.

— Niech pan ma na oku głównie ten *prewetny*, że tak powiem „z angielska”. Teraz dodam gazu, by tamtych pogubić.

Rzeczywiście „zgubił” wnet obydwie taksówki, ciężarówka skręciła w jakąś przecnicę jeszcze przed roгатką, lecz prywatne auto pędziło dalej. Dopiero w połowie drogi do Wilanowa zdołał Witold rozgrzać swój motor tak, że tamten drugi samochód zaczął zostawać w tyle i odtąd dzieląca obydwia wozy przestrzeń wzrastała już stale.

— Zniknął, penie derektorze — oznajmił z radością Twardzik, kiedy za Wilanowem wydostali się znów na prosty odcinek szosy. — Nie. Jest jeszcze.

— Aha, sprawili sobie silniejszy wóz do deptania mi po piętach, ale ja mu i tak ucieknę na stosowną odległość.

Prowadzenie samochodu w szalonym pędzie nie przeszkadzało Witoldowi w pouczeniu magistra Twardzika, który dziś przy wysyłaniu listu do Demmerów miał wykonać ważniejszą czynność, niż zazwyczaj.

— Gdy będziemy mijali Konstancin, zwolnię trochę, a pan wyskoczy w biegu, pośpieszy na tamtejszą pocztę i wyśle z niej list polecony, który panu za chwilę dam. Dokonawszy tego, wróci pan kolejką lub autobusem do Warszawy. Rozumie się, że o całej tej historii nie wolno panu mówić nikomu, a dowód nadania listu odda mi pan jutro w biurze. Zrozumiał pan?

— Teeek, penie derektorze — odparł Twardzik nieco

placzkliwie, gduż przerażała go perspektywa skoku z pędzącego auta.

Bał się niepotrzebnie, wszystko poszło gładko. Przystanąwszy za rogiem jakiejś willi, widział ów drugi samochód, który bez zatrzymania się w Konstancinie popędził dalej za limuzyną Witolda. Witold zaś umyślnie jechał tu wolniej, aby wyłącznie na siebie ściągnąć uwagę tajemniczych prześladowców, by wodzić ich nadal po różnych drogach dokoła Warszawy i zapewnić zupełną swobodę ruchów Twardzikowi. W tej kalkulacji nie przewidział tylko jednego, mianowicie, że pan magister zakochał się ostatnio w jakiejś *niebanalnie ładnej oraz czarownej pannie Jadzi*. Ta panna Jadzia w spisie agentów podlegających majorowi Bolesławowi Rodawskiemu figurowała skromnie jako *E-50*. Ta panna Jadzia swojego czasu inwigilowała Aleksandrę Thorne, grając rolę jej pokojówki, teraz zaś uwodziła magistra Twardzika. Nazajutrz po jego eskapadzie do Konstancina zapytała go, dokąd wyjeżdżał wczoraj tak piękną limuzyną.

— Skąd pani wie, że wyjeżdżałem?

— Widziałam pana, bo właśnie przechodziłam koło Belwederu. Do Wilanowa się jeździło... z kobietą, co? i

Urządziła mu na poczekaniu scenę zazdrości, zagroziła zerwaniem przyjaźni, wobec czego wyśpiewał wszystko, prócz dwóch szczegółów; zapomniał powiedzieć, iż ów list Witolda Rodawskiego wysłał jako polecony i zapomniał jak zwie się miasteczko, w którym na poste restante miała list odebrać adresatka, niejaka Balbina Chorska czy Choróbska.

— A jak brzmi nazwa odnośnej miejscowości, pan nie wie?

— Nie wiem faktycznie, panno Jadziuniu. To zنعzy wiedziałem, ale wyfrunęło mi z głowy.

— Gdy przyfrunie na powrót, pocałuję pana w usta dwa razy!

By zdobyć tak cenną premię, magister Twardzik prężył swoją mózgownicę całymi dniami, walił łbem o ścianę, lecz wszystko na próżno.

— Dokądże je wysłałem ten przeklęty list?!

Tymczasem panna Balbina Chorska dawno już odebrała w Dawidgródku ów list i dawno go przeczytali wszyscy w Krysinyńskim dworcu, tylko nie wszyscy byli zadowoleni ze stanowiska, jakie zajął Witold. Bowiem chociaż godził się na krótki wyjazd swoich przyjaciół do New Yorku na ślub Balbiny, to jednak stanowczo odradzał wszelkie pertraktacje z amerykańskimi kapitalistami w sprawie eksploatacji bezgłosego pioruna oraz innych wynalazków.

— Ma rację — mruknął Otto Demmer, przetrawiwszy w myśli kontrargumenty Witolda. Tego samego zdania byli Riano i Hans.

— Och, wujcj... to jest on, ma rację zawsze! — zawtórowała im z zapalem Krysia Motyło.

— Tak, ma słuszność — rzekła pani Oleńka z ironią — lecz z punktu widzenia własnej korzyści! Nic go nie obchodzi to, że dłuższy pobyt w tutejszym klimacie może Riano przyplacić życiem! Ani to, że wy wszyscy moglibyście w Ameryce zarabiać świetnie! Ani to, że tam oddychalibyście swobodnie, podczas gdy tutaj żyjecie w wiecznym strachu! — mówiła ze wzrastającym wzburzeniem. — A wiecie, dlaczego ten egoista skazał was na taką wegetację? I dlaczego przeciwny jest waszym pertraktacjom z jakimś amerykańskim przemysłowcem? Dlatego, że jego miejsce chce zająć sam! Sam zamierza zrobić miliony na waszych wynalazkach!

Wybuch ten wywołał gorące protesty, długą polemikę,

którą Erdson nazwał później niepotrzebną gadaniną.

— Grunt, że nasz gremialny wyjazd jest postanowiony — rzekł — znalazłszy się sam na sam z panią Oleńką — że na to zgodził się ten Rodawski, który ma tak wielki wpływ na pani męża. Gdy zaś będziemy już w Ameryce, pogadamy o interesach i z pewnością dojdziemy do porozumienia.

— Ale trzymam pana za słowo, że Riano dostanie posadę z pensją laską, jaką pan obiecywał i jednorazowo dwieście tysięcy dolarów tytułem...

— Tak, tak — wtrącił Erdson popędliwie — jeśli tylko podpisze kontrakt jaki pani pokazywałem.

— Podpisze na pewno, ja w tym... Kiedy odjazd?

— Trudno mi datę określić dokładnie, bo jacht jeszcze nie minął Kanału Kilońskiego. Gdy przybędzie do Gdańska, wyjadę tam, aby wszystko przygotować i wrócę tu po was samolotem. Na razie czekam na depezę ze statku.

Depesza nadeszła do Dawidgródka dopiero dnia 31 marca, skąd przywiózł ją Abdul Bagal. Tegoż dnia Balbina Chorska obchodziła swoje imieniny, dla uświetnienia ich przygotowała „galowy” obiad, w którym jednak nie wziął udziału „kochający narzeczony”. Zamiast niego przybył do dworu Dmytro Zahaszczuk z krótkim listem od Erdsona usprawiedliwiającego swą nieobecność wyjazdem do Gdańska na skutek otrzymanego dziś telegramu.

— To zły znak — rzekła zasmucona solenizantka.

Pani Oleńka przeciwnie, nie posiadała się z radości. Nareszcie sprawa ruszyła z miejsca, teraz należało tylko dopilnować, aby wszyscy tu byli gotowi do wyjazdu i tę funkcję Erdson właśnie jej zlecił, dodając:

— Proszę wciąż pamiętać o tym, iż samolot może tu pozostać najwyżej przez jedną noc. Już jego pojawienie się wywoła w okolicy taką sensację, że nazajutrz gotowa nam

spaść na kark policja!

Na podróż z Motylisz via Dawidgródek, Pińsk i Warszawę do Gdańska, wraz z załatwieniem pewnych spraw na statku przysłanym przez Samuela Forbana, preliminował Erdson cztery dni, na powrót do Motylisz hydroplanem także należało coś doliczyć, mógł zatem obiecać, że zjawi się tutaj najpóźniej w niedzielę, 5 kwietnia. Tego dnia pani Oleńka raz po raz spoglądała na niebo, wypatrując na nim ciemnego punktu, który by rósł w oczach i przybierał kształty samolotu, lecz na próżno. Nazajutrz po południu pobiegła nad Zatokę Żbików, pozostała tam aż do zachodu słońca i znowu spotkała ją ten sam zawód.

— Może samolot miał jaki defekt i musiał gdzieś po drodze lądować, względnie wodować? — przypuszczał Hans.

Ani gazety, ani dzienniki radiowe nie potwierdziły tej wersji, a przecież jakakolwiek katastrofa obcego samolotu na terenie Polski byłaby sensacją zbyt wielką, by ją pominąć milczeniem. W środę staremu Demmerowi znudziło się próżnowanie; na powrót rozpakował kuferek z narzędziami, który mieli zabrać w podróż i znowu wziął się do roboty, ku rozpaczy pani Oleńki, która pragnęła utrzymać tu nadal „stan ostrego pogotowia”.

— Rozmówię się ze służącym Erdsona — postanowiła. — Może on ma od niego jaką wiadomość. Zaraz po południu pójde nad Zatokę Żbików.

Fatygowała się tam niepotrzebnie, służący Erdsona pozostał „niewidzialny”, jak był nim dla gości Krysi Motyło zawsze, a już przed panią Oleńką krył się najtroskliwiej. Nie tylko dlatego, że tak nakazał Erdson, kiedy dowiedział się od Abdula, co go dawniej z nią łączyło; Abdul Bagal nazbyt stęsknił się za przyrzeczoną mu przez Forbana honorarium, aby chciał ryzykować spotkanie, które mogłoby zniweczyć

wszystkie jego dotychczasowe wysiłki.

— Ty mi zresztą nie uciekniesz, ptaszynko — mrucał, patrząc z kryjówki na dawną kochankę. — Gdy zainkasuję tych sto tysięcy dolarów, odbiorę cię makaroniarzowi, choćby mi go przyszło zakatrupić... Oby tylko mój kiepsko ochrzczony towarzysz powrócił jak najprędzej!

W dwa dni później, czyli w Wielki Piątek, wpadło Bagalowi do głowy, że Erdson nie wróci tu już nigdy, że zapewne skradł plany wynalazku, wobec czego w znacznej mierze osiągnął zamierzony cel. Plany było mu nieporównanie łatwiej stąd wywieźć, niż tyle osób, z którymi miałby tysiące kłopotów po drodze, nie mówiąc już o szmuglowaniu ich do Stanów Zjednoczonych; przecież żadna z tych osób nie posiadała paszportu!

— Ten gudłaj z pewnością od początku reflektował tylko na plany lub ich kopie, a wszystko, co gadał o statku, o samolocie, o żądaniu Forbana, by mu przywiózł koniecznie Baldiego, było łgarstwem! Łgarstwem obliczonym na to, by mnie wykiwać! O, ty parchu!

Godzinny monolog w tym stylu rozdrażnił Bagala tak, że gdyby wówczas ujrzał Erdsona, zmasakrowałby go, zanimby tamten zdążył cokolwiek rzec na swoje usprawiedliwienie. Lecz Erdson znajdował się na statku i, nie mniej zniecierpliwiony niż wszyscy tutaj, czekał na uspokojenie się morza, bez czego realizacja jego planu była niemożliwa. Nie znalazłszy kozła ofiarnego, Bagal musiał zadowolić się konfiskatą pozostawionego przezeń na stryszku bagażu; przeglądając go stwierdził, że duży termos napełniony jest cieczą, przypominającą kolorem kawę, a w smaku gin.

— Ki diabeł? Dżyn, czy nie džyn?

Sumienna analiza podejrzanego płynu wykazała, że termos nie był umyty po kawie, zanim do niego wlano gin,

który w trakcie tych badań Abdul wysączył do dna. Gin to bardzo mocna wódka, więc po tej libacji Bagal zasnął od razu i zbudził się dopiero nazajutrz po południu.

— Czy teraz jest wczoraj, czy dziś? — zastanawiał się przez chwilę, gdyż pamiętał, że kiedy zasypiał, ciężkie deszczowe chmury zakrywały niebo, które obecnie było niepokalanie błękitne. — I gdzie podział się mój nadworny kucharz? Na pewno znów zasnął z wędką w brudnej łapie...

Poszedł szukać Zahaszczuka, zaledwie jednak wkroczył pomiędzy wysokie trzciny porastające tu większą część brzegu rzeki, z lasu wyszła pani Oleńka. Była ubrana odświętnie, zapewne ze względu na rezurekcję, lecz minę miała posępną, jak nigdy. Z wzrokiem wbitym w ziemię szła zamyślona tak, że raz po raz zbaczała ze ścieżki; dopiero gdy zahaczyła suknią o jakiś maleńki świerk, zaczęła iść nieco uważniej, kierując się w stronę dawnej leśniczówki, gdzie przedtem mieszkał Erdson.

— Miałem nosa, zem stamtąd wyprysnął. To by był wpadunek, no! — pomyślał Abdul Bagal, ale zaraz zmienił zdanie. — Jaki wpadunek?! Skoro Erdson nabił w butelkę nas wszystkich, to moje spotkanie z nią nic by już zaszkodzić nie mogło. Krzyknęłaby dziewczynka na mój widok, hm, zapewne... O, krzyczałaby długo, głośno, rozpaczliwie, lecz któż to usłyszy tutaj? Chyba tylko Dmytro Zahaszczuk, który nie ośmieli się mi przeszkadzać...

Gdy weszła do dawnej leśniczówki, Bagal zaczął skradać się w tamtym kierunku jak najostrożniej, co zabrało mu trochę czasu. Wynurzył się z oczeretów dopiero po drugiej stronie domu, w którym wciąż panowała zupełna cisza, chociaż zazwyczaj pani Oleńka nucila tu sobie lub głośno przyzywała stale „niewidzialnego” służącego Erdsona.

— Nie przypuszczając, że tym służącym jestem ja,

zaczaiła się dziś na niego szelmutka i czeka ją wielka niespodzianka — mrucał z humorem Abdul Bagal, posuwając się na palcach wzdłuż tylnej ściany domu ku oknu, które było na roścież otwarte od rana.

Uklęknąwszy przed nim, powoli podniósł głowę tak, aby mógł zajrzeć do wnętrza izby. Na jej środku stała leciwa, pokryta kilimem otomana służąca za łóżko Erdsonowi, którą zaraz po objęciu tej kwatery odsunął od ściany ze względu na wilgoć. Na tej otomane twarzą ku drzwiom zwrócona, leżała teraz pani Oleńka, więc Bagal na razie widział jedynie tył jej głowy i jej włosy nieźle ułożone w loczki, i splecione na karczku dłonie, które przez ciągłą pielęgnację (z braku innego zajęcia) doprowadziła w Motyliczach do ideału piękności, spotykanego chyba tylko na kolorowych plakatach reklamujących kremy do rąk. Już sam widok tych owalnych paznokietków lśniących różowym lakierem wśród jasnych jak len włosów, działał podniecająco, cóż więc dopiero mówić o zapachu odurzających perfum, który dzięki przeciągowi płynął stale ku oknu. Bowiem okno to znajdowało się dokładnie naprzeciw drzwi, również szeroko otwartych, a wiosenny wietrzyk dał już znowu, igrając z włosami leżącej kobiety, która w pewnej chwili westchnęła głośno.

— Patrzy na skrawek nieba — myślał Abdul — szuka na nim samolociku, który miał ją wyrwać stąd i przenieść do upragnionego Eldorado. Jeszcze łądzi się biedulka, jeszcze wierzy w obietnice Erdsona...

Wbrew tym przypuszczeniom jej myśli płynęły obecnie całkiem innym korytem. Balsamiczna woń puszczy, zapach mchów, sitowia, traw, trzciny, wodnych lilii parujących w słońcu, ciepłe podmuchy wiatru, radosny świegot ptaków, barwa wody, koloryt leśnego krajobrazu, słowem wszystko,

wszystko przypominało jej teraz inny dzień innej, dawniejszej wiosny. Mieszkała wówczas w Berlinie, a ów niezapomniany dzień spędziła nad jednym z okolicznych jezior, nad Wann-See, nie sama oczywiście! Był z nią pewien student, cudzoziemiec, poznany na jakiejś szampańskiej zabawie, podczas której z żartu przyrzekli sobie wzajemnie nie wypytywać się nigdy o przeszłość, nawet o nazwiska.

— Wiem tylko tyle, że było mu na imię Guido, czyli Veit, ale on wolał zdrobnienie *Wit* — wyszeptała, rozpamiętując te wypadki.

Istotnie tyle tylko wiedziała o nim, gdyż nie tracili nigdy czasu na rozmowy o genealogii czy o stosunkach rodzinnych; woleli mówić o miłości podczas krótkotrwałych z winy Bagala schadzek i od wszelkich słów woleli pieszczoty. Jedyne dłuższe sam na sam udało się im wówczas, gdy Abdul Bagal musiał na dwa dni wyjechać do Hamburga; korzystając z tego, Aleksandra zaproponowała ukochanemu wspólną wycieczkę nad Wann-See, gdzie pozostali przez półtorej doby. Tam oddała mu się po raz pierwszy, tam nazajutrz on oświadczył się jej formalnie i odtąd byli parą najszczęśliwszych pod słońcem narzeczonych, dopóki Bagal nie rozdzielił ich brutalnie...

— Na zawsze, na zawsze — wyszeptała ze smutkiem, który jednak natychmiast ustąpił miejsca innemu uczuciu. — Och, jak ja go za to śmiertelnie nienawidzę, tego łotra, jak ja nim gardzę!

Nie przypuszczała, że Bagal znajduje się tutaj, w odległości zaledwie kilku metrów, że chce jej nową krzywdę wyrządzić i zastanawia się tylko nad tym, czy ma wskoczyć do izby przez okno, czy okrążyć dom, aby wejść drzwiami i zamknąć je za sobą na klucz. Czuła wprawdzie ów trudny do określenia niepokój, jaki ogarnia każdego, na kogo ktoś

długo patrzy z ukrycia, lecz teraz zapisywała wszystko na rachunek wiosny. Podobny niepokój trapił ją co rok, gdy przyroda budziła się z zimowego letargu, więc całkiem naturalnym wydało się jej to dzisiaj i nawet nie próbowała przezwyciężyć w sobie tego uczucia.

— To po prostu głód miłości — sądziła, pragnąc, by nurt wspomnień z berlińskich czasów ogarnął ją znowu. — Podczas wycieczki do Wann-See, pamiętam dokładnie, Wit miał na sobie ubranie piaskowego koloru, w którym było mu nadzwyczajnie do twarzy...

Zmylony nieruchomością pani Oleńki, Bagal uznał, że ona zasnęła i postanowił dłużej nie zwlekać z wykonaniem swych haniebnych zamiarów. Podnosił się właśnie, chcąc wskoczyć przez okno, kiedy po drugiej stronie dawnej leśniczówki rozległo się wołanie:

— Hallo! Jest tam kto? — Potem nieco ciszej: — Skoro drzwi szeroko otwarte, to ktoś powinien być w tym domu.

Na dźwięk tego głosu pani Oleńka drgnęła, podniosła głowę, za to Bagal na powrót przykucnął za oknem co prędzej, klnąc w duchu nieznanego intruza, którego „diabli przynieśli” w te strony w takim momencie. Tamten zaś zbliżał się tutaj, jak można było wnosić z silniejszego brzmienia jego dźwięcznego energicznego głosu:

— Hej tam, Kaśka, Horpyna czy inna Prakседа! Któreś tu można trafić do dworu, bo błędzę od paru godzin i...

Pani Oleńka zerwała się na równe nogi. W parę sekund później Bagal także spostrzegł zdążającego ku leśniczówce mężczyznę w ubraniu piaskowej barwy; ów zaś przyspieszył kroku, dotarł aż do progu i tu stanął jak wryty. Sporo czasu upłynęło, zanim zdołał wykrztusić:

— Na Boga, Oleńka, czy to ty, czy...

— Ja, Wit, jaaa! — krzyknęła, biegnąc ku niemu.

Padli sobie w objęcia, ku serdecznej wściekłości Bagala, który dopiero po dłuższej chwili zdołał sobie przypomnieć, skąd zna tego człowieka. Tymczasem tamci dwoje mocno przytuleni do siebie, milczeli zawzięcie, jak gdyby nie potrafili znaleźć słów dla wypowiedzenia swojej tęsknoty i swojej radości z powodu tak nieoczekiwanego spotkania. Wreszcie on scałował delikatnie łąy z jej oczu, potem cofnął się o krok, jakby chciał objąć ją całą spojrzeniem i zaczął się dopytywać chaotycznie:

— Oleńka, czy to prawda, że ty stoisz przede mną? Skąd wzięłaś się tutaj? Co robisz? Kiedy tu przyjechałaś? Tu mieszkasz?

— Cicho, Wit, cicho — odparła, zarzucając mu ręce na szyję. — O nic nie pytaj, nic nie mów, pozwól mi dalej śnić piękny sen o szczęściu. Bo wiem, że to tylko sen, niestety, że gdy przebudzę się, ty znikniesz...

— Ani mi się śniło zniknąć — wtrącił wesóło. — Jechałem z tym zamiarem, żeby pozostać tu z tydzień, ale wobec tak cudownego spotkania...

— Cicho, najdroższy, cicho — błagała go znowu — całuj mnie, pieść, rób co chcesz, tylko nie mów, gdyż słowa zbudzą rzeczywistość, o której zawsze miło zapomnieć choć na chwilę... Och, Wit, nogi uginają się pode mną, trzymaj mnie mocno lub odprowadź mnie tam, niech odpocznę.

Wzrokiem wskazała tapczan i Bagal ledwie zdążył ukryć głowę za parapetem okna. Uznawszy dotychczasową kryjówkę za mało bezpieczną obecnie, opuścił ją na czworakach, a za węglem domu przystanął niezdecydowanie. Zjawienie się Witolda pokrzyżowało mu na dzisiaj łajdackie plany, przede wszystkim więc postanowił spłatać jakiegoś „figla” szczęśliwemu rywalowi. Lecz jakiego? O, nad tym człowiek tego pokroju, co on nie potrzebował zastanawiać

się zbyt długo...

Dmytro Zahaszczuk rzeczywiście zasnął nad wędką i omal nie skulnął się do wody, kiedy na ramię spadła mu ciężka pięść.

— Ja tolko rybku łapał, panoczku, mału rybku — rzekł przerażony, zanim jeszcze odwrócił głowę i spostrzegł nad sobą „lokaja” tego *Amerykańca*.

— Mów ciszej, albo utopię cię, jak parszywego kota! - syknął Abdul Bagal, podnosząc go za kark z ziemi. — Uważaj, co powiem. Pobiegniesz natychmiast do dworu z tym liścikiem, ale wręczysz go tylko panu Baldiemu. Temu, wiesz, czarnemu, co do niedawna pluł krwią.

— Znaju, panoczku, znaju.

— Powiesz mu, że to bardzo pilna wiadomość i przyprowadzisz go do tego tu domku, rozumiesz? Tu musicie iść jak najciszej, a przez las jak najszybciej. Jeżeli spiszesz się dobrze, dam ci dwadzieścia złotych! To już wszystko i teraz pędź do dworu galopem!

Gdy Dmytro Zahaszczuk dopadł lasu, Bagal obejrzał się w stronę dawnej leśniczówki, zachichotał cicho, długo, złowrogo.

— Gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci korzysta — mruknął. — Skoro wy dwaj porzbijacie sobie o nią łby, dziewczynka potulnie wróci do mnie.

ROZDZIAŁ XXIV

Również w Wielką Sobotę i prawie o tej samej porze, lecz w Warszawie, magister Twardzik miał znowu ciężką przeprawę ze swoją panną Jadzią. To miłe dziewczę było stanowczo nazbyt ciekawe, tylko dzisiaj „dla odmiany” zamęczało go pytaniami, dokąd mógł wyjechać jego chlebowca.

— Może do Chin — odparł w końcu — bo z Chin dosteł list, przez który, niewiem mówiąc, miałem streszne nieprzyjemności.

W nawale pracy, magister Twardzik porządkując stertę korespondencji handlowej, jaka nadeszła do firmy *Chemipol*, otworzył także list prywatny, zaadresowany do Witolda Rodawskiego, który mu za to zmył głowę porządnie. List ów był napisany po angielsku, lecz pan Twardzik uczył się tego języka pilnie od dwóch miesięcy i tylko dla pogłębienia studiów lingwistycznych zapoznał się z treścią tego listu, do czego oczywiście nie przyznał się szefowi. Za to pannie Jadzi musiał powtórzyć wszystko, co zapamiętał, by zaspokoić jej *patologiczną* ciekawość.

List pisała Chinka, prawdopodobnie dobra znajoma Rodawskiego, skoro w końcowym ustępie wyraziła się: *całuję cię najserdeczniej*. „Całowała” tak samo jakichś Demmerów, jakichś Baldich, o ile dobrze zapamiętał te cudzoziemskie nazwiska, jakąś Krysie i jej ciotkę Balbinę...

— Balbinę Chorską lub Choróbską, czyli tę samą, do

której wówczas Rodawski wysyłał swój list — przemknęło przez myśl pannie Jadwidze. — Widzę, że pańska praca nad treningiem własnej pamięci robi postępy — pochwaliła Twardzika, który aż zarumienił się z zadowolenia. Jestem więc pewna, iż oprócz nazwisk tych osób, spamiętał pan samą treść listu.

— Fektycznie tak jest, penno Jedziuniu.

Chinka pisała podobno, że podczas przekradania się przez granicę polsko-rosyjską została postrzelona przez sowieckiego strażnika. Kula przebiła jej ramię na wylot, raną odwieziono do szpitala, skąd po wyzdrowieniu trafiła do więzienia. Na szczęście jakiś inny Chińczyk, nazwiskiem Kyo czy Pyo zdołał tymczasem dotrzeć do Moskwy, do chińskiej ambasady, która przez swoje interwencje u miarodajnych władz przywróciła wolność uwięzionej rodaczce i na swój koszt odesłała ją do ojczyzny. Tam ona przebywa obecnie, lecz jeszcze nie pracuje, gdyż zaszła pewna przeszkoda *netury berdzo deliketnej*.

— Mianowicie?

Panna Jadzia chciała wiedzieć wszystko i nieco zażenowany magister Twardzik musiał wyjawić ów „deliketny” szczegół, że Chince właśnie urodził się syn, podobny łądząco do swego nieślubnego ojca, jak napisała *bezwstydnie*. Panna Jadzia od razu wysunęła hipotezę, że ojcem tego dziecka jest Witold Rodawski, przeciwko czemu magister Twardzik stanowczo oponował.

— On nie cierpi kobiet.

— Takiego, co niby kobiet nie cierpi, najłatwiej ujarzmić jak wskazuje przykład Judyty i Goliata.

Jak z tego widać, pannie Jadzi wywietrzały już z głowy biblijne historie, lecz omyłkowe skojarzenie przez nią właśnie Goliata z mężną Judytą wywołało nieoczekiwany

skutek; magister Twardzik skupił się, natężył i zaczerwienił niczym poeta przed improwizacją, potem drżącym głosem poprosił swoją Dulcyneę by mu przypomniała, jak brzmiało nazwisko słynnego w starożytności zapaśnika, który znokautował Goliata.

— Salomon albo Gedeon.

— Nie, nie, jakoś krócej. On był niskiego wzrostu i zdobył mistrzostwo w procy. Jakże mu było, temu żydowskiemu sportsmenowi?

— Nie rozumiem, co panu zależy na tym, czy ten jegomość wabił się Jozue, czy Abraham, czy Dawid, czy...

— Dewid! Dewid! — wtrącił ucieszony. — A więc Dewidgródek!

— Co, Dawidgródek?

Pan Twardzik był trochę zdziwiony niedomyślnością Jadzi; zanudzała go od dwóch tygodni, by jej wymienił nazwę miejscowości, w której owa Balbina odbiera listy od Witolda Rodawskiego, teraz zaś, gdy przypomniał sobie nareszcie, że nazwa ta brzmi: Dawidgródek, ona niby nie wie, o co idzie. Dobrze wie na pewno, tylko chce wykręcić się od przyrzeczonych mu w nagrodę całusów, ale on z nich nie zrezygnuje, o, nie!

— O tym potem. Czy pan jest pewny, że Dawidgródek?

— Peni nie wierzy mej świetnej pamięci? — rzekł, dotknięty jej powątpiewaniem. — Wobec tego żeluję, że nie mam już receptu tego listu...

— Więc to był list polecony? — krzyknęła. — Dlaczego pan nie powiedział mi o tym wcześniej?! Zapomniał pan, czy...

— Tek, penno Jedziuniu, faktycznie...

— Cymbał!!

Zanim magister Twardzik przyszedł do siebie po tym

epitecie, który ogłuszył go prawie tak, jak Goliata kamień z procy Dawida, panna Jadzia pędziła już autem do Konstancina. Tam, wylegitymowawszy się kierownikowi urzędu pocztowego, kazała sobie przedstawić talony z kopiami receptisów tych wszystkich listów, które były stąd wysłane dnia 27 marca i niebawem znalazła, czego szukała, czyli stwierdziła, że Twardzik powiedział prawdę.

— Adresatka rzeczywiście nazywa się Chorska i listy od pańskiego brata odbiera na poste restante w Dawidgródku — zameldowała w półtorej godziny później majorowi Bolesławowi Rodawskiemu. — Czyli gdzieś w okolicy tego miasteczka ukrywają się nasi dezercerzy.

— Nie wszyscy — westchnął major — bo, jak wynika z opowiadania Twardzika, Chinka Lan Cheng szybko skorzystała z bliskości granicy. No, lecz pozostali przyjaciele mego braciszka są dla nas ważniejsi!... Czy pani ich pozna, choćby trochę zmienili swój wygląd?

— Sądzę, że tak, panie majorze. Przyglądałam się im uważnie wówczas, gdy w mieszkaniu Aleksandry Thorne pomagali jej pakować rzeczy przed ucieczką, a mnie zakneblowali usta tak, że omal się nie udusiłam.

— Dzięki temu zyskaliśmy jeszcze jeden pretekst do aresztowania ich i trzymania pod kluczem przez odpowiednio długi czas. Ponieważ zaś mamy właśnie święta, zrobimy sobie krajoznawczą wycieczkę na Polesie.

— Rozkaz, panie majorze.

— Wyjedziemy jeszcze dzisiaj, by na jutro być w Pińsku. Żegluga rzeczna zajmie nam mniej czasu, niż cywilom, gdyż zamówię sobie motorówkę. Niemniej jednak stracimy całą niedzielę i dopiero w poniedziałek rano zaczniemy szukać w Dawidgródku kogoś, kto zna bliższy adres Balbiny Oborskiej.

— W takiej dziurze na pewno wszyscy znają wszystkich.

— Tym lepiej dla nas... Zatem, jeśli gładko pójdzie, to również w poniedziałek nakryjemy tych niebezpiecznych maniaków. Gorąco się im robi, zwłaszcza panu Baldiemu. O, bardzo gorąco!

Bardzo gorąco było Baldiemu właśnie teraz, gdy podchodził do okna dawnej leśniczówki, w której, jak wynikało z treści anonimowego doniesienia, miał zastać swoją żonę w zbyt czułym sam na sam z jakimś jej wielbicielem. Wstrząśnięty tą wiadomością nawet zapomniał spytać Zahaszczuka, kto go wysłał do dworu z tym przeklętym listem. O nic nie pytał, tylko biegł ścieżką wydeptaną jeszcze przez Erdsona podczas jego codziennych wędrówek, aż zadyszał się tak, że w obawie przed nowym krwotokiem musiał drugą połowę drogi odbyć żółtym krokiem, opierając się na ramieniu Dmytra. Poleszuk milczał również, rozmyślając o nagrodzie przyrzeczonej mu przez Bagala, dopiero kiedy po dwóch godzinach bardzo powolnej wędrówki dotarli do Zatoki Żbików, oznajmił swojemu towarzyszowi szeptem, że teraz ma dalej iść sam i jak najciszej, że powinien obejść dom dokoła i zajrzeć do wnętrza przez okno, bo tego życzył sobie z niewiadomych przyczyn *nadawca* listu.

Riano Baldi machinalnie skinął głową, zrobił, co mu kazano, lecz zanim zbliżył się do okna posłyszał głos żony:

— Kocham go, powtarzam, jestem doń szczerze przywiązana, pragnę, by wyleczył się zupełnie z tej okropnej choroby, którą zawdzięcza głównie tutejszemu klimatowi, słowem życzę mu jak najlepiej...

Riano domyślił się, że mówi o nim i odetchnął z ulgą, gdyż to, co powiedziała, zdawało się przeczyć treści anonimu; niestety, dalszy ciąg jej słów bynajmniej nie brzmiał uspokajająco:

— Ale ty byłeś moją pierwszą miłością, moim pierwszym kochankiem i ty największe masz do mnie prawo.

— Nie, stanowczo nie! — odparł ktoś z wątpliwą energią. — I nie mówmy o prawach, skoro mamy tyle obowiązków. Riano jest twoim mężem, a moim najlepszym przyjacielem. Riano niegdyś ocalił mi życie. Riano...

Riano zaś, który od razu poznał po głosie Witolda, pomimo jego lojalności, jakiej dał wyraz w swej odpowiedzi, poczuł nowy bolesny skurcz serca, gdyż przyszło mu na myśl to samo, co Oleńka wypowiedziała głośno:

— Miłość jest silniejsza, niż wszystko! Ludźmi tylko jesteśmy i zapomnimy o wszelkich obowiązkach, gdy przyjdzie na nas chwila pokusy.

— Nie przyjdzie! Potrafię zabezpieczyć przed tym ciebie, siebie i przede wszystkim biednego Riana.

— Słowa... słowa... słowa.

— Masz rację — rzekł Witold trochę szorstko. — Zamiast załatwiać ważne sprawy, dla których tu przyjechałem, prowadzę z tobą bezpłodną dyskusję od trzech godzin.

— Od dwóch godzin, jeżeli idzie o ścisłość — poprawiła go pani Oleńka i roześmiała się tak jakoś dziwnie, że jej mąż, któremu przed chwilą kamień spadł z serca, zastygł w oczekiwaniu nieuchronnego ciosu — bo przedtem nie klóciliśmy się bynajmniej. O, przeciwnie!

Niebawem odeszli oboje, sprzecząc się po drodze nadal. W godzinę później kula słońca chylącego się ku zachodowi dotknęła szczytów drzew, a Riano Baldi wciąż jeszcze siedział na progu leśniczówki nieruchomy tak, że obserwujący go z ukrycia Bagal zniecierpliwił się w końcu.

— Idźże już stąd, makaroniarzu, żebym mógł nareszcie wrócić do domu i zmienić przemoczone trzewiki, inaczej złapię reumatyzmik — mruknął.

Potem zaczął szeleścić trzciniami, naśladować kukułkę, rzucać kamienie do wody, by jakimś hałasem przerwać zadumę Włocha, lecz na próżno. Dokazał tej sztuki dopiero łoskot silnika samolotu, który dość wysoko nad ziemią płynął w kierunku południowo-wschodnim. Posłyszawszy go, Riano Baldi zerwał się na równe nogi, jednak gdy samolot poszybował dalej, zwiesił głowę i powoli zaczął iść w stronę dworu.

— Nareszcie — ucieszył się Bagal, wychodząc z rzadkiego błota wśród trzcin — nareszcie sobie odpocznę... Ale ten samolocik go zemocjonował, no, no. Mnie zresztą także i na wszelki wypadek dzisiaj znowu zapalę umówione światło, choć nie wierzę, by gudłaj Erdson tu wrócił.

A jednak to był Erdson. Jego pilot, któremu w Gdańsku wskazał na mapie położenie Motylicz, ani na kilometr nie zboczył z kursu, lecz szybując za wysoko, nie zdołali odróżnić małej Zatoki Żbików od innych podobnych jeziorek, stawów, łąk jeszcze zalanych wodą czy ślepych odnóg rzek poleskich. Minęli ją więc, a zrozumiawszy swoją omyłkę, zawrócili, obniżając lot, zaczęli jej szukać i w końcu dostrzegli kolorową latarnię, którą Bagal umieścił na dachu starej leśniczówki. Chociaż pływaki hydroplanu musnęły szczyt jednej z wierzb, rosnących na brzegu, wodowanie odbyło się szczęśliwie, po czym Erdson w gumowym czółnie przepłynął krótką przestrzeń, dzielącą samolot od „przystani”; tak szumnie nazywał cztery deski podparte wbitymi w błotniste dno rzeki kołkami, ulubione miejsce popołudniowych drzemek Dmytra. Nie było go tu obecnie; otrzymawszy od Bagala dwadzieścia złotych, Zahaszczuk uszczęśliwiony popędził od wsi, by kupić dzieciom cukierków i zaopatrzyć w żywność swą domową spiżarnię, pustą, jak

zwykle. Za to czekał w przystani Abdul Bagal.

— Niech pana diabli wezmą — przywitał chlebobdawcę. — Miał pan wrócić czwartego kwietnia, a dziś jest jedenasty! Cały tydzień spóźnienia.

— Nie z mojej winy — odparł Erdson, wychodząc z czołna. — Musiałem odczekać, aż Bałtyk uspokoi się wreszcie i aż statek uzupełni zapasy bunkru, słodkiej wody i prowiantu na podróż powrotną przez ocean.

— To można było zrobić po naszym przyjeździe do Gdańska.

— Sęk w tym, że oni, nie posiadając paszportów, muszą Gdańsk ominąć. W tym celu dziś rano statek wyszedł w morze i zakotwiczył się poza obszarem polskich wód przybrzeżnych, gdzie w umówionym miejscu przyjmie nas na pokład z hydroplanu... No, teraz kolej na pańskie sprawozdanie; cóż tutaj zaszło podczas mojej dwunastodniowej nieobecności?

— Nnnic — odparł Abdul po krótkim namyśle — wszystko w porządku.

— Skoro all right, to zaraz pośpieszę do dworu, by ich zawiadomić, iż wystartujemy stąd dzisiejszej nocy.

Tak rozmawiając, minęli pomostek „przystani”, minęli pas trzciny zakrywających ją od strony brzegu i weszli do dawnej leśniczówki, gdzie Erdson, zapaliwszy lampę naftową, podszedł z nią do lusterka wiszącego na ścianie.

— O, już zarosłem od rana — stwierdził. — Trzeba najpierw ogolić się i odświeżyć trochę po podróży.

— I trzeba uregulować sprawy finansowe ze mną!

— Znowu pan zaczyna?

— Dziś chcę nareszcie skończyć! Według umowy mam dostać sto tysięcy dolarów za doprowadzenie do skutku wiadomej transakcji.

— **Co jeszcze nie nastąpiło!**

— **Ale nastąpi z całą pewnością, skoro Baldi zgodził się wyjechać do Stanów i skoro jego żona dała panu pisemne zobowiązanie, że nakłoni męża do sprzedania wynalazku Forbanowi. Ponieważ zaś powinniście wystartować stąd najpóźniej jutro i ponieważ ja chcę pozostać w Polsce jeszcze parę tygodni, żądam wypłacenia mi całego honorarium natychmiast!**

Podczas gdy Bagal mówił to podniesionym głosem, Erdson zdjął marynarkę, wyjął z neseseru przybory do golenia i zaczął sobie namydlać twarz.

— **A jeśli ja temu żądaniu odmówię? — rzekł spokojnie.**

— **Nie odmówisz, koteczku. — Bagal roześmiał się złowrogo. — Nie odmówisz, bo nazbyt kochasz życie! Czy widzisz, co mam w łapie? Odwróć się.**

— **Po co? Doskonale widzę w lusterku, że wyjąłeś spluwę, lecz gangsterskimi metodami nic ze mną nie wskórasz.**

— **Zobaczymy!**

— **Nie wskórasz dlatego — ciągnął dalej Erdson — że tak olbrzymiej sumy żaden człowiek nie nosi przy sobie.**

— **Ale twoje czeki są jak gotówka. Sam raz chwaliłeś się po pijanemu, iż Forban na koszty tej eskapadki wpłacił na twoje nazwisko sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, którą to kwotą możesz swobodnie dysponować czekami. Z tego wydałeś dotychczas najwyżej dziesięć tysięcy.**

— **Więcej, bo nie liczysz wydatków w Gdańsku, gdzie, nawiasem mówiąc, zostawiłem książeczkę czekową na naszym statku.**

— **Czyżby? Ano sprawdzimy, sprawdzimy.**

Bagal przyskoczył do krzesła, na którym wisiła Erdsona marynarka, przeszukał jej kieszenie, lecz na próżno.

Zauważył natomiast, iż tamten w pewnej chwili zerknął w stronę neseseru, który też został natychmiast przetrząśnięty do dna i z pomyślnym skutkiem.

— Jest książeczka, jest! — obwieścił Abdul tryumfalnie, po czym wskazał Erdsonowi stół. — Siadaj tam i bierz się do roboty.

— Palcem nie kiwnę, dopóki nie dostanę od ciebie kwitu.

— Aha, liczysz na moją nieuwagę. Nie licz na nią, chłopaczkę. Wypiszę ci pokwitowanie, jak się patrzy, lecz pierw dokonamy... — jednym susem, znalazł się tuż przy Erdsonie, który wciąż był tyłem doń zwrócony, wyrwał mu z kieszeni spodni rewolwer — dokonamy rozbrojenia. Tak, teraz ja mam dwie spluwy, ty żadnej, wobec czego mogę spokojnie zabrać się do pisania.

Napisał formalne pokwitowanie, położył obok niego książeczkę czekową i, trzymając stale w lewej ręce broń gotową do strzału, wezwał do stolika Erdsona, który z dobrze udanym spokojem golił się dalej.

— Ponieważ czek na sto tysięcy dolarów byłoby niebezpiecznie realizować w moich warunkach, wystawisz mi czterdzieści czeków po dwa i pół tysiąca każdy, rozumiesz?

Wykonanie tego rozkazu zabrało Erdsonowi dużo czasu, lecz nie popsuło mu humoru; postanowił już sobie, że dzisiejszej nocy sprzątnie Bagala i na podstawie kwitu, jaki od niego dostał, tych sto tysięcy dolarów zgarnie do własnej kieszeni. Aby jednak nie obudzić w nim podejrzeń, udawał przygnębionego, spoglądał nań z nietajoną wściekłością i cofnął dłoń, gdy Abdul, schowawszy czeki, wyciągnął dłoń do uścisku *na zgodę*.

— O co ty się na mnie boczysz, wątpliwy neofito? Czy ta

forsiczka odpłynęła z twojej kabzy, czy z Forbanowej?

— Z jego — przyznał Erdson, coraz bardziej chmurny — ale to, iż zrobiłeś mi ten kawał dowodzi, że coś zaszło podczas mej nieobecności.

— Domyślna szelma. No, skoro już mam pieniądze, mogę ci powiedzieć prawdę; Riano złapał żonę na czulej randce z Witoldem, który tu dziś przyjechał. Teraz obydwaj albo w ciemnym pokoju strzelają do „kukułki”², albo ciągną węzełki, który ma się powiesić, albo jeszcze piją na umór, aby nabrać odwagi przed walką na noże.

Abdul Bagal sądził bliźnich według siebie, lecz rzeczywistość nie odpowiadała żadnemu z jego trzech makabrycznych przypuszczeń. W tej chwili w Krysinym dworku całe towarzystwo siedziało przy stole zastawionym obficie z racji święconego, pomimo to jednak nastrój tu panował minorowy. Nawet Hans Demmer, zawsze najbardziej rozmowny spośród domowników, dzisiaj milczał uparcie i bardziej niż kiedykolwiek dotychczas bolał w duchu nad tym, że Francis Erdson nie wraca.

Gdy po ucieczce z Warszawy schronili się do Motylicz, Hans szalał z radości, bo sądził, że tu najłatwiej będzie mógł nawiązać romans z Krysią, którą w mieście widywał tylko sporadycznie. Tymczasem okazało się wnet, iż mieszkanie pod wspólnym dachem jest w tym raczej przeszkodą, niż pomocą. Ile razy „wykombinował” jakieś sam na sam z młodziutką panią domu, zjawiał się ktoś z licznych domowników, a już najczęściej stary Demmer i znowu długo, długo trzeba było czekać na chwilę rozmowy bez świadków.

— Ha, skoro nie można za dnia, spróbuję w nocy — zdecydował.

W zabójczo pstrokatej piżamie, którą skropił perfumami ściągniętymi pani Oleńce, wtargnął pewnego wieczora do

pokoju Krysi. Zbudziła się, ledwie zdołał przekroczyć próg, wyskoczyła z łóżka, pochwyciła wiadro wody stojące przy umywalni, całą jego zawartość wylała na osłupiałego intruza, krzycząc równocześnie, co tchu w płucach: — Ciociu, lunatyk! Prędko wody, dużo wody, ciociu, bo lunatyk wylezie na rynnę i zabije się na śmierć! — Czy kpila sobie z niego, czy naprawdę uwierzyła w jego somnambuliczne skłonności, Hans nie dowiedział się dotychczas. Kiedy zaś w tydzień później powtórnie próbował „zabłądzić” do Krysinej sypialni, zastał jej drzwi zamknięte na klucz i ani mu przez myśl nie przeszło, że jego rodzony ojciec namówił dziewczynę do zamykania się na noc, czego nigdy dawniej nie czyniła.

Potem przestał już liczyć na donżuańskie sukcesy w mieszkaniu „tak gęsto zaludnionym”, za to w każde pogodne południe organizował przechadzki po lesie. Krysia brała w nich udział najrzadziej, gdyż jeżeli nie była zajęta w laboratorium, konferowała ze swoim ekonomem; skoro zaś już wyszła na spacer, nie odstępowała na krok od pani Oleńki, która najbardziej nudziła się w Motyliczach i którą czuła się w obowiązku bawić rozmową. Wytrwały Hans nie dał za wygraną, czatował, polował na okazję, aż raz przecież dopadł Krysię samą; siedziała na pniu ściętego drzewa, prowizorycznie naprawiając zerwaną podwiązkę. Powiedział wtedy jakiś komplement o jej zgrabnych nogach, a gdy spłoszona jego nadejściem nakryła je płaszczem co prędzej, pochwalił się, że niegdyś widział znacznie więcej, że podglądał ją podczas kąpieli w Warszawie. Krysia stanęła w pąsach, skoro zaś ochłonęła nieco ze wzruszenia, oświadczyła mu dobitnie:

— Żeby nie święte prawa gościnności, dostałbyś pan w pysk!

Po tym incydencie Krysia unikała wszelkich sam na sam

z Hansem tak zawzięcie, że dopiero dzisiaj, w Wielką Sobotę, przy całym zamieszaniu, jakie wywołało zniknięcie pani Oleńki, a potem Riana, zdołał szukającą ich dziewczynę przydybać w lesie bez świadków. Tym razem zachował się wobec niej całkiem poprawnie, był poważny, uroczysty i w trochę pompatycznych słowach poprosił o jej rękę. Zanim jednak Krysia zdążyła cośkolwiek odpowiedzieć, na ścieżce wiodącej do Zatoki Żbików ukazała się pani Oleńka idąca w towarzystwie mężczyzny, w którym, ku wielkiemu zdumieniu, poznała Witolda.

— W tych przeklętych Motyliczach zawsze mi ktoś przeszkodzi. Och, żeby Erdson wrócił nareszcie i zabrał nas stąd — marzył Hans.

Jeszcze bardziej, niż on, tęskniła za Erdsonem panna Balbina Chorska, więc także dziś nie miała humoru, natomiast pozostałe osoby martwiły się z całkiem innych przyczyn. Jeszcze godzinę temu profesor Otto Demmer nie posiadał się z radości, że Lan Cheng żyje, gdy jednak przeczytał jej list, przywieziony tu przez Witolda, zadumał się smętnie. — Nieślubne dziecko będzie jej kulą u nogi, będzie jej do śmierci przypominało krzywdę, jaką jej mój syn wyrządził — przypuszczał.

Riano Baldi, nawet nie tknąwszy jedzenia, siedział zgarbiony, zbolaty, przekonany, że straci żonę bezpowrotnie. Na twarzy pani Oleńki malował się przede wszystkim strach; zanim weszli do jadalni, zdołała na uboczu szepnąć Witoldowi: — Strzeż się! On już wie, był pod leśniczówką, sam mi to mówił — a teraz z trwogą oczekiwała nieuchronnego, jej zdaniem, starcia pomiędzy przyjaciółmi-rywalami. Witold nadrabiał miną, podtrzymywał rozmowę, najczęściej zwracając się z pytaniami do Krysi, która w przeciwieństwie do reszty osób, była rozpromieniona z

radości. Dlaczego, to miało wyjaśnić się niebawem.

Gdy podano wino, Witold palnął sobie mowę o wartościach prawdziwej przyjaźni, która powinna szybko zbudować most nad każdą przepaścią, jaką życie niekiedy próbuje rozdzielić przyjaciół. Pani Oleńka wcześniej niż jej oswiały dziś mąż domyśliła się, do kogo to było wypite, lecz nie przeczuwała jeszcze, co potem nastąpi. Tymczasem *speaker* zaczął mówić o sobie:

— Przybyłem tu, by nacieszyć się wami, moi drodzy, byłbym jednak kłamcą, gdybym twierdził, iż to jest jedyny powód mego przyjazdu. Ponieważ zaś nie chcę mieć przed wami tajemnic, wyznaję już teraz, że rzucam kawalerski stan i żenię się z tu obecną panną Krystyną Motyło, która była łaskawa wyrazić na to swą zgodę właśnie dzisiaj...

— Bravo! — zawołał Otto Demmer. — I pozwólcie, kochane dzieci, że ja pierwszy złożę wam najserdeczniejsze życzenia.

Wszyscy powstali, wszyscy poszli w ślady profesora, jak przystało ludziom dobrze wychowanym, ale nie wszystkie życzenia były szczere. Riano patrzył na Krysię z takim współczuciem, jak gdyby uważał ją za główną ofiarę fatalnego splotu wydarzeń. Pani Oleńka z ironicznym uśmieszkiem szepnęła Witoldowi, że bardzo sprytnie chce zabezpieczyć ją i siebie przed pokusami, lecz one i tak będą silniejsze niż wszystko. Rudowłosy Hans z trudem panował nad sobą, gdyż cisnęły mu się na usta słowa zjadliwe, insynuacje, przekleństwa; zacisnął więc zęby, w milczeniu uścisnął dłoń Witolda, Krysi złożył zimny ukłon i wyslizgnął się z jadalni.

Kiedy w dwie godziny później Erdson z Bagalem, wciąż omawiając dalszy plan działania, wyszli przed leśniczówkę, w której pilot chrapał wręcz irytująco, ujrzeli człowieka

wpatrzonego w słabo majaczące na wodzie kontury hydroplanu. Był to Hans. Poznawszy Erdsona, rzucił mu się na szyję i... wybuchnął płaczem.

— Czemu nie wrócił pan wcześniej choćby o dzień — powtarzał, szlochając niemęsko — teraz za późno, za późno!

— Co się stało?

— Wiadomo co — dorzucił Bagal. — Riano wymordował całą famułę.

— Riano? — zdumiał się Hans. — Ależ on by nawet muchy nie zabił. Za to ja... — urwał, a po chwili dokończył patetycznie, — ja dziś jestem zdolny do wszystkiego! Och, pomóżcie wy mi zemścić się na nich!

— Na kim, drogi Hansie? — dopytywał niby współczująco Erdson, kopnąwszy porozumiewawczo Bagala. — Kto miał czelność skrzywdzić pana, mojego najlepszego przyjaciela?!

Młody Demmer zwierzał się chętnie, gdyż przynosiło mu to pewną ulgę, Erdson zaś słuchał uważnie, pragnąc wyciągnąć dla siebie maksimum korzyści z nowego powikłania wypadków.

— Wie pan, co najbardziej zabolę Witolda — rzekł w końcu. — To, jeżeli dzisiejszej nocy odjedziecie stąd bez pożegnania się z nim.

— Tak, ale mój ojciec i Riano nie zgodzą się na taki odjazd.

— Jest na to prosty sposób. Niech pan uważa...

Teraz znów Hans słuchał pilnie, a nazajutrz o godzinie trzeciej nad ranem przystąpił do wykonania planu, który w swym młodzieńczym zaciętrzewieniu i rozgoryczeniu na Witolda, uznał za majstersztyk *kochanego* Erdsona. Wszedłszy do pokoju ojca, zbudził go, szeptem polecił mu ubrać się jak najprędzej, jak najciszej i bez zapalania światła. Dlaczego? Gdyż Witold przez swój przyjazd

mimowolnie naprowadził na trop ich kryjówki agentów polskiego kontrwywiadu, którzy już robią rewizję na folwarku i lada chwila mogą nadejść tutaj, jeśli Witoldowi nie uda się zagadywać ich dłużej. Dosłownie to samo powiedział Baldim, tylko do pokoju Krysi pukał na próżno, gdyż spała ona tym razem u *cioci* Balbiny, z którą do północy zagadała się o swej *szczęśliwości*.

— Ale jak zdołamy stąd uciec? — zatroskał się Riano.

— Bardzo łatwo. Dziwnym trafem, Erdson wrócił właśnie tej nocy. Jego duży hydroplan czeka na nas w Zatoce Żbików.

Wyruszyli tam wkrótce, wszyscy objuczeni bagażem. Na czele szła pani Oleńka, niosąc swoje płaszcze futrzane i neseser z gwiazdkowym podarunkiem Witolda. Za nią postępowali z walizami Riano i obydwaj Demmerowie. Próbkę gazów trujących, wynalezionych przez Hansa trzymał z należnym im respektem Erdson, który, choć zadowolony z pomyślnego zakończenia swoich zabiegów, miał jeszcze dwie troski; lękał się, by Oleńka lub jej mąż nie poznali mimo ciemności Bagala, którego *za skromną dopłatą* zaangażował do pomocy, gdyż nie chciał tak łatwo rezygnować ze swoich czeków i lękał się, że jednak ich nie odzyska, bowiem Abdul przezornie zatrzymał obydwa rewolwery przy sobie.

— Mam nóż, ale z tą bronią byłoby ryzykiem porywać się na takiego dryblasa, nawet w obecnej sytuacji. Przecież on ma ręce wolne!

Mówiąc o sytuacji obecnej, miał na myśli to, że Bagal, jako najsilniejszy w ich gronie, musiał dźwigać najcięższy pakunek bagażu zbiegów, którym był ważący przeszło pięćdziesiąt kilogramów nowy model bezgłośnego pioruna. Model zawinięto w prześcieradło, związano dwoma długimi rzemieniami, więc niosło go się jak plecak, ale ten „plecak”

jakimiś wystającymi śrubami uciskał okropnie. Tak przynajmniej twierdził Abdul i kłął, stękał albo dla odpoczynku przystawał po drodze. Jeden z tych przystanków trwał tak długo, że Erdson z Hansem postanowili zawrócić, aby na kilka minut wyręczyć towarzysza w dźwiganiu niewygodnego ciężaru, a w zamian dać mu swoje pakunki, lecz nie zastali już Bagala w miejscu jego ostatniego postoju. Czyż zmylił drogę?

— Dziwne — mruknął młody Demmer — mnie nawet w nocy nie wydarzyło się to, a teraz już dnieje i ścieżkę widać dokładnie.

— Pssst! Słyszysz pan? — Gdzieś z boku trzaskały suche zeszłoroczne gałązki pod stopami człowieka, oddalającego się stąd szybko. — To z pewnością on! Umyślnie zboczył ze ścieżki, chce ukryć się i przywłaszczyć sobie bezgłośny piorun ten łajdak! — odgadł Erdson. — Pędźmy za nim!

Pozostawiwszy na ścieżce swoje pakunki, skręcili w gęstwinę, zaczęli przedzierać się przez nią pośpiesznie, lecz hałas, jaki przy tym robili, zagłuszał odgłosy ucieczki Bagala. Chcąc ścigać go we właściwym kierunku, przystawali, nad słuchiwali, potem znowu biegli kilkadziesiąt kroków. Teren obniżał się stale, świerków było coraz mniej, za to coraz więcej liściastych drzew dopiero wypuszczających pączki, coraz więcej szuwarów i mokradeł. Właśnie brnęli po kostki w wodzie, dążąc ku długiemu pasowi trzciny, kiedy poza nim zabrzmiał okrzyk przerażenia.

— To jego głos — poznał Erdson, skręcając nieco w prawo.

— Żle. Głos dobiegł stamtąd — twierdził Hans. Wskazał w lewo i, skacząc z kępy na kępę, podążył w kierunku wybranym przez siebie.

Rację miał jednak Erdson. Za ledwie przebił się przez

długie, lecz wąskie zasieki trzciny, ujrzał zbiega zanurzonego w rzadkim biocie po pas i oburącz trzymającego się kurczowo *ostatniej deski ratunku*. Była nią najniższa, prawie pozioma gałąź drzewa rosnącego tuż nad ową zdradziecką topielą, która wyglądała jak płytka, niewinna kałuża. Dlatego zapewne Bagal wszedł do niej śmiało, teraz zaś wisiał na zbawczej gałęzi, czekając ludzkiego zmiłowania, gdyż o własnych siłach nie mógł wywindować się stamtąd. Kiedy zachręściły trzciny rozsuwane przez nadbiegającego Erdsona, zaczął wzywać pomocy, próbując odwrócić głowę i zbladł jeszcze bardziej, poznawszy, kogo mu los tu zesłał.

— Chciałem... chciałem skrócić sobie drogę, lecz wpadłem.

— Nie łągałbyś przynajmniej w godzinie śmierci — ofuknął go Erdson, kładąc złowrogi nacisk na ostatnim słowie. —

Chciałeś ukraść bezgłośny piorun, jak skradłeś czek i za to spotka cię zasłużona kara.

— Och, bezgłośny piorun; gdyby nie jego ciężar, wyciągnąłbym się stąd na pewno... Przetnij te rzemienie, a zwrócę ci połowę czeków.

— Prędzej łapy ci przetnę, byś nareszcie utonął, ty, bandyto!

— Głupis, Franku. Jeśli zginę, stracisz sto tysięcy dolarów.

— Wprost przeciwnie! Zarobię je na czysto, gdy zginiesz, bo czek utoną z tobą, nikt ich nie zaprezentuje w banku, ja zaś mam dla Forbana twoje pokwitowanie z odbioru stu tysięcy. Któż z nas jest głupi?

Powiedziawszy to, Francis Erdson jął ostrym swym kordelasem nacinać ową gałąź w jej nasadzie, nic sobie nie robiąc z hałaśliwych protestów Abdula, który ryczał, jak gdyby go żywcem obdzierano ze skóry. Wrzaski te zwabiły w

tę stronę Hansa, lecz zanim dobiegł tutaj, gałąź z trzaskiem pękła i Bagal od razu pogrążył się aż po brodę.

— Wleciał nieborak w trzęsawisko, nic mu pomóc nie można — wołał jak najgłośniej Erdson, chcąc zagłuszyć ostatnie słowa tonącego.

Nie zawierały one jednak żadnych oskarżeń pod adresem mordercy, bowiem Abdul nie dostrzegł już Hansa i wykrztusił tylko:

— Przeklęty... bezgłośny... piorun!

Ciepłe lepkie błoto zalało mu usta, szybko dosięgło nosa, nieco wolniej oczu niesamowicie wybałuszonych, czoła, włosów, wreszcie rąk wyciągniętych w górę i kurczowo ściskających koniec długiej gałęzi. Jej drugi, grubszy koniec podniósł się przez to, trochę ukośnie zjeżdżał w grząską topiel głęboką może na trzy metry lub może na trzysta, bo niezbadana jest głębokość wszystkich bagien poleskich. Jeśli jednak wierzyć temu, co o nich mówią tubylcy, to Abdul Bagal wraz z modelem bezgłośnego pioruna musiał zjechać prościuteńko do piekła; tam zmarli (nie wszyscy jeszcze, niestety!) fabrykanci broni powitali go z honorami, lecz i ze smutkiem, że na tym genialnym wynalazku oni już nic nie zarobią.

— Model przepadł, ale Riano na spółkę z moim ojcem szybko zbudują nowy — rzekł Hans, gdy zawrócili do lasu.

— Oby, oby! — wzdychał pobożnie Francis Erdson, agent amerykańskiego „króla armat” czekającego niecierpliwie na nową, wspaniałą rzeź ludzi.

Ich długa nieobecność wywołała zaniepokojenie nad Zatoką Żbików.

— Co się stało? — dopytywała się pani Oleńka. — Kto niesie model?

— Dlaczego Krysia nie przyszła? — dorzucił Riano. — I

Witold?

— **Wszystko wam wyjaśnimy po drodze, tylko teraz startujemy co tchu, gdyż nasi prześladowcy już śpieszą tutaj.**

To kłamstwo wywarło swój skutek. W ciągu niespełna dziesięciu minut wszyscy pasażerowie wraz z bagażem ulokowali się w hydroplanie, odkładając sobie na później wszelkie pytania, prócz jednego:

— **Gdzie panna Balbina? Jak to, jedzie pan na swój ślub z gośćmi, a bez narzeczonej?!**

— **Tajniacy łazili jej po piętach — zełgał znów Erdson — więc musiałem dla waszego bezpieczeństwa wysłać ją do Gdańska zwykłą drogą. W tej chwili moja słodka Balbisia już zapewne jedzie bryczką do Dawidgródka.**

Tymczasem w tej chwili biedna panna Chorska budziła się właśnie. Była dopiero godzina piąta, kto jednak przywykł wstawać tak wcześnie, ten nawet w pierwsze święto Wielkanocy nie potrafi spać dłużej. Ubrała się jak najciszej, aby nie zbudzić Krysi, która nocowała tu dziś wyjątkowo, nakryła ją jeszcze jednym pledem i otworzyła na roścież okno. Z lubością słuchała rannego świegotu ptaków, ale w pewnej chwili posłyszała też brzęczenie, szybko przechodzące w łoskot silnika spalinowego.

— **Samochód? — mruknęła zdumiona. — Toż niemożliwość! Toż utopiłby się żywcem na naszych drogach jeszcze nie obeschłych.**

Po chwili nad szczytami drzew ukazał się samolot. Na jego widok panna Balbina pisnęła z radości tak głośno, że Krysia od razu zerwała się z łóżka.

— **Nie, ciociu, to chyba nie Erdson — rzekła, podbiegłszy zwawo do okna — to furczydło leci w kierunku wręcz przeciwnym, niż winno.**

Dopiero przy śniadaniu stwierdzono nieobecność

Baldich i Demmerów.

— Pewnie wyszli na spacer, ale wnet nadejdą.

Nadszedł zamiast nich Dmytro Zahaszczuk, którego w nocy odwiedził *ten rudy panicz* i zostawił mu list z poleceniem, aby go dziś wieczór doręczył Witoldowi; co prawda do wieczora jeszcze bardzo daleko, lecz on, Dmytro, widział dziś o świcie tyle niezwykłych rzeczy nad Zatoką Żbików, że na własną odpowiedzialność woli wypełnić swą misję wcześniej, bo może teraz da się jeszcze tamtych dopędzić...

— Kogo?! Dmytro, co ty wyplatasz? Piłeś, znaczy się, za dużo!

Podczas gdy Krysia powątpiewała o trzeźwości Zahaszczuka, Witold rozerwał kopertę i rzucił okiem na list, który brzmiał następująco:

Witoldzie!

Bardzo pięknie potrafisz mówić o przyjaźni, lecz Twoje czyny są zaprzeczeniem tych słów. Dlatego nie powinieneś się dziwić, że odjeżdżamy nawet bez pożegnania.

Hans

Nie był to zresztą jedyny list, jaki pozostawili. W dawnej leśniczówce nad Zatoką Żbików, na tapczanie znalazł Witold damską rękawiczkę, z której wypadła mała karteczka, zawierająca pożegnanie od pani Oleńki:

Masz rację, Wit. Nie trzeba komplikować życia innym. Dla dobra Krysi i Riana, dołożę wszelkich starań, abyśmy nie spotkali się już nigdy.

Niegdyś Twoja Oleńka

Kryśia po prostu „wychodziła ze skóry”, gdyż Hans napisał swój list po niemiecku, pani Oleńka po angielsku, jakby po to, by ona nie mogła nic zrozumieć, a Witold milczał zawzięcie. Na szczęście dla Kryśi, ani mu przez myśl nie przeszło, że Hans podkochiwał się w niej, natomiast sądził, iż Riano zwierzył się Demmerom z tego, co widział albo co słyszał wczoraj po południu. Potwierdzeniem tej hipotezy było wczorajsze zachowanie się przyjaciół przy stole i treść listu Hansa, i wspólna ucieczka bez słowa pożegnania, to zaś, że rękawiczka z kartką Oleńki leżała właśnie na tym tapczanie, także miało swoją wymowę.

— Żebyż kłął, trzaskał drzwiami, żeby choć płakał, jak ty, ciociu, to by mu z pewnością ulżyło — twierdziła Kryśia zaniepokojona zachowaniem się swego *gościa* — lecz on nic, tylko chodzi dokoła stołu bez przestanku. Z tego może dostać kołowacizny nawet silny czworonożny zwierzak, a cóż dopiero człowiek!

Pod wieczór kroki umilkły, ale grobowa cisza była jeszcze bardziej denerwująca, więc Kryśia wtargnęła do pokoju Witolda. Siedział przy stole, z głową wspartą na dłoniach, a twarz miał rozpaloną tak, że parzyła *prawie jak płomień świecy*. Z pomocą wciąż szlochającej Balbiny zapakowała go do łóżka, głowę mu owinęła mokrym ręcznikiem i przygotowała sobie wygodny fotel, aby czuwać przy chorym, aliści po dniu tak emocjonującym zasnęła wnet kamiennym snem. Gdy ocknęła się wreszcie, świtało, a pacjent bredził coś w gorączce. Bóg wie od jak dawna. Przerażona Kryśia natychmiast wysłała Balbinę po lekarza do Dawidgródka, skąd w pięć godzin później przybyła wcale liczna ekipa, z majorem Bolesławem Rodawskim na czele.

Major już po drodze dowiedział się od Balbiny, co tutaj zaszło, już wysapał swoją pierwszą złość na bryczce, porcję przykrych słów przeznaczonych dla brata musiał zachować do jego wyzdrowienia, lecz pomimo to został mu jeszcze wcale obfity zapas wymówek, którymi uraczył Krysię. Wyłajawszy ją za to, że udzielała gościny wynalazcom poszukiwanym przez niego, zaczął jej tłumaczyć, dlaczego w obecnej dobie obłądnego wyścigu zbrojeń Polska nie może zostać w tyle, nie może hołdować wzniosłej idei pacyfizmu, do którego ludzkość jeszcze nie dorosła, niestety, ani też nie może liczyć na Ligę Narodów, aby jej również nie napadł taki bandycki sąsiad, jak nieszczęsną Abisynię, której stolica zostanie zajęta przez najeźdźców lada dzień. Prosty, przystępny był temat wykładu, lecz styl bardzo zawily, a bezlik obcych wyrazów wtrącanych ustawicznie dobił Krysię, której myśli krążyły wciąż dokoła Witolda, skazanego przez lekarza na tydzień „aresztu łóżkowego”.

— Panie majorze — odezwała się w końcu i wyznała z rozbijającą szczerością — co tyczy się polityki, to jestem chyba kompletne cielę, skoro z pańskiego... z pańskiego... można to nazwać monologiem... nic a nic nie rozumiawszy. Czy nie zechciałby pan powtórzyć go jeszcze raz od początku?

Major Rodawski, dotknięty tym do żywego, że tak piękny wykład nazwała „po kabaretowemu” monologiem, spojrział na nią wzrokiem, w którym oburzenie walczyło o lepsze z lekceważeniem i pogardą.

— Nie, nie chcę! — odparł wyniośle. — Szkoda mej fatygi dla słuchacza, który sam przyznaje się do tego, że jest kompletnym cielęciem.

— Cielęciem, ale nie we wszystkim — odparła „z godnością” — na przykład znam się na gospodarstwie i na...

— I na gotowaniu, co? To potrafi każda... ech!

— Pan mnie masz za egzemplarz babskiej przeciętności?! — oburzyła się z kolei Krysia. — No, to dowiedz się pan, że ja potrafię sama zmontować model bezgłośnego pioruna! I pokaż mi pan na całym świecie jednego człowieka poza Baldim i profesorem Demmerem... jednego człowieka, który dokaże tej sztuki. A ja dokażę! Dokażę, jeśli, znaczy się, będę miała wszelki potrzebny materiał...

Major Rodawski uważał to za przechwałki, kiedy jednak dowiedział się, że Krysia od ucieczki Lan Cheng była asystentką starego Demmera i kiedy w laboratorium popisała się przed nim swoją wiedzą, zaczął patrzeć zupełnie innym oczyma na to *pocziwe, naiwne poleskie cielątko*. Polubił ją też szczerze już po jednodniowej znajomości, pogratulował bratu narzeczonej, która go pielęgnowała ze wzruszającą troskliwością, lecz po ponownej wizycie lekarza zaprosił Krysię na kwadransik rozmowy w cztery oczy.

— Witold jutro może już wyjechać do Warszawy, ja muszę. Czy zechce pani nam towarzyszyć?

— Z rozkoszą, tylko cóż ja tam będę robiła?

— Dostanie pani świetną posadę w pewnym przedsiębiorstwie państwowym, a co wieczór będzie pani mogła gruchać sobie z narzeczoną.

— Majorze, czy mogę pana z radości uściskać?! I Witolda będę tam miała i siostrę, i posadę! — wołała ucieszona, ale zasępiła się nagle pod wpływem jakiejś myśli.

— A Motylicze co?

— Nie zapadną się w poleskie błoto pod rządami panny Balbiny i ekonoma, pani zaś, dzięki swym przyszłym zarobkom, będzie mogła inwestować w rodzinny majątek poważne sumy... Zresztą Motylicze to tylko niewielki

skrawek jednego województwa, a my wszyscy musimy pracować przede wszystkim dla dobra całego kraju! Czy pani kocha ojczyznę?

— Też mi pytanie! — zachnęła się srodze. — Rozumje się, że tak!

— No, to sprawa załatwiona, bo Witold zgadza się również, aby panią zatrudnić przy budowie bezgłośnych piorunów i innych wynalazków potrzebnych dla wzmocnienia naszej obrony narodowej.

— Zgodził się? — niedowierzała.

Poszli więc do Witolda, który skinął głową apatycznie, kiedy mu wyjaśnili, z czym przychodzą.

— Róbcie, co chcecie — rzekł z obojętnością, spod której dyskretnie wзираł żal do kogoś. — Po zawodzie, jaki mi zgotowali moi najlepsi przyjaciele, nie zależy mi na niczym i w nic już nie wierzę.

— W jedno, Wit, musisz kiedyś uwierzyć — odparła Krysia, głaszcząc go po twarzy delikatnie — w miłość!

— Ha, skoro wy z tej beczki zaczynacie — zawołał major wesolo i skierował się ku drzwiom — to świadkowie są zbyt tacy.

— Ale poprosimy ich w dniu ślubu.

Osobliwym zbiegiem okoliczności, w dniu ślubu Witolda i Krysi, który odbył się we wrześniu tegoż roku w Warszawie, polskie dzienniki zamieściły wiadomość o próbach, jakich dokonano w Ameryce z modelem wynalazku, który tam nazwano *bezgłośnym piorunem*. Po uczcie weselnej major Bolesław Rodawski odczytał tę notatkę prasową pannie młodej, która w odpowiedzi na to wydeła usteczka.

— Fi, dopiero teraz skończyli? — rzekła lekceważąco. — Nasz model gotowy jest już od pięciu tygodni!

— Pssst, piękna bratowo, nie tak głośno — upomniał ją,

choć rozmawiali na uboczu. — W dzisiejszych czasach broń ma wartość bojową tym większą, im głębszą jest otoczona tajemnicą.

— Ot i przesadzasz, szwagierku — przekomarzała się z nim, zaciągając jeszcze wciąż po kresowemu. — Ja mej niewieściej broni wcale nie otaczam tajemniczością, a mimo to zdobyłam serce Wita. A-ha!

Koniec

waldi0055 3

¹ talony – tu: odcinki [pokwitowań].

² strzelanie do „kukułki” – Rodzaj oryginalnego pojedynku, w którym rywale pojedynkowali się w ciemnym pokoju i na przemian, raz jeden, raz drugi, wołali: *kuku*. Kukający był celem i starał się oszukać swojego przeciwnika przez szybką ucieczkę w inne miejsce pomieszczenia i gdy szczęście mu dopisało mógł oddać wtedy celny strzał i zastrzelić lub zranić rywala.

